

A woman is seated in a wooden boat, wearing a traditional conical straw hat. She is barefoot and has her hands clasped in her lap. The background is a vibrant, abstract painting of a sunset or sunrise with large, colorful flowers in shades of orange, red, and yellow. The overall mood is serene and artistic.

Miriam Collée

w Chinach
jedzą księżyc

Przezabawna historia
Europejki w Szanghaju

W Chinach jedzą księżyc

Miriam Colée

Tłumaczenie: Elżbieta Zarych

Dla Ciebie i Amélie

MAJ

Na Księżyc i z powrotem

*Nie można sprawić, aby życie miało więcej dni,
ale dzień może mieć więcej życia.*

– *Computer says no.* Komputer mówi nie. – Kobieta z wydziału do spraw przesyłek na lotnisku w Szanghaju gapiła się na nas z martwą twarzą, stojąc przy kontuarze znajdującym się jak na jej wzrost zbyt wysoko.

A czy w takim razie możemy spodziewać się naszego bagażu jutro rano?

Postukała w komputer, jakby galopowała na diable.

W końcu potrząsnęła głową i powiedziała:

– *Computer says no.*

To kiedy?

– *Computer not know.* Komputer nie wie.

Tobi pociągnął mnie w stronę wyjścia, rezygnując z dalszego prowadzenia tej absurdalnej rozmowy. Miał rację, szkoda było czasu. Przed lotniskiem miał czekać kierowca, by zawieźć nas do hotelu. W ramach programu Look and See przez tydzień mieliśmy poznawać kraj, w którym niedługo będziemy pracować, no i żyć. Idealna sytuacja, aby znaleźć mieszkanie, przedszkole i wszystko, czego potrzeba, żeby odnaleźć się w nowych warunkach.

Nasze dotychczasowe życie, kiedy czasem o nim myślałam, wydawało mi się dobre. Przed dwoma laty kupiliśmy przytulny ceglany domek w Hamburgu, z ogrodem i huśtawką oraz ślimakami, jabłonią i całym zestawem do wicia gniazdek. Pod koniec tygodnia przed naszymi drzwiami zawsze stała skrzynka z ekologicznymi warzywami, w garażu – stary samochód, z którym mąż czasami gawędził (twierdząc, że jest to prawdziwa rozmowa), a w altance – lodówka wypełniona piwem. Nasza córka Amélie dostała się do politycznie poprawnego przedszkola integracyjnego, my mieliśmy dobrą pracę, pozwalającą zatrudnić sprzątacza i niańkę, i nawet się kochaliśmy.

Czego chcieć więcej?

A jednak, choć trudno to wytłumaczyć, dopadło nas znane odczucie.

Pojawiło się znienacka, po cichu, i spytało: Co teraz? Czy tak ma być przez kolejne dwadzieścia lat?

Czy nie powinniśmy zrobić czegoś więcej z naszym życiem, niż tylko uprawiać jogging, pracować i chodzić na plac zabaw, grillować w weekendy, a na wakacje wyjeżdżać na Sylt? Czy nie należy wycisnąć z życia wszystkiego, co jest do wyciśnięcia? Dać porwać się przygodzie, pozwolić sobie na coś podniecającego?

Pewnego wieczoru właśnie w takim nastroju wrócił do domu Tobi. Odchrząknął i oznajmił:

– Wiesz, jest świetna praca w Szanghaju.

A teraz byliśmy w tym wielkim mieście, bez walizek i szczoteczek do zębów. Przy wyjściu z terminalu kłębili się kierowcy z tabliczkami, na żadnej nie widniał jednak napis „Mr. i Mrs. Collée”. Nie czekał też na nas żaden pokój w hotelu. Jak się później okazało, agencja przeprowadzkowa, która miała wszystko zorganizować, zapomniała o nas. W ramach przeprosin otrzymaliśmy krótki esemes: „Sorry”. A potem wiadomość, że dopiero ostatniego dnia naszego pobytu możemy zacząć ustalać sprawy związane z domem i przedszkolem, gdyż wszystkie oferty

zostały wcześniej wyprzedane przez współpracowników.

Dzięki darowi przekonywania udało nam się nakłonić zarządzającego renesansowym hotelem, by pozwolił nam nocować w pokoju dla kierowców, z oddzielnymi łózkami. Potem ruszyliśmy na miasto, kupić to, czego najbardziej potrzebowaliśmy, czyli dezodoranty, bieliznę, krem do twarzy oraz szczoteczki do zębów. Nie wiedzieliśmy przecież, kiedy odnajdzie się nasz bagaż.

Naprzeciw hotelu neonowy napis mrugał zachęcająco: „Friendship Store”. Niegdyś obcokrajowcy mogli robić zakupy w Chinach tylko w państwowych sklepach ze specjalnymi pozwoleniami walutowymi. Niektóre z nich jeszcze działały, będąc reliktem przeszłości. Niestety, to samo można było powiedzieć o sprzedawanych w nich towarach, które zdawały się pochodzić z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Udaliśmy się więc na ulicę Nanjing. Jednak i tu ponieśliśmy klęskę. Wprawdzie znaleźliśmy stopy kremów do twarzy, ale ani jednego bez *whitening effect*, efektu wybielania. Jeszcze trudniej było z dezodorantami, tych zwyczajnie nie sprzedawano. Chińczycy ich nie używali. Byli tacy, którzy twierdzili, że nacja ta nie wydziela potu, inni natomiast przekonywali, że chiński pot nie śmierdzi, a wynika to z odpowiedniej diety. Po odwiedzeniu czterech centrów handlowych i trzech supermarketów, dwóch przejażdżkach taksówką i jednej podróży metrem mogłam powiedzieć tyle, że ani jedno, ani drugie nie było prawdą, a Chińczycy powinni polubić kosmetyki osłabiające nieprzyjemny zapach ciała.

Tobi odczuwał pewną satysfakcję, gdyż miał w Chinach do spełnienia misję. Jego pracodawca, międzynarodowy koncern, wysłał go, jak to się ładnie mówi, aby przybliżył Chińczykom zachodni sposób pielęgnacji ciała. Inaczej mówiąc, miał przekonać obywateli tego państwa, by kupowali produkty, o których myśleli, że ich nie potrzebują.

Główną atrakcją dnia okazały się ulegające biodegradacji tampony sprzedawane w japońskim supermarkecie. Nie znaleźliśmy natomiast ani butów dla Tobiego, który nabawił się okropnych pęcherzy – przy rozmiarze czterdzieści pięć kapitulował każdy sprzedawca, ani spodni, które sięgałyby mu przynajmniej do kostek. W zamian kupiliśmy majtki Calvina Kleina po pięćdziesiąt centów za sztukę. Okazało się też, że za jedyne dwadzieścia euro mogę się ubrać od stóp do głów. Dla kobiety, która miała krótkie nogi, małe piersi i słabość do kopii sukienek Marca Jacobsa, Szanghaj był rajem.

Ponieważ do końca tygodnia nikt nie zamierzał się nami zajmować, postanowiliśmy pooglądać przedszkola na własną rękę. Trafiliśmy do placówki Montessori, gdzie stojąc w *observation room*, sali obserwacji, ciemnym, wyłożonym lustrami pomieszczeniu, prawie się załamalam. Kontakty z rodzicami ograniczono tu do minimum, na maluchy można było patrzeć jedynie przez lustra. Dzieci, zarówno chińskie, jak i innych narodowości, wmaszerowawszy w karnym rzędku do pokoju zabaw, w milczeniu odbierały puzzle oraz gry do zabawy. Wydawały się milczącymi żołnierzami. W myślach zobaczyłam naszego małego dzikiego trzmiela, jak stoi między nimi i szlocha.

Tak naprawdę to ja szlochałam, stojąc za szybą, dopóki Tobi nie wyprowadził mnie delikatnie z pomieszczenia.

Zanim ostatniego dnia spotkaliśmy naszą agentkę od przeprowadzki, zdążyliśmy znaleźć nieuporządkowane, ale sympatyczne przedszkole, w którym, mieliśmy taką nadzieję, nasza córka przeżyje tylko niewielki szok kulturowy. Potem poświęciliśmy się poszukiwaniu domu. W Szanghaju *expats*, jak powszechnie nazywa się *expatriates*, emigrantów, mają trzy możliwości mieszkaniowe. Pierwsza to ogrodzone osiedle na obrzeżach miasta z identycznymi domami zbudowanymi specjalnie dla obcych. Druga – wynajęcie mieszkania w kompleksie wieżowców

w centrum, z portierem i innymi cudzoziemcami jako sąsiadami. Trzecia możliwość to wynajęcie starego *lanehouse'a*, chińskiej odmiany szeregowca, tyle że węższego i wyższego niż w Europie, na którejś z małych uliczek dawnej dzielnicy francuskiej, gdzie obcokrajowcy raczej nie mieszkali. Ta opcja wydała się nam najbardziej interesująca. Nie ma przecież sensu jechać za granicę, by znaleźć się na niemieckim osiedlu.

Firma Tobiego przeznaczyła na wynajem mieszkania dość dużą sumę. Przed podróżą snuliśmy więc plany o znalezieniu domku z basenem. Na miejscu okazało się, że za cenę willi w hamburskim Elbvororte w Szanghaju można dostać co najwyżej ciemną norę na parterze drapacza chmur. Nadające się do zamieszkania domy o zachodnim standardzie, jak to ładnie nazywano, czyli z niezagrzybionymi łazienkami, elektrycznym ogrzewaniem i oknami dającymi się zamknąć, nie schodziły poniżej czterech tysięcy euro za miesiąc. Nagle mój podróżniczy zapał osłabł. Na tak wiele przygód nie byłam przygotowana. Jak się urządzić? Jak żyć? Czy nie wyrządzą krzywdy córce? I sobie. Czy nie zrezygnować?

Ale wrócić z podkulonym ogonem?

Tobi potrzęsnał głową.

Poddać się, nie spróbowałeś?

Nie, ja też tego nie chciałam.

Siedzieliśmy w małej francuskiej winiarni i piliśmy trzecią lampkę przecenionego bordeaux. Była dziesiąta wieczór. Za dwanaście godzin nasz samolot miał odlecieć do Niemiec. Nie znaleźliśmy domu.

Na zewnątrz przechadzała się chińska rodzina – dzieci ubrane były w wywatowane piżamy z nadrukiem Kubusia Puchatka. Rodzinę próbowały wyprzedzić młode Chinki, które potykały się na swoich błyszczących dwudziestocentymetrowych szpilkach. Tuż za nimi szła dziewczynka, której nos zdobiła szeroka plastikowa klamerka. Najwidoczniej miała ona nadać chińskim nozdrzom zachodni kształt.

Czułam się, jakby przeniesiono mnie na inną planetę. Nie na drugi koniec świata, ale na Księżyc.

Siedzieliśmy w małym księżycowym barze przy stole przy oknie i umieraliśmy ze strachu.

CZERWIEC

Przyjazd

*Nowo narodzone cielę
nie boi się tygrysa.*

– Jesteś podekscytowana? Jak się czujesz? Boisz się? – Tobi patrzył na mnie swoimi wielkimi oczami.

Amélie właśnie się obudziła, na moim zegarku była siódma rano, w Chinach druga po południu. Mała wyglądała przez okno samolotu, ale poniżej widać było jedynie mgłę albo raczej smog. Wciąż zadawała te same pytania:

– Czy to już Chiny? Czy Chiny tak wyglądają?

Za dziesięć minut mieliśmy lądować.

Próbowałam wsłuchać się w siebie.

Co czułam? Nie znajdowałam ani podekscytowania, ani nerwowości czy ciekawości. Niczego. Byłam jak biała, czysta kartka papieru. Tabula rasa. Zwyczajnie nie mogłam sobie wyobrazić naszych następnych dwóch lat, życia w mieście, w którym porozumiewanie się z innymi urasta do spraw niemożliwych, gdzie nie można niczego przeczytać, nie wspominając o kupowaniu.

Do tego przylecieliśmy tu z trzyletnim dzieckiem.

Po raz pierwszy nie robiłam żadnych planów, nie miałam pragnień. Co zadziwiające, było mi z tym całkiem dobrze. Tobi zdążył odwiedzić jeszcze raz Szanghaj, żeby oficjalnie objąć posadę. Szczęśliwie znalazł wtedy szeregowiec do wynajęcia i zatrudnił kierowcę o imieniu Fang, który teraz czekał na lotnisku, żeby zawieźć nas do naszego nowego domu.

Na oko Fang miał około trzydziestu lat. Chudy, raczej mały i blady, nosił tenisówki i białą koszulkę polo. Na jego nosie tkwiły okulary, a gdy się uśmiechał, widać było, że jego zęby sterczą na wszystkie strony. Zadziwiająco dobrze mówił po angielsku.

Po drodze zatrzymaliśmy się w Starbucksie. Na zewnątrz pachniało Azją, wilgocią i gorącem. Kiedy zamknęłam oczy, zapach wydał mi się znajomy. Tym razem nie miałam jednak na nogach japonki i nie dzwigałam plecaka, ale szesnastokilogramową Amélie, w rękę zaś nie trzymałam przewodnika Lonely Planet, lecz gorący papierowy kubek z kakao. Mała płakała ze strachu, bo trzech chińskich nastolatków próbowało głaskać ją po głowie. Potem jeszcze dwie kelnerki przejechały ręką po jej blond lokach. Piszczwały przy tym i wydawały odgłosy podobne do gaworzenia niemowlaka.

W domu zostaliśmy przywitani przez dziewięcioosobową malowniczą grupę.

– Mamo, czy oni wszyscy z nami zamieszkają? – zapytała Amélie.

Roześmiałam się i uspokoiłam ją, że nie, nie wiedziałam jednak, jak bliska była prawdy.

W salonie oprócz dwóch pośredniczek i kobiety z agencji przeprowadzkowej znajdowali się reprezentant właściciela domu (właściwie właścicielki), zarządczyni budynku, mężczyzna ze źle wybielonymi zębami, który przedstawił się jako designer, oraz trzech znudzonych robotników, którzy siedzieli przy stole i wylewali z siebie strugi potu. Jego zapach wyparł nawet ostrą woń formaldehydu i rozpuszczalnika. Jeden z robotników spał.

Reprezentant uroczyście wręczył nam liliowy koszyk owoców. Każdą pomarańczę i jabłko zawinięto w błyszczący papier, a całość trzykrotnie owinięto celofanem i oklejono lametą oraz serduszkami. Amélie była zachwycona, przez następne trzy godziny rozpakowywała prezent i bawiła się papierkami. Owoce nieco już śmierdziały, będąc w połowie zepsute. Cóż, ich

zapach był i tak lepszy od odoru potu.

Wysłałam na zewnątrz zaczerpnąć powietrza i obejrzeć nasz dom od zewnątrz. Otynkowany na szaro, stał przy dość czystej jak na chińskie warunki uliczce. Przed renowacją najwyraźniej były to dwa wąskie domy, które połączono, tworząc *western standard lanehouse*, szeregowiec o zachodnim standardzie. Na przewodach elektrycznych, które zwisały między domami na ulicy, suszyły się majtki w zielone kropki i liliowe gwiazdki oraz spodnie od pizamy w małe jamniczki. Poza tym zawieszono na nich racice świń i kurze łapki oraz kilka ryb. W ścianach pobliskich domów zamontowano kamienne umywalki. Piętrzyły się w nich kolorowe plastikowe sitka, garnki i talerze. U nas ozdoba ta została usunięta. Sąsiad z naprzeciwka, w majtkach, koszulce i klapkach kąpielowych, mył sobie właśnie zęby.

Wnętrze naszego domu, jak nas zapewniano, było nowoczesne i stylowe. *Luxury, very luxury*. „Luksusowe, bardzo luksusowe” – powtarzał przedstawiciel właściciela domu, jakby zacięła mu się płyta. Dom miał dwieście metrów kwadratowych, trzy piętra, dwa półpiętra, trzy łazienki, sto pięćdziesiąt schodów, tak pożądaną garderobę i niewielki ogród, który okazał się prawie w całości wybetonowany. Jego główną atrakcją stanowiło drzewo, wieczorami oświetlane przez reflektor.

Trzy godziny później zauważyliśmy, że przez naszą *luxury master bathroom*, luksusową główną łazienkę, przebiega w poprzek, mniej więcej na wysokości oczu, wąz ogrodowy, który przez dziurę w ścianie odprowadza na zewnątrz parę wodną z klimatyzacji. Przejście od prysznicza do umywalki za każdym razem wymagało nurkowania pod tą elastyczną rurą. Dwie słuchawki prysznicowe (których nie można było używać jednocześnie, bo przepalał się bezpiecznik pompy wodnej) znajdowały się na wysokości piersi Tobiego. Wyposażenie łazienki uzupełniało przesadnie wielkie lustro z dwoma krzywo zawieszonymi designerskimi neonówkami. Nie szkodzi, w domu wszystko było krzywe, od drzwiczek szafek kuchennych po *luxury wardrobes*, luksusową garderobę, której nie dało się zamknąć. W zamian we wnętrzu szafek zainstalowano oczywiście *luxury designer lights*, luksusowe designerskie oświetlenie.

Dostaliśmy trzydzieści osiem kluczy, do każdego zamka inny (to też oznaczało przepych) i musieliśmy podpisać, że nie ukradniemy ani nie wymontujemy żadnej z wytwornych neonówek, wanien i muszli klozetowych. Tymczasem Amélie zdążyła zrobić siku w każdej toalecie, zużywając przy tym cały zapas serwetek ze Starbucksa. Było wpół do ósmej.

Najchętniej od razu poszlibyśmy do supermarketu, żeby kupić to, co najpotrzebniejsze.

Robotnicy przy stole nie wydawali się jednak chętni do wyjścia. Spali już wszyscy trzej. I wtedy nagle designer i reprezentant właściciela zaczęli krzyczeć, co ich obudziło. Pośredniczki wyjęły z torebek różowe notatniki ozdobione wizerunkami Hello Kitty i po chwili wściekle wybijały cyferki na swoich telefonach. Potem cała dziewiątka wrzeszczała już razem.

Staliśmy bezradnie w środku tego tumultu jak dwoje nowo narodzonych cieląt, które wysłano po raz pierwszy na łąkę. Nic nie rozumieliśmy. W końcu wyjaśniono nam, że robotnicy zamierzali spędzić u nas noc. Właściciel domu zapłacił im tylko osiemdziesiąt procent wynagrodzenia, zatrzymując resztę jako zabezpieczenie, że wszystkie niezbędne prace zostaną wykonane. Dopiero wówczas chciał uregulować pozostałą kwotę. Zapewniano nas, że to zwyczajna praktyka w Szanghaju, ale robotnicy najwyraźniej widzieli to inaczej. Mieliśmy dwie możliwości: wprowadzić się z nimi albo uciec do hotelu.

Wtedy usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Zjawiała się policja. Wkrótce policjanci też wrzeszczeli. Nieoczekiwanie, z zupełnie dla nas niejasnych powodów, wszyscy wyszli. Kamień spadł nam z serca – pierwszą noc mieliśmy spędzić w nowym miejscu sami.

W końcu mogliśmy pójść na zakupy.

Jeden z naszych kolegów, który już od pięciu lat mieszkał w Szanghaju, polecił nam

francuski supermarket Carrefour. Wprawdzie było w nim nieco drogo, ale sprzedawano płatki kukurydziane, chleb pełnoziarnisty, a nawet makaron włoskiej firmy Barilla. Tego wieczoru nie mieliśmy ochoty na przygodę z Chinami, zdecydowaliśmy się więc zrobić zakupy w tej ostoi zachodnich produktów. Tuż przy wejściu natknęliśmy się na olbrzymie stoły, na których wystawiono przecenione towary – żaby, żółwie, węże i raki – oczywiście wszystkie żywe, w siatkach. Amélie chciała wiedzieć, dlaczego Chińczycy mają zoo w supermarkecie i dlaczego żółwie trzeba wiązać. Zanim zdążyłam odpowiedzieć na jej pytania, wśliznęła się między akwaria z krewetkami tygrysimi i mątwami, a po chwili krzyząc, wylądowała między brązowymi ropuchami.

Skierowaliśmy się do działu warzywnego, tam nie można było niczego zrobić źle. Tobi zapakował do toreb ziemniaki i marchew. Dwa rzędy dalej odkryliśmy półki z organiczną żywnością, a więc powrót do warzywniaka, wyjmowanie jarzyn i pakowanie nowych. Przy kasie (było ich co najmniej pięćdziesiąt, przy każdej stało jakieś sto osób) okazało się, że musimy odłożyć ekologiczne produkty, bo zapomnieliśmy ich zważyć. Tymczasem niemal konająca z głodu Amélie, siedząc w koszu na zakupy, pochłonęła z rozpaczki dwie torebki sera Baby Bonbel za około czternaście euro.

Skończyło się na tym, że poszliśmy coś zjeść z Fangiem. Zawiózł nas do How Way Restaurant, ulubionej knajpki jego dziewczyny, obiecując przy tym smaczne i ostre jedzenie. Dobry znak – przed wejściem czekało wielu młodych Chińczyków. Siedzieli na stołkach lub stali w grupkach, a ich włosy błyszczały od żelu. Dostaliśmy paperek z numerem osiemdziesiąt siedem. Nie zaniepokoiło nas to, dopóki Fang nie wspomniał mimochodem, że właśnie wywołano numer czterdziesty. Wtedy mała, ładna Chinka w kusej minispódniczce wcisnęła Tobiemu do ręki karteczkę z numerem sześćdziesiąt jeden. Mojemu mężowi nadzwyczaj to pochlebilo, a ja byłam zbyt zmęczona, by poczuć się zazdrosną. Poza tym dzięki tej pannicy w dwie minuty przesunęliśmy się o dwadzieścia sześć stołów. Sądzę, że Fang był dumny, iż przybył tu z długonosymi.

Dwadzieścia minut później siedzieliśmy przy stole. Amélie zdążyła zasnąć w wózku. Spojrzeliśmy w kartę, ale nie byliśmy w stanie nic z niej wyczytać. Jedzenie ładnie pachniało, kazaliśmy więc Fangowi zamówić wszystko, poza żabami i żółwiami. Wkrótce na stole pojawiła się obrotowa płyta z ośmioma półmiskami. W Chinach nie zamawia się dań oddzielnie dla każdego, ale zestaw, w którym powinny się znaleźć potrawy o różnych smakach. Każdy skubie to, na co ma ochotę.

Jedzenie smakowało świetnie. Było wprawdzie, jak dla nas, zbyt oleiste, ale naprawdę dobre. Zapłaciliśmy trzynaście euro, a i tak nie daliśmy rady zjeść wszystkiego. Fang kazał zapakować to, co zostało.

– *Never waste food.* Nigdy nie marnuj jedzenia – oznajmił, a my zgodnie przytaknęliśmy. Potem Tobi zasnął przy stole.

Witajcie sąsiedzi!

*Mędrzec oczekuje od ludzi niewiele,
ma nadzieję na dużo i obawia się wszystkiego.*

Tobi postanowił napisać karteczki powitalne, a potem powrzucać je do skrzynek na listy naszych sąsiadów. Tekst brzmiał: „Witajcie! Jesteśmy Waszymi nowymi sąsiadami. Pochodzimy z Niemiec. Niestety, nie mówimy jeszcze po chińsku, ale mamy nadzieję wkrótce się nauczyć i osobiście Wam się przedstawić”.

Poprosiliśmy o przetłumaczenie tekstu Eleanor, naszą pośredniczkę z agencji. Przeczytała kartkę, spojrzała na Tobiego z niedowierzaniem, potem zachichotała i opowiedziała Fangowi, co zamierzaliśmy. Teraz chichotali oboje. Wy tłumaczyli nam, że w Chinach takie przywitanie nie jest przyjęte. Powinniśmy spróbować raczej zwyczajnego „dzień dobry!”, czyli *ni hao!*, dosłownie znaczącego „ty dobrze”.

W podziękowaniu za trud przy poszukiwaniu domu przywieźliśmy Eleanor prezent: szwarcwaldzki zegar z kukułką. Eleanor uczyła się na studiach niemieckiego. Na początku naszej znajomości oznajmiła, że kocha Niemcy i wszystko, co stamtąd pochodzi, choć jak dotąd nigdy jeszcze nie odwiedziła naszego kraju.

Byliśmy pewni, że na widok prezentu oszaleje z radości. Zamiast tego przyjęła go z krótkim „dziękuję”, patrząc z zakłopotaniem w ziemię, i szybko schowała do torby. Może tak kosztowny prezent był dla niej kłopotliwy lub niestosowny – pomyślałam. Za długo nie zaprzętałam sobie tym głowy.

Postanowiłyśmy z Amélie poćwiczyć artykulację powitania *ni hao*. Poprawna wymowa wymaga melodyki i tonów, których nie pojmowałyśmy. Naszymi pierwszymi ofiarami zostały trzy panie z naprzeciwka. Wyglądały przyjaźnie i nieco szczególnie – wszystkie miały na sobie identyczne zielone koszulki polo. Kiedy się do nich zbliżyłyśmy, zaczęły przyjaźnie skrzeczeć. Łaskotały Amélie, szczypały w policzek, przeczesywały jej włosy. Wkrótce zaskrzeczała także Amélie.

Jedna z kobiet pociągnęła mnie do środka. Znalazłam się w salonie masażu. Dziesięć metalowych pryczy, ustawionych w rzędach na wyłożonej kafelkami podłodze, a na każdej kompletnie odziany człowiek, którego ugniatały sprawne ręce zielonych koszulek.

A więc to nie sąsiedzi. Nie szkodzi.

Znowu znalazłam się na ulicy. Zauważyłam przy bramie starszego mężczyznę. Wyglądał miło, miał pomarszczoną twarz i śmiejące się, przyjazne oczy. Tkwiący na jego głowie słomkowy kapelusz przypominał ten, który znany jest z popularnych agencyjnych zdjęć ludzi pracujących na polach ryżowych. Mężczyzna często przejeżdżał ze swoją taczka koło naszego domu. Potrząsnęłam serdecznie jego ręką, a on popatrzył na mnie jak na ósmy cud świata.

– Nic dziwnego – wyjaśnił mi Fang, który obserwował moje przedstawienie z samochodu. – To pracownik firmy zajmującej się wywózką śmieci. Jemu nie ściska się ręki. Nie jest to przyjęte.

Wreszcie pojawił się prawdziwy sąsiad. Skrzecząc, zaczął się skarżyć na budowlańców, którzy w liczbie kilkunastu zjawili się w naszym domu, by usunąć dwadzieścia nowych problemów. Po chwili wrzeszczał już, że długonosi, czyli my, zapewne chcą szpiegować go przez boczne okna. Dlatego następnego dnia mieli zjawić się kolejni robotnicy i samoprzylepną mleczną folią okleić szyby.

Nieco wcześniej wpadł do nas „inżynier telewizyjny”. Miał uruchomić nowiusieńki telewizor z płaskim ekranem. Coś przy nim majstrował, kiedy nagle rozległ się głośny huk, a ze ściany wyrzelił słup ognia. Amélie niezwykle to rozbawiło, inżynier natomiast poszarzał na twarzy. Prądu nie było w całym domu. Od zarządczyni usłyszeliśmy uspokajające *don't worry*, oraz zapewnienie, że inżynier jest do tego przyzwyczajony i przyjdzie dokończyć pracę następnego dnia. Oczywiście więcej się nie pojawił.

W zamian zjawił się nasz sąsiad. Wpadł do domu jak rozwścieczony wół, nawet nie ściągnąwszy butów przy drzwiach. Uznałam to za okaz braku szacunku, wszyscy Chińczycy zostawiają przecież obuwie na zewnątrz. Ryknął na robotników, którzy próbowali właśnie naprawić niedziałającą klimatyzację. Niestety, nie został zrozumiany z powodu ogłuszającego hałasu, który dochodził z ulicy. Krążył tam rowerzysta ze zrobionym własnoręcznie magnetofonem i megafonem i coś reklamował. Mężczyzna, piniąc się, pognął do zarządczyni i przez kilka minut wykrzykiwał coś podekscytowany.

Okazało się, że robotnicy niedokładnie zakleili folią szyby. Pomiędzy dwoma mlecznymi arkuszami pozostawili milimetrový odstęp, przez który bez trudu mogliśmy go szpiegować. Lornetką albo nawet jakimś urządzeniem radiowym. Chciałam poprosić zarządczynię, by powiedziała temu miłemu panu, że nie musimy śledzić go w tak prymitywny sposób, pluskwy, które rozmieściliśmy w jego domu świetnie przecież działają. Nie wiedziałam jednak, jak są pluskwy po angielsku, a zakres słownictwa zarządczyni był o wiele mniejszy od mojego. Poza tym nie byłam pewna, czy Chińczycy wyczuwają coś takiego, jak ironia.

Porzuciłam plan „przywitania sąsiadów” i wraz z Amélie poszłam do sklepiku znajdującego się w pobliżu naszego domu. Na mniej więcej czterech metrach kwadratowych zgromadzono tu cudowny asortyment: płaszcze przeciwdeszczowe, kłódki do rowerów, klamerki do bielizny, szczotki klozetowe, pantofle, wiatraczki, żarówki, fartuszki... Tyci OBI.

Poszperałyśmy trochę i znalazłyśmy trzy plastikowe stołki, dzięki którym nie będziemy musieli jeść na podłodze, miotłę, szufelkę, wiaderko do mycia i ścierkę z kolekcji Hello Kitty. Byłam zachwycona, zakupy udały się bez znajomości chińskiego, a wszystko razem kosztowało tylko trzy euro.

Kiedy płaciłyśmy, do pomieszczenia weszła zza zasłony żona sprzedawcy. Na widok Amélie zaczęła skrzeczeć w znajomy sposób. Przywołała skinieniem głowy inne kobiety i ze trzydzieści rąk zaczęło głąskać główkę małej.

Złapałam zakupy, a potem pognałyśmy jak najszybciej do domu. Myć włosy.

Wieczorem, leżąc w łóżku, sięgnęłam po poradnik *Chiny dla początkujących*. Przeczytałam w nim: „Jedną z największych wpadek, jakie może zaliczyć w Chinach cudzoziemiec, jest podarowanie zegara. Po chińsku *song zhong* oznacza bowiem nie tylko »dać w prezencie zegar«, ale też »oddać cześć zmarłemu«. Niektóre niemieckie firmy zepsuły z trudem nawiązane kontakty biznesowe tylko przez taki podarek. W porządku są natomiast zegarki na rękę (po chińsku *biao*)”.

Oto uroczyście zakomunikowaliśmy Eleanor, że wybiła jej ostatnia godzina.

Ale przynajmniej wykukła jej to oryginalna szwarcwaldzka kukułka.

Health check

*Niezażywanie lekarstw działa tak samo
jak przeciętny lekarz.*

Musiałam zgłosić się do ubezpieczenia zdrowotnego. Każdy obcokrajowiec, który chce otrzymać wizę uprawniającą do pracy, a także każdy *dependant*, zależny, jak nazywa się w tutejszych urzędach takich jak ja, musiał odbyć kontrolną wizytę zdrowotną. Tobi miał tę procedurę za sobą.

W Szanghaju badania obcokrajowców przeprowadzał tylko jeden państwowy szpital, wystawiając świadectwo zdrowia. Tabliczka na budynku głosiła: Health Administration Service for Foreigners and Oversea Chinese. Do wniosku należało załączyć trzy zdjęcia paszportowe i wypełnić kilka formularzy. Zanim zostałam poproszona o przejście do przebieralni, Amélie zdążyła nakarmić paczką krakersów rybki w akwarium, które zdobiło poczekalnię. Nie wolno jej było pójść ze mną. Na szczęście towarzyszyła nam kobieta z agencji przeprowadzkowej. Obiecała uważać na małą, kiedy będę na badaniach.

W przebieralni wręczono mi czepek operacyjny, zielony płaszcz kąpielowy i ochraniacze na buty. Pielęgniarka w różowym kitlu popchnęła mnie do kabiny. Oznajmiła, że mam się rozebrać od pasa w górę i założyć zielony kitel, a właściwie to, co z niego zostało, po bokach był on zupełnie rozdarty, a wszędzie ziały ogromne dziury. Ułożywszy materiał tak, by nie wycierały z niego piersi, założyłam czepek oraz ochraniacze i usiadłam obok pozostałych obcokrajowców w poczekalni. Cała sytuacja była poniżająca, a jednocześnie zabawna – wszyscy wyglądaliśmy tak samo śmiesznie. Nikt się jednak nie odzywał i ja też milczałam. Trochę szkoda, chętnie bym się dowiedziała, skąd pochodzili i gdzie pracowali. Może siedziałam między nowym członkiem zarządu Bayeru a rosyjskim dilerem narkotyków?

Zostałam wezwana do pokoju pięćset dwa, gdzie pobrano mi chyba ze dwa litry krwi. Część natychmiast poddano testowi na HIV. Następnie skierowano mnie do rentgena. Aparat do zdjęć pamiętał wczesne lata powojenne. Wołałam nie wiedzieć, jaką dawkę promieniowania emituje. Lekarz spojrzął na bliźnę, która zdobiła mój łokieć. Kiedy miałam cztery lata, wykryto u mnie gruźlicę kości, trzeba było przeprowadzić operację. Od tego czasu nie mogłam całkowicie wyprostować ręki, na co jednak po trzydziestu jeden latach nie zwracam już uwagi.

Teraz przypominałam sobie historie emigrantów, którym rzekomo odmówiono wizy z powodu żółtaczki czy czegoś podobnego. Gdyby ten lekarz usłyszał słowo „gruźlica”, pewnie wyrzuciłby mnie z gabinetu. Dlatego odpowiadając na pytanie, co mi się przytrafiło, skłamałam.

– Złamanie kości w wieku czterech lat – powiedziałam.

Kiwnął głową i uważniej spojrzął na sztywny łokieć oraz dwunastocentymetrową bliźnę.

– *Only broken?* Tylko złamana? – zapytał.

Na czoło wystąpiły mi kropelki potu, ale przytaknęłam.

– *Very bad doctors in Germany.* Bardzo źli lekarze w Niemczech – powiedział i zostawił moją rękę w spokoju.

Znów siedziałam na korytarzu, tyle że przed innymi drzwiami. Także tu panowała śmiertelna cisza, wszyscy zmieszani wbijali wzrok w podłogę. Czułam się jak przestępca.

– *Collée*, pokój numer pięćset cztery! – zawołała siostra.

Odetchnęłam z ulgą. U okulisty nic złego nie powinno się wydarzyć. W Hamburgu przed wyjazdem przeszłam komputerowe badanie wzroku. Lekarz zapewnił mnie wówczas, że moje

oczy są sprawne w stu dziesięciu procentach. Teraz jednak śliczny starszy pan w białym kitlu zakrywał mi wygiętą blaszaną łyżką jedno oko i chciał wiedzieć, czy jestem w stanie zobaczyć drugim, co znajduje się na ścianie. Wiele do zobaczenia nie było, poza kilkoma ręcznie namalowanymi, zamazanymi literami, które chyba miały przedstawiać literę E.

– *Which open?* Które otwarte? – usłyszałam.

Nie rozumiałam.

– *Which open? Left, right, up, down,* lewe, prawe, na górze, na dole?

Teraz pojęłam. Próbowałam odcyfrować bazgroły i dobrze odpowiedzieć.

Starszy pan potrząsnął jednak głową.

– *No good,* niedobrze – oznajmił i odesłał mnie na korytarz.

Teraz ultrasonografia. Lekarka dokładnie wysmarowała mi brzuch żelem, jakbym była kurczakiem przeznaczonym do marynowania, a potem szybko przejechała po nim głowicą. Następnie ucisnęła wątrobę i okolice nerek. Potem zmierzono mi ciśnienie krwi.

I tak kawałek po kawałku zbadano moje ciało niczym samochód na stacji kontroli. Na koniec musiałam zapłacić trzydzieści juanów (trzy euro), dostałam pokwitowanie oraz informację, że za pięć dni będzie na mnie czekało świadectwo zdrowia.

Wynik: zdeformowany kręgosłup (o czym nic nie wiedziałam), źle nastawione złamanie oraz siedemdziesięcioprocentowa ostrość widzenia – okulary konieczne. Do tego rada: *Improve your lifestyle!* „Popraw swój styl życia!”.

Mimo to zdałam, wolno mi było zostać w Chinach.

Życie to plac budowy

*Głupiec, który pracuje,
jest lepszy niż mędrzec, który śpi.*

Nasza agencja przeprowadzkowa zaprosiła nas na Dzień Orientacji. Vivien, która była Australijką, miała nam opowiedzieć, jak odnaleźć się w Szanghaju.

Na początek dowiedzieliśmy się, że w Chinach jest pięćdziesiąt tysięcy policjantów internetowych. Cenzurują sieć, a my powinniśmy zrezygnować z używania mailowych adresów Yahoo czy Hotmail. Kupony na loterię ze zdrapką, które dostawaliśmy w restauracji, okazały się fakturami, tak zwanymi *fapiao*. Zwykły paragon kasowy był bezwartościowy przy odliczaniu kosztów. Niestety, Tobi zdążył już wyrzucić pokwitowania na kupione w sklepach jedzenie za jakieś trzysta euro. Nikt z nas nie przypuszczał, że rząd będzie grami zachęcał obywateli, by żądali od właścicieli opodatkowanych rachunków.

Poza tym dowiedzieliśmy się, że w Szanghaju mieszka około dwudziestu milionów ludzi. Ile dokładnie – milion mniej czy więcej – nikt nie potrafił określić, przybywały tu tłumy wędrownych robotników. Z myślą o cudzoziemcach uruchomiono China Help Hotline, gorącą linię pomocy. W razie potrzeby można było zadzwonić pod podany numer i poprosić o tłumaczenie na chiński. Mogło to być pomocne podczas jazdy taksówką. Niestety, usługa nie przydawała się nocą. Większość taksówkarzy nie zabierała obcokrajowców po zapadnięciu zmroku, uznając to za zbyt niebezpieczne.

A w ogóle powinniśmy nosić przy sobie wizytówki z adresem zapisanym chińskimi znakami, chodzić przynajmniej dwa razy w tygodniu na lekcje języka, uwić sobie ciepłe gniazdko (jak ujęła to Vivien: *You will need here a peaceful oasis*. „Będziecie potrzebować przytulnej oazy”), zawrzeć umowę na ubezpieczenie wyposażenia domu, nie pić chińskiego mleka (zbyt wiele antybiotyków), nie kupować tutejszego mięsa (zbyt wiele anabolików), nie myć zębów wodą z kranu ani nie gotować w niej makaronu, no i uważać na małżeństwo.

Że co, proszę?

Vivien, sfrustrowana Australijka tuż przed menopauzą, była w swoim żywiole. Procentowo liczba rozwodów wśród zachodnich małżeństw w Chinach jest wyższa w stosunku do innych krajów. Powody? To, co zwykle: mąż za dużo pracuje, w pewnym momencie ulega urokom młodej, ładnej, pełnej poświęcenia chińskiej gąsce, żona (bez pracy, bez przyjaciół, bez kontaktów, bez zajęcia) męczy go w domu, staje się zakupoholiczką albo wpada w depresję.

Alkohol też stanowił duży problem. Według jednego z niemieckich ubezpieczycieli, który przeprowadził ocenę stanu zdrowia emigrantów, sześćdziesiąt procent Niemców w sile wieku wysłanych do Chin wykazywało tam symptomy chorobowe. Zmęczenie, zaburzenia snu, bóle żołądka, bóle pleców, nadciśnienie lub problemy z oddychaniem o podłożu stresowym były normą.

Dzięki, Vivien, to krzepiące.

Nowe życie zaczęliśmy od części praktycznej – urządzenia przytulnego domu. Przez dwa dni w naszej oazie luksusu zdążyły się popsuć: szafa na ubrania Amélie, uchwyt na papier toaletowy, trzy szuflady, rynna, dwie klamki do drzwi i designerskie oświetlenie. Poza tym przeciekała zmywarka oraz toaleta na parterze, a osuszacz powietrza został zainstalowany bez przewodu odprowadzającego i łazienka zamieniła się w łaźnię turecką.

Jakby tego było mało, spaliła się zawartość szafek kuchennych, ponieważ pod

halogenowymi żarówkami nie zainstalowano żadnej ochrony przed gorącem. Jeżeli światło paliło się w szafkach przez godzinę, można w nich było smażyć jajka. Jedynie Amélie była z tego zadowolona. Karmelizowany cukier, który ciekł z lamp, bardzo jej smakował.

To nasza córka najszybciej się dostosowała. W pierwszym tygodniu zakres jej słownictwa niezwykle się poszerzył. Najważniejszym poznanym przez nią słowem okazało się „superurządzenie”.

Superurządzeniem był na przykład klimatyzator wielkości dwa metry na metr, który z niejasnych dla nas powodów zajmował środek wybetonowanego ogrodu (o powierzchni ośmiu metrów kwadratowych). Placyk otaczał mur, pod którym na wąskich skrawkach ziemi posadzono kilka krzaków bukszpanu oraz jedno drzewo. Na nasze życzenie betonowe podłoże przykryto deskami, tak że ogród wyglądał teraz całkiem romantycznie. Niestety, nie mogliśmy z niego korzystać. Superklimatyzator wydmuchiwał tak dużo, tak gorącego powietrza, że nie dało się tam wysiedzieć.

Próbowałam właśnie kulawo wyjaśnić reprezentantowi właściciela domu, że chcielibyśmy korzystać z naszego tarasu, trzeba więc zlikwidować nawiew pustynnego wiatru, kiedy Amélie przybiegła w podskokach i oznajmiła:

– Mamo, w moim pokoju pada deszcz.

Świetnie.

Padalo też w trzech innych pomieszczeniach po włączeniu klimatyzacji. Mężczyźni, którzy montowali urządzenie, doprowadzili do niego węże na skroplone powietrze, zamiast odprowadzić je na zewnątrz. Cóż, też jakiś rodzaj ochłody.

Powoli uświadamiałam sobie, że robotnicy dniówkowi, którzy odstawiali fuszerkę w naszym domu, nigdy nie uczęszczali do szkoły zawodowej. Majstrowali tak, jak budowali czy reperowali własne chaty na wsi. Kiedy więc następnego ranka przyszło pięciu nowych do naprawy tego, co zepsuli inni, wiedziałam, że nie należy spodziewać się cudów.

Odzyskałam jednak wiarę w ludzi, gdy mężczyzna z nieznannej mi firmy zajmującej się zmywarkami, przedstawił się jako *dishwasher engineer*. To brzmiało prawie profesjonalnie. Technik wyjął z walizki pięciometrową gumową taśmę uszczelniającą, oderwał ze zmywarki starą (choć urządzenie było fabrycznie nowe) i nakleił własną. Po godzinie z dumą zaprezentował swoje dzieło. Drzwi nie dały się teraz zamknąć, uszczelka była za gruba. Mężczyzna nie wydawał się zaskoczony. Pożegnał się, obiecując, że jutro wpadnie z nowymi.

Tymczasem nowi robotnicy zdążyli oderwać okrywą klimatyzatora i rozłupać mur. Na świeżo pomalowanych ścianach zostawili przy tym odciski czarnych upačkanych rąk. Usiłowałam wyjaśnić szefowi tej bandy, że muszą te plamy zamalować. Ponieważ patrzył na mnie z niedowierzaniem, poprosiłam zarządczynię domu, by przetłumaczyła moje słowa. Żeby wszystko było jasne, wskazałam przykładowe pięć plam w pokoju dziecięcym z jakichś stu w całym domu.

Robotnik skinął głową, rzucił: *Okee, okee, deng ji xia*, chwileczkę, proszę, a po chwili wrócił z farbą i pędzlem. Zapaćkał pięć plam, które mu wcześniej pokazałam, przy okazji brudząc podłogę i pościel, a potem spojrzał na mnie zadowolony. Wściekła wskazałam inne plamy. Wzruszył ramionami, coś przeklął i poszedł. Zarządczyni przetłumaczyła mi jego słowa. „Nie powinnam się ciągle denerwować, bo to niedobre dla serca. Wszyscy pilnie pracowali, zamiast spać, jak na niektórych budowach. A innych plam przecież nie kazałam zamalowywać”.

Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Historia ze zmywarką skończyła się nie lepiej. Drzwi, które następnego dnia przyniósł *dishwasher engineer*, nie pasowały. Wpadłam w furję. Uparłam się, że mam dostać nowe urządzenie, produkt europejski. Po dwudziestu rozmowach telefonicznych zarządczyni

z właścicielem następnego dnia w domu pojawiła się zmywarka marki Brico. Nie znałam tej firmy, ponoć była brytyjska. Nie ciekła, ale kiedy ją włączyłam, wydała ogłuszający ryk, a potem zaczęła gwałtownie się trząść. Coś strzeliło. To nasz piękny blat z corianu pękł na całej długości.

Opadłam na zielony plastikowy stołek i zaczęłam ćwiczyć wdechy i wydechy. To tylko zmywarka – powtarzałam w myślach – tylko zmywarka, wszystko będzie dobrze. Zarządczyni domu spojrzała na mnie z troską. Wręczyła mi notatnik z podobizną Hello Kitty i długopis.

– Jaka marka? – zapytała.

Zapisałam: „Siemens albo Bosch”.

Teraz w naszej kuchni rzeczywiście stała niemiecka zmywarka, choć nie do końca. Był to model przeznaczony na rynek chiński, wyraźnie tańszy (głośniejszy i gorszy) od importowanego. Wszystko jedno, nie chciałam być niewdzięczna.

Sprawa z huśtawką

*Kiedy noszę w sercu zieloną gałąź,
może usiąść na niej śpiewający ptak.*

Weekend. Pierwsze dni bez robotników w domu. Amélie chciała iść się pohuścić. Tobi i ja woleliśmy pojechać do dzielnicy Pudong, po drugiej stronie rzeki Huangpu. Poszliśmy na kompromis: jednego dnia wieżowce, drugiego – huśtanie. Jazda metrem odbyła się bez problemów, trwała jednak, jak wszystko w Szanghaju, godziny. Samo przejechanie samochodem naszej ulicy Huai Hai ze wschodu na zachód zajmowało w zależności od sytuacji od czterdziestu do sześćdziesięciu minut. Tymczasem ledwo po godzinie byliśmy w „nowej zabudowie” Szanghaju. Przed dwudziestu pięciu laty Pudong nie był niczym innym niż bagnami, teraz pełnił rolę placu zabaw dla architektów z całego świata.

Zwiedzanie postanowiliśmy zacząć od wieży telewizyjnej Oriental Pearl Tower, mieszanki statku kosmicznego Oriona z berlińskim Alexem¹). Wjechaliśmy więc windą na platformę widokową i wcisnęliśmy się w tłum – zawsze wprawiało mnie w osłupienie, jak wiele osób da się upchać na metrze kwadratowym w Chinach. Zewsząd otaczały nas najdziwniejsze budynki, jakie kiedykolwiek widziałam. Tablice informacyjne pochodziły z dwutysięcznego siódmego roku i zdążyły się już zdezaktualizować. W najbliższym otoczeniu wieży stało co najmniej pięć nowych drapaczy chmur. Najnowszy wznosił się tuż przed naszymi oczami, w dystrykcie finansowym Lujiazui.

1) Potoczna nazwa wieży telewizyjnej na Alexanderplatz (przyp. tłum.).

Pudong, w zamierzeniach chińskiej władzy, powstał, by zastąpić nowojorską Wall Street, a symbolem nowego finansowego centrum świata miał być Shanghai World Financial Center. Ponoć budynek spoczywał na dwóch tysiącach kolumn wbitych w bagna rzeki. Wysoki na czterysta dziewięćdziesiąt dwa metry miał otrzymać tytuł najwyższego wieżowca na świecie. Wstrzymanie prac na pięć lat z powodu azjatyckiego kryzysu finansowego spowodowało, że zdążyły go wyprzedzić Taipei 101 w Tajpeju na Tajwanie (pięćset dziewięć metrów wysokości) oraz Burdż Chalifa w Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich (osiemset dwadzieścia dziewięć metrów)²).

2) W 2012 roku z podium zepchnął go Abraj Al Bait w Mekce w Arabii Saudyjskiej mający sześćset jeden metrów wysokości (przyp. tłum.).

W trakcie budowy biuro architektoniczne Kohn Pedersen Fox musiało przerobić projekt. Wieżę miał wieńczyć okrągły otwór, oburzano się jednak, że zbyt kojarzy się on z flagą Japonii, śmiertelnego wroga Chin. Z okrągłej dziury zrobiono więc prostokątną, a z planowanego symbolu natury – budynek miał otwierać się łagodnym okręgiem do nieba – powstał przesadnie duży otwieracz do butelek. Nie szkodzi, Chińczycy mają praktyczny zmysł, miniaturowa wersja swojej butelki piwa sprzedawała się rewelacyjnie.

W dwutysięcznym czternastym roku do otwieracza butelek i pobliskiej Jin Mao Tower miał dołączyć wysoki na sześćset trzydzieści dwa metry „kręty smok”. Sir Norman Foster zaproponował zbudowanie olbrzymiej bambusowej trzciny, ale podczas konkursu smok bardziej się spodobał. Widok nawet bez niego zapierał dech w piersiach. Byłam dumna, że przeprowadziliśmy się do tej dżungli z betonu i wieżowców, do miasta bez porządku, planu urbanistycznego czy logiki.

Amélie nie przyłączyła się do naszych zachwyty nad panoramą miasta. Wciąż była

fotografowana, czemu towarzyszyły pomrukiwania i obdarowywanie lizakami.

W niedzielę poszliśmy na spacer, by wywiązać się z obietnicy dotyczącej huśtawki. Zapewniono mnie, że świetny plac zabaw znajduje się w parku Fuxing. Jak wszystkie chińskie zieleńce, park okazał się niemal w całości wyłożony płytkami, gdzieś tam pozostawiono jedynie utrzymane w idealnej czystości grządki kwiatowe. Same rośliny, tak jak drzewa, pokrywał szary welon kurzu. Z krawężników, zwanych śpiewającymi kamieniami, wydobywała się głośna muzyka. Dudniące rzępolenie prześladowało człowieka także w windach, domach handlowych i holach.

Wesołą muzykę próbowało zagłuszyć kilku emerytów puszczających skoczne melodie z samodzielnie zrobionego przenośnego radiomagnetofonu (napędzanego baterią kunsztownie przyklejoną do wózka na kołkach kilogramem taśmy do pakowania). Nieco dalej grupa seniorów uczyła się tańców towarzyskich, przy czym wszystkie ich pląsy przypominały walca. Wśród uczących się były prawie same kobiety, parami otaczały nauczycielkę i próbowały stosować się do jej wskazówek.

Szukaliśmy huśtawki, a znaleźliśmy starą karuzelę, zardzewiałą minikolejkę górską, która jeździła z prędkością dwóch kilometrów na godzinę, i stoisko z watą cukrową. Co zadziwiające, jedli ją tylko dorośli. Jakiś szesnastoletni chłopiec podarował Amélie balonik i powiedział po angielsku, że będzie ją kochał.

Obeszliśmy jeszcze dwa inne parki. W żadnym nie znaleźliśmy huśtawki. Byłam wściekła, że złożyliśmy tak lekkomyślną obietnicę. Wracając, przez okno taksówki dojrzałam kolorowe sprzęty do zabawy. Kazałam się zatrzymać, ale kiedy do nich dotarliśmy, okazały się urządzeniami sportowymi dla seniorów. Orbitrek, wioślarz, stepper, kółka gimnastyczne – niemal każdy park proponował tego typu sprzęt do fitnessu. Wszystko poza ciężarkami. Korzystali z tego ludzie powyżej pięćdziesiątki, widać ani młodzi, ani dzieci nie chodzili do parków.

Na koniec obwoźny handlarz wcisnął nam napędzany na baterie pistolet do baniek mydlanych. Z różowej pieniącej się wody powstawały piękne, przezroczyste bąbelki. Amélie dała nam wreszcie spokój, zajęta nową zabawką. Pistolet wytrzymał dokładnie dwie godziny, potem z kolby leciały tylko różowe mydliny.

Cóż, made in China.

Pierwsza utrata twarzy

*Dopóki nie potrafisz wybaczyć innemu jego odmienności,
dopóty wciąż jesteś daleko od drogi mądrości.*

Padalo nieprzerwanie od dwóch tygodni. Nasz nastrój sięgnął dna. Chińczycy nazywają taką deszczową porę w czerwcu *meiyu* – „czas, który przynosi jagody”. Cenniejsza byłaby nazwa – „czas, który przynosi pleśń”.

W naszym salonie na ścianach wykwitły interesujące motywy roślinne. Połyskiwały tęczą kolorów, od jasnej do ciemnej zieleni.

Designer, którego widok budził we mnie demony, postanowił usunąć problem, wylewając na zewnętrzne mury wodoodporny lakier. Właśnie tak – wylewając. Wziął wiadro i zaczął chlustać cieczą na ściany.

Nasz dom, jedyny odnowiony na ulicy, wyglądał teraz tak samo niechlujnie jak inne.

Wkrótce przyłapałam malarza w salonie, jak uzbrojony w wiaderko i pędzelek zabierał się za zamalowywanie plam pleśni zwykłą farbą. Próbując być miłą, poprosiłam, by sobie poszedł. Przeczytałam, że w Chinach niezwykle ważną sprawą jest zachowanie spokoju. Wrzaski i brak kontroli nie uchodzą, traci się wtedy twarz.

Potem pojawił się stolarz (czy jak tam się kazał nazywać). Miał zamontować barierkę przy schodach w korytarzu. Cudownie, pomyślałam, kiedy wyjął wiertarkę. Niech przy okazji wywierci otwór w szafce telewizyjnej, żebyśmy w końcu mogli schować kłębówisko kabli, o które codziennie się potykaliśmy. Przetłumaczenie zdania: „Proszę wywiercić otwór w szafie”, zajęło Wendy, zarządczyni domu, dziesięć minut. Odpowiedź stolarza trwała mniej więcej tyle samo. Wendy przełoży ją jednak krótko i zwięźle:

– *Cannot*, nie może.

Chciałam wiedzieć, dlaczego.

– Och – odparła – on jest odpowiedzialny za dziury wiercone w ścianach. Mężczyzna, który robi otwory w drewnie, musi zostać umówiony. A na to potrzebujemy zgody właściciela domu.

Amélie codziennie pytała, kiedy zaczyna się jej przedszkole. Krążyła przy tym między piłami tarczowymi, lutownicami i wiadrami z lakierem, które walały się dosłownie wszędzie. Lista problemów w domu urosła do trzydziestu trzech. Zapach chemikaliów stał się nie do zniesienia. Letni program w przedszkolu miał się zacząć za dwanaście dni. I tyle jeszcze zapowiadano deszczu. Za dziesięć dni miał natomiast przybyć kontener z meblami i zabawkami.

Kiedy po południu niebo trochę się rozjaśniło, wyszłam z Amélie na spacer.

Chyba można zostawić robotników na kilka godzin z zarządczynią domu?

Główną atrakcją dnia, a gdzie tam – całego tygodnia, było odkrycie przez nas centrum handlowego wraz z kompleksem kinowym, tuż za rogiem. Znalazłyśmy tam Starbucks Coffee Shop i dobrej jakości supermarket City Shop z towarami z importu – był niemiecki ekologiczny chleb orkiszowy, szpinak w sosie śmietanowym oraz płatki kukurydziane (wszystko za jedyne osiem euro). No i odkryłyśmy lodziarnię z lodami produkowanymi na miejscu, które nawet smakowały trochę jak we Włoszech. To wystarczało, żeby przeżyć.

Włóczyłyśmy się po centrum dwie godziny, a potem w nadzwyczaj dobrych humorach, z wielkimi lodowymi rożkami w rękach ruszyłyśmy do domu.

Robotnicy, którzy mieli wymontować wadliwe szklane drzwi w prysznicu Amélie,

zdążyli w tym czasie rozbić nowo położone kafelki, a malarz, który ponownie wślizgnął się do domu pod moją nieobecność, zostawił rolkę do malowania i pędzel w wannie, gdzie zaschły i przywarły do ceramiki.

Już nie mogłam, chciałam do Niemiec.

Ekspłodowałam.

Z dzikim wrzaskiem wyrzuciłam robotników z domu – dwunastu mężczyzn, łącznie z designerem, wszystkich mniejszych i chudszych ode mnie – i posłałam za nimi pędzel i rolkę do malowania.

Amélie płakała. Takiej mnie jeszcze nie znała. Ja siebie również nie. Nie wiedziałam, do czego będę zdolna, jeśli spędzę w tym kraju dwa lata.

Wendy też się przestraszyła. Próbowałam ją uspokoić, mówiąc, że proszę jedynie, by właściciel domu przysłał profesjonalnych rzemieślników, a nie chłopów. Skinęła tylko głową, szybko włożyła buty i się wymknęła.

Zaczęłam szorować wannę, ale była nie do uratowania. Farba zbyt głęboko weszła w drogą imitację ceramiki.

Pomyślałam o robotnikach, którzy remontowali nasz dom w Hamburgu. Jakże byłam dla nich niesprawiedliwa. Denerwowałam się, że godzinę się spóźnili, przeklinałam, kiedy przekroczyli planowany czas lub budżet. Ależ wykazywałam małostkowość. To byli zawodowcy, mieli jakieś wykształcenie. Porządne wykształcenie. I naprawiali przedmioty, a nie je niszczyli.

Jak to możliwe, że świat drży przed Chinami, krajem takich „rzemieślników” i „techników”? Żaden z tych ludzi nie myśli, tylko wykonuje drobiazgowo to, co mu kazano. Nowo wybudowane domy po czterech latach uchodzą za stare, a po kolejnych czterech się rozpadają. Czy to możliwe, czy tylko my mieliśmy tak wielkiego pecha?

Nie, nie chodziło o brak szczęścia.

Przypomniałam sobie, jak kanadyjski kolega Tobiego musiał wyprowadzić się z Rich Gate, najbardziej luksusowego kompleksu apartamentowego w Szanghaju (cena wynajmu to około dwadzieścia osiem euro za metr kwadratowy). W czasie rozbudowy zapomniano o wymianie rur odprowadzających ścieki i mieszkańcy musieli wyrzucać papier toaletowy do wiader, a nie do sedesu. Jego żona nie mogła tego znieść. W dodatku w ich kuchni okropnie śmierdziało. Kazali rozebrać wszystkie szafki, ale nie znaleźli przyczyny fetoru. Dopiero kiedy wymieniali zlew, odkryli resztki rozkładającego się dwuletniego obiadu. Robotnik, który montował zlew, najwyraźniej pozbył się pudełka z resztkami wieprzowego ragoût, wkładając je do dziury pod blatem kuchennym.

Wieczorem wraz z Amélie oglądaliśmy film o pięcioletniej Heidi. Zabrana od dziadka dziewczynka znalazła się we Frankfurcie, by dotrzymać towarzystwa chorej Klarze. Pozbawiona wszystkiego, co kochała – alpejskich krajobrazów i ukochanego domu – była bardzo smutna. Chciała wrócić do siebie.

Rozryczałam się.

To całkiem łatwe bez twarzy.

Guiling, Herr Li i luksusowa toaleta

*Zanim wybierzesz się naprawiać świat,
przejdź trzy razy przez własny dom.*

Ayi dosłownie znaczy „ciocia”. W Chinach każdy obcokrajowiec ma przynajmniej jedną ciocię. Są tanie i z reguły robią wszystko – sprzątaj, piorą, gotują, zajmują się dziećmi, a nawet więcej. Uświadomiła mi to pewna Belgijka. Pierwsza *ayi* ukradła jej całą zawartość szafy z ubraniami, druga regularnie kąpała się w jacuzzi, zostawiając na ściankach mnóstwo czarnych włosów, ostatnia zaś, młoda siksa z prowincji Anhui, nagusieńka zaoferowała jej mężowi seks za *extra money*.

Z agencji zajmującej się pracami porządkowymi dostałam esemes z ofertą dwóch cioc. Miss Zhao miała dwadzieścia osiem lat, Guiling – pięćdziesiąt. Oczywiście wołałam tę starszą. Na rozmowę kwalifikacyjną przyszły jednak razem. Jedna usiadła na zapleśniałym tapczanie należącym do wynajmującego nam dom, druga – na zdezelowanym stołku.

Pokazały swoje listy polecające. Znały kilka słów po angielsku, dlatego były dwa razy droższe od zwykłych *ayi*. Za pracę w pełnym wymiarze zażądały dwustu pięćdziesięciu euro na miesiąc.

Nasz sprzątacznik w Hamburgu brał tyle samo – przychodził raz w tygodniu.

Fantastycznie. Nie będę już więcej pracować, gotować, odkurzać i prasować koszul. Zwolniłam się z pracy w Hamburgu, a teraz zostałam bezrobotną w domu.

– Co inne *tai tai*, żony, robią przez cały dzień? – zapytałam kilka dni później jedną z mam w przedszkolu.

– Uczą się chińskiego, chodzą na zakupy, do manikiurzystki i pedikiurzystki, robią sobie masaż stóp, jeżdżą na targowisko Fake lub na targ staroci, zapisują się na jogę albo tai-chi, uczestniczą w Charity Bazaar – wyliczyła.

A potem zaczynają od nowa. Jeśli bardzo się nudzą, mogą jeszcze odwiedzać chińskie domy sierot.

Poprosiłam Guiling, żeby zaczęła pracę od następnego dnia, a sobie kupiłam przewodnik *Jak przeżyć ze służącą*. Przekartkowałam go, leżąc w łóżku. Podawał najważniejsze zdania przydatne w codziennym obcowaniu z *ayi*, wszystko po chińsku: „Zdejmij, proszę, buty w domu!”, „Proszę, umyj sobie włosy!”, „Umyj, proszę, zęby!”. I tak dalej. Do przewodnika dołączono płytę CD, żeby nie było kłopotów z wymową. Zasnęłam przy rozdziale *Pytania tai tai do ayi*.

Rano Guiling zadzwoniła do drzwi w kwiecistych spodniach od piżamy. Aby uczcić nową pracę, ufarbowała sobie włosy na czerwono i zrobiła trwałą. Nie miała więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, była krępa i krzepka. To dobrze, pomyślałam, w domu czekał na nią od razu niezbyt przyjemny test wytrzymałości. Jedna z *luxury toilets* nie wytrzymała obciążenia (biegunka wszystkich członków rodziny) i wybiła, rozlewając swoją zawartość po całym parterze.

Guiling zaliczyła sprawdzian brawurowo. Spojrzała sceptycznie na mój drogi importowany mop, rzuciła krótkie: *No good!*, „Niedobre!”, i poszła kupić u handlarza z naprzeciwka chiński model – drewniany trzonek z przywiązanymi na końcu kolorowymi resztkami materiału. Po krótkim zwiedzaniu domu oznajmiła: *Old house, no good!*, „Stary dom, zły!”. Jej wymogów jakości nie spełniły również packa na muchy oraz środki czystości, które

wyszukałam w Carrefourze (skąd miałam wiedzieć, które z butelek z kolorowymi znaczkami są dobre do szkła, podłóg oraz naczyń?).

Przez całe przedpołudnie potrzasała głową i powtarzała pięć angielskich słów, które dawały jej władzę: *No good. Me show you.* „Niedobre. Mnie pokazać tobie”. Około południa wskoczyła na rower i wróciła z sześcioma torbami wypełnionymi środkami czystości i warzywami. Do tego dołożyła elektryczną łapkę na muchy z ładowalnym akumulatorkiem. Od tej paczki Amélie doznała swojego pierwszego kopnięcia prądu.

– *E bu e?* – Guiling wskazała na torbę z warzywami.

Przekartkowałam poradnik, rozdział *Pytania ayi do tai tai*, i znalazłam następujące tłumaczenie: „Głodna, nie głodna?”. Przytaknęłam, że głodna, i zajrzałam do toreb. Znajdowały się w nich zielone łodygi i liście, krewetki, kurczak oraz pomidory, wszystko wyglądało na świeże i smaczne. Przez chwilę zapomniałam o przekonujących ostrzeżeniach przed chińskimi warzywami (pełnymi pestycydów) i mięsem (pełnym anaboliów). Wszystko jedno, przeżyjemy.

Guiling wpakowała zieleninę do umywalki i nalała wody. Była żółta, jak zawsze. W toaletach zawiesiliśmy kostki odkażające o zapachu morskim, z Carrefoura, tak że woda po splukaniu robiła się niebieska. Kiedy załatwiał się potrzebę, zmieniała kolor na zielony. Za każdym razem Amélie spędzała przynajmniej pół godziny w toalecie, przyglądając się „czarodziejskiej zmianie barw”.

Wracając jednak do warzyw pływających w żółtej wodzie – Guiling wylała na nie całą zawartość butelki z płynem do naczyń. Wydałam histeryczny krzyk, który *ayi* skwitowała związłym: *Very good, me show you.* Zielona butelka nie zawierała płynu do naczyń, ale do mycia warzyw.

Wdech, wydech, tylko spokojnie – powiedziałam do siebie. Przeżyjemy i to. Biegunkę i tak już mamy.

Zadzwieć dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć.

Na progu stała mocno umalowana kobieta. Była z zarządu domu i, jak mnie poinformowała, nazywała się – Rainbow, Tęcza. Wraz z nią przyszło trzech robotników: Mr. Li – *toilet engineer*, Mr. Wang – nowy designer, i Mr. Zhang – tego już znałam, podczas ostatniej próby naprawienia ubikacji zużył dwa opakowania silikonu.

Mężczyzna od toalet stwierdził, że odpływ jest zatkany i że sedes nie został fachowo zainstalowany, czym od razu wzbudził moją sympatię. Potem w trójkę wzięli się za kopanie dziury przed drzwiami domu.

Na ulicy zebrali się wszyscy sąsiedzi.

Kiedy znów znaleźliśmy się – ja wraz z robotnikami oraz Guiling i Tęczą – w toalecie, spróbowałam wyjaśnić ekspertowi, który wydał mi się jedynym profesjonalistą w tym gronie, że byłoby wspaniale, gdyby plastikowa deska sedesowa w tej luksusowej ubikacji została lepiej zamocowana. Przy każdym siadaniu przesunęła się, przyciskając skórę, co było naprawdę bolesne. Moje słowa tłumaczyła Guiling. Jak, sama nie wiem. Mężczyzna potrzasał tylko głową. W końcu ostrożnie usiadł na sedesie, jakby siadał na surowym jajku, i oznajmił:

– *Mei you wenti.* Nie ma problemu.

Przystąpiłam więc do kontraktaku. Z impetem opadłam na muszlę klozetową. Deska zapiszczała i przesunęła się, tak jak tego oczekiwałam.

Robotnicy, Guiling i Rainbow popatrzyli na mnie jak na kosmitkę. A potem Tęcza powoli powiedziała:

– No nie wiem, jeszcze nie byłam w Europie, ale my tu w Chinach nie siadamy tak na sedesie.

Mój spokój gdzieś uleciał. A ponieważ i tak straciłam już twarz, demonstrując kłapnięcie

na klozet, wrzasnęłam:

– A my siadamy właśnie tak. Chcę mieć przyzwoitą deskę! – I dodałam już ciszej, niemal prosząco: – *Good quality, please, toilet seat good quality*. Deskę sedesową dobrej jakości, proszę.

Tęcza przetłumaczyła.

– *Mei you. Ham wa nich* – odpowiedział spec od toalet.

A potem wsiadł na swój napędzany elektrycznie rower, który trzymał się w całości dzięki taśmie do pakowania, i triumfalnie odjechał.

Coraz gorzej i gorzej

*Nadzieja jest jak cukier w herbacie:
nawet jeśli jest drobny, osładza wszystko.*

Tymczasem pływaliśmy we własnych odchodach. Pomyślałam, że gorzej być nie może. Myliłam się.

Zadzwoił mój tata. Dzięki wnioskowi o dostarczanie poczty pod wskazany adres czerwony list z urzędu skarbowego po tygodniu błędzenia w Niemczech trafił w końcu do niego. Wydał mu się ważny, więc go otworzył. Z powodu niewpłacenia w terminie wyrównawczej kwoty podatku nasz dom w Hamburgu został zastawiony. Zarząd Deutsche Banku także otrzymał taki list, z nakazem udostępnienia naszych kont. Pływaliśmy w gównie nie tylko w Chinach. Nie mogliśmy podjąć żadnych pieniędzy.

Tobi zadzwonił do naszej doradczynie podatkowej. Dobrze, że była daleko, inaczej natychmiast bym ją udusiła. Była niedziela, odbywała więc konną przejażdżkę. Teraz nie może dla nas nic zrobić, oznajmiła spokojnie, urząd skarbowy musiał się pomylić, ona już dawno wszystko wyjaśniła.

W tle słychać było stukot końskich kopyt i świergot ptaków. Idylla.

Zostały nam dwie możliwości: płacz albo upicie.

Nie chciałam już ryczeć, Tobi oczywiście też nie, kupiliśmy więc w naszym pobliskim sklepiku, czynnym dwadzieścia cztery godziny na dobę piwa w puszcze, wszystkie rodzaje. Wypiliśmy jedno japońskie, trzy chińskie, jednego Budweisera i jednego Heinekena (kosztował cztery razy więcej niż wszystkie pozostałe razem wzięte). Kiedy nie było już puszek, otworzyliśmy szampana Freixenet, kupionego w Carrefourze za szesnaście euro. Może na dnie butelki znajdziemy bąbelki nadziei, łudziliśmy się.

Potem porozmawialiśmy przez Skype'a ze znajomymi w Hamburgu. Musieli zmartwić się naszym stanem, byliśmy nieźle wstawieni. Tylko tak mogliśmy jednak znieść świadomość, że oni następnego tydzień spędzą w przytulnym wiejskim gospodarstwie na wyspie Sylt.

Skype to dla mnie cud techniki. Widzi się osoby, z którymi się rozmawia, są one tak blisko, że chciałoby się je objąć, a to, że nie można tego zrobić, okazuje się jednocześnie i dobre, i bolesne. Dzięki Skype'owi nigdy nie miałam uczucia zbytniego oddalenia od przyjaciół. Mogłam podziwiać ich nowe ciuchy i fryzury oraz dopiero co przywiezioną ze sklepu sofę. No właśnie: gdzie ja mam chodzić do fryzjera w Szanghaju?

Naszym przyjaciołom udało się nas pocieszyć. Z całą powagą stwierdzili, że już niedługo będziemy się śmiać z tych pierwszych miesięcy w Chinach. A w życiu mogą się przytrafić znacznie gorsze rzeczy niż nieszczelna toaleta.

To napawało nadzieją. No i w ich salonie czekała na nas zielona sofa. Zawsze mogliśmy się na niej przespać.

Wielkie dzięki.

Tylko dla mężczyzn (*Is better for you*)

Ucieczka we właściwym czasie jest tym, co najlepsze.

Stojący przed drzwiami Fang miał radośnie błyszczące oczy. Właśnie zajechał naszym nowym samochodem – buickiem gt8. Wszyscy cudzoziemcy mieli takie bryki, wyposażenie też było standardowe. Zgodnie z wytycznymi firmy mogliśmy wybierać między białą, niebieską lub srebrną kolubryną z siedmioma siedzeniami. Wybraliśmy kolor biały. Fang był szczęśliwy – na buicka w tym kolorze zdecydowali się nieliczni, gdyż oznaczało to osiem tygodni czekania. Nasz model miał zintegrowany odtwarzacz DVD, Fang cieszył się więc, że będzie mógł oglądać filmy, godzinami czekając na mnie czy Tobiego.

Amélie od razu zabrała do samochodu piosenki dla dzieci Detleva Jökera. Nie ma nic straszniejszego – to odpowiednik barda Reinharda Meya dla małych słuchaczy. Przeklinałam mamę, która podarowała nam ten komplet płyt.

Od teraz Fang każdego dnia musiał słuchać piosenek o myszce i samochodziku. Amélie nigdy o nich nie zapomniała.

– Fang, *kindermusic, please*. Poproszę muzykę dla dzieci – mówiła, wsiadając do samochodu.

Oboje, mimo problemów z komunikacją, zadziwiająco szybko się zaprzyjaźnili. Fang podarował nawet Amélie chińskie pałeczki dla dzieci, na które z upodobaniem nabijała ser.

Nowy samochód nie rozwiął tęsknoty Tobiego za naszym ukochanym starym autem. Pozwalaliśmy się wozić jakiemuś kierowcy małym autobusem, podczas gdy w hamburskim garażu rdzewiało wspaniałe auto. W proteście Tobi wybrał buicka z najmocniejszym silnikiem, chociaż przeciętna prędkość w Szanghaju wynosiła jedenaście kilometrów na godzinę, a Fang jeździł jeszcze wolniej. Już cieszyłam się na myśl, że prześcignę naszego kierowcę na rowerze, gdy ten w końcu nadejdzie wraz z kontenerem.

W Szanghaju prowadzenie samochodu przez obcokrajowca właściwie nie wchodzi w grę. Z kilku powodów.

Nikt nie przestrzega tu przepisów drogowych, sześciopasmowe autostrady przekształcają się w ośmiopasmówki, światła uliczne, choć istnieją, to jakby ich nie było, wszyscy wjeżdżają jednocześnie na skrzyżowanie, a potem ciągną się w ślimaczym tempie, wzajemnie na siebie trąbiąc. Na każdym rogu zdarzają się mniejsze lub większe wypadki, w których nie chciałoby się uczestniczyć.

I najważniejsze: wprawdzie bez problemu kupuje się tu samochód, ale nie tablice rejestracyjne. Te co cztery tygodnie urząd wystawia na licytację. Co miesiąc około piętnastu tysięcy osób bije się o pięć tysięcy numerów rejestracyjnych. Średnia cena to cztery tysiące euro. Na czarnym rynku – eBayu, odpowiednio więcej.

Należało cieszyć się białym minibusem. Niestety, Fang, czyniąc honory jego nazwie, która po chińsku oznacza „dobrze pachnący”, kupił automatyczny rozpylacz zapachu i triumfalnie umieścił go w samochodzie. Nieznośny wiśniowy zapach atakował człowieka od drzwi, które zresztą otwierały się automatycznie, co od razu mi się spodobało. Za każdym razem, kiedy podjeżdżaliśmy pod Jia Le Fu, jak nazywa się w Chinach Carrefoura, wysiadając, czułam się jak Lady Di.

Jia Le Fu oznacza „rodzina, szczęście, dostatek” – niestety, nic z tego nie można było kupić przy kasie. Pomędzy ropuchami i węzami, które witały klientów przy wejściu, z każdej

Lady Di robiła się szybko zwykła *tai tai*, która na koniec z wypchanymi torbami i paletami pełnymi importowanego mleka czekała w podziemnym garażu na zabranie do domu.

Tego dnia, kiedy w naszym życiu pojawił się biały buick, Tobi wrócił po pracy ledwo żywy. Powlókł się na górę i z jękiem położył na łóżku. Powiedział, że odwiedził salon masażu. Muszę tu wyjaśnić, że od miesiąca Tobi kulił się przy małym biurku w wielkim otwartym pomieszczeniu biurowym, mając przed oczyma monitor laptopa, na którym pojawiały się same niezrozumiałe programy. Jego telefon miał chińską klawiaturę i w takim języku instrukcję obsługi, a on nie potrafił nawet otworzyć skrzynki z wiadomościami.

To przedpołudnie spędził na zamawianiu gumki do wycierania. W Chinach wszystko jest regulowane centralnie, w sposób jak najbardziej nowoczesny, czyli online, i każdy pracownik jest zobowiązany do zamawiania materiałów biurowych przez Internet. Tobi w końcu się poddał. Poprosił Fanga, by przywiózł mu z najbliższego sklepu papierniczego długopisy, dziurkacz oraz papier. Potem spróbował zdobyć regał i poległ na całej linii. Kobieta upoważniona do rozdzielania mebli biurowych oznajmiła lakonicznie:

– *Cannot*. Nie mogę.

Prawdopodobnie zabrakło kilku czerwonych pieczętek. Dla pewności skonsultowała swoją decyzję z komputerem. On też powiedział „nie”. I dodał, jak zakomunikowała kobieta Tobiemu, że może mu dać regał dopiero wtedy, kiedy zrezygnuje ze swojego jakiegoś pracownika. Zasada jest zasadą, w chińskiej biurokracji wyjątki nie istnieją.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Tobi.

Tego komputer nie wiedział.

Firma dbała jednak o pracowników. By czuli się dobrze, wdrożyła projekt *Little things that make your day happy*. Do „małych rzeczy, które czynią twój dzień szczęśliwszym”, zaliczały się gruszki *nashi* i banany. Można je było brać za darmo z wystawionych koszy. Ponieważ kantyna oferowała codziennie to samo jedzenie (smażony ryż, pierożki z wieprzowiną, rosół z makaronem, w którym pływały także obrzydliwe kości i wnętrzności), Tobi rzeczywiście był wdzięczny. Od razu dostał jednak upomnienie od chińskiej koleżanki. Zauważyła, że wziął z kosza i gruszkę, i banana, a przecież dla każdego pracownika przewidziano tylko jeden owoc dziennie.

Krótko mówiąc, Tobi wciąż był w szoku. Co wieczór pytał, dlaczego ładne, wielkie biuro w Hamburgu, dwie zręczne asystentki i lubianych współpracowników zamienił na pracę w Szanghaju. Jak to możliwe, że wyjechał za granicę, by zamawiać gumki i przeliczać gruszki *nashi*?

Po kolejnym frustrującym dniu w biurze wstąpił więc do salonu masażu, by się zrelaksować. Przy kasie pracownica zaproponowała mu *special treatment massage, only for men*, specjalny leczniczy masaż, tylko dla mężczyzn. Z uzasadnieniem: *Better for you*. „Lepszy dla pana”. Dla niej zresztą też, kosztował dwa razy więcej.

Dał się przekonać. Zaprowadziła go na górne piętro, z dala od innych klientów, poprosiła o założenie lnianych majtek i wskazała pryczę. Obawiał się najgorszego. Pomyślał nawet, jak mi opowiadał, o ucieczce. Powiedział coś w rodzaju: „Halo, proszę pani, mam trzydzieści siedem lat i jestem jeszcze niczego sobie, nie muszę płacić za seks”.

Zamiast odpowiedzi otrzymał wycisk.

Tak mocno gniotła i miętoszyła jego plecy, że wciąż widać było na nich czerwone plamy. Na zakończenie zaś powiedziała:

– *You see, better for men, too hard for women*. Widzisz, lepszy dla mężczyzn, za mocny dla kobiet.

IKEA albo wszystko będzie dobrze

Kiedy ktoś przeżyje katastrofę, ma szczęście.

Od trzech dni sikaliśmy do plastikowych misek, ale dzięki IKEI każde z nas czuło się trochę jak w domu. Był to bowiem ten sam zestaw naczyń, jaki mieliśmy w Hamburgu.

Jeszcze przed wyjazdem postanowiliśmy unikać niebiesko-żółtego sklepu meblowego w Szanghaju. Dopiero niedawno wyrzuciliśmy uroczyście ostatni regał Billy. Tu jednak zaczynaliśmy wszystko od początku. Zdałam się więc na los i kupiłam w IKEI nie tylko zestaw naczyń, ale też regał Expedit. Garnka do makaronu z wmontowanym sitkiem jeszcze nie znałam.

IKEA zwała się w Chinach *Yi Jia*, co dosłownie znaczyło „pasujący do domu”. Trzeba przyznać, że Chińczycy byli niezwykle pomysłowi w przekładaniu na swój język nazw zagranicznych firm. Kto chciał odnieść sukces na tutejszym rynku, musiał to zaakceptować. Potencjalni klienci chcieli bez problemu wymawiać nazwę firmy czy produktu, zawsze też lepiej, żeby miała ona jakiś sens. Szuka się więc albo podobieństw fonetycznych, podobnie brzmiące kombinacji sylab (jak przy schińszczeniu imion i nazwisk: Martin – Madin, Petra – Peidela, Goethe – Gede, Schröder – Shiluode), albo semantycznych odpowiedników (Felix to Xingfu, „szczęśliwy”).

Istniała jeszcze inna możliwość – spróbować połączyć jedno z drugim. Wyjątkowo dobrze udało się to koncernowi Coca-Cola – po chińsku Kekou Kele, co oznaczało „dobrze smakuje i sprawia radość”. Początki były jednak zupełnie nieudane. Szukano przede wszystkim fonetycznego podobieństwa. I znaleziono – Kouke Koula. Żaden Chińczyk nie chciał jednak kupować napoju, którego nazwa oznaczała „ugryzienie woskowej kijanki”.

Inne ciekawe, udane schińszczenia to Ximenzi dla Siemensa („brama Zachodu”) oraz Ba Mao dla BMW („drogocenny koń”).

Czasem jednak nawet dobra nazwa nie wystarczy. Kiedy w dwutysięcznym roku OBI otworzyło w Wuxi niedaleko Szanghaju pierwszy sklep o wiele mówiącej nazwie Oubeide, „Europa, podwójnie niemiecka”, wydawało się, że sukces ma w kieszeni. Nie pomyślano jednak, że Chińczycy za cenę podwójnie niemieckiego śrubokrętu z nierdzewną końcówką ze stali szlachetnej, będą woleli chińskiego robotnika z chińskim tanim wkrętakiem kupionym u sprzedawcy za rogiem. Śrubokręt wytrzymał tylko kilka miesięcy, ale można go było naprawić, wystarczyło trochę taśmy. Inny asortyment, na przykład skandynawskie drewniane domki z wbudowaną sauną, też się nie przyjął. Po pięciu latach chińskiej euforii i zainwestowaniu stu trzydziestu milionów euro OBI wycofało się z tego rynku, sprzedając osiemnaście filii brytyjskiemu konkurentowi Kingfisherowi.

Tymczasem ponad osiemdziesięcioletni Ingvar Kamprad najwidoczniej lepiej wyczuł tutejszych ludzi. Od dziewięćdziesiątego ósmego roku, kiedy w Szanghaju otworzono pierwszy sklep IKEI, sieć, znana ze swojego „demokratycznego designu”, rozpoczęła zwycięski pochód po Chinach. Wprawdzie co niektórzy z oburzeniem potrząsali głową, że sprzedaje się Chińczykom tekturowe pudełka (!) za pięćdziesiąt dziewięć juanów (sześć euro), ale dla rosnącej w siłę klasy średniej bycie okazjonalnie nierozsądnym stało się wyznacznikiem statusu. Oferta *Yi Jia* uchodziła za „szykowny design w nierozsądnej cenie” i każdy z Chińczyków chciałby mieć w domu sofę Ektor – bardzo *shi shang*, na topie.

Oczywiście sklepy IKEI wyglądały w Szanghaju jak wszędzie indziej. Jedyne różnica – było w nich jeszcze tłoczniej niż w hamburskim Schnelsen w sobotnie przedpołudnie.

W restauracji sprzedawano *köttbullar*, szwedzkie klopsiki, obowiązkowo z ziemniaczanym purée. Danie kosztowało więcej niż w Niemczech, do tego trzeba było dwa razy dłużej stać w kolejce.

Do automatu z napojami nie udało się nam dostać. Był oblężony przez Chińczyków, dla których słowo „samoobsługa” oznaczało, że można bez końca nalewać sobie colę i sprite’a. Po raz pierwszy poczułam, że mam nad tymi ludźmi przewagę: wiedziałam, o co chodzi!

Zakupy miały w sobie coś podnoszącego na duchu, ale też nas przygnębiły. Zostawiliśmy w kasie dwieście pięćdziesiąt euro, zrezygnowaliśmy z proponowanej Family Card, wzięliśmy w zamian na pocieszenie rolkę czekolady marabou. Zdążyła się roztopić w drodze do samochodu. Podczas powrotu dostaliśmy esemes od zarządczyni domu: toalety wprawdzie wciąż były nieszczerne, ale technik pracował nad rozwiązaniem. Właściciel domu zgodził się natomiast na nowe deski sedesowe.

Wieczorem postanowiliśmy wyjść we dwójkę do knajpki. Amélie po raz pierwszy miała zostać z Guiling. Trochę to przeżywałam. W głowie kołatały mi się myśli: co, jeśli Guiling ją uprowadzi? Jak dużo pieniędzy można tu dostać za małą dziewczynkę z blond loczkami? Jak miałabym ją odnaleźć? Tobi kazał mi się wziąć w garść, w końcu znaleźmy numer telefonu nie tylko Guiling, ale też szefów jej agencji. Poszliśmy do Bamboo, restauracji wietnamskiej. Przy niskich stolikach siedzieli dobrze wyglądający ludzie między trzydziestką a czterdziestką, pili koktajle i wściekle kłapali pałeczkami o niezliczone talerze ustawione na stolikach. Jedzenie wyglądało fantastycznie i tak też smakowało. Po raz pierwszy od trzech tygodni poczułam się jak cywilizowany człowiek w cywilizowanym miejscu. Było wspaniale! Wszystko wokół było fascynujące i ciekawe: jedzenie, ludzie, bar, kelnerki, nawet kompozycje kwiatowe – niewiele razy widziałam coś tak niezwykłego. I nikt nie nosił kłapek kąpielowych ani piżamy!

Zamówiliśmy butelkę australijskiego wina (jedyne poniżej sześćdziesięciu euro). Smakowało okropnie, ale z wodą i kostkami dało się wypić. Nic nie było w stanie zepsuć tego wieczoru. Ach! Mieszkaliśmy w cudownym mieście, w prawdziwym *place to be*, miejscu, w którym należało być. Nowy Jork to przeżytek, dziś na topie jest Szanghaj.

Podniosłam kieliszek, a Tobi wzniosł toast: *Ganbei!* „Wysusz kieliszek”, czyli na zdrowie!

Nie zamierzałam już narzekać i przeklinać.

Witaj Szanghaju! Jeszcze się poznamy i polubimy.

Byłam tego pewna.

Przedszkole

*Zwróć twarz ku słońcu,
wtedy cienie będą za tobą.*

Wreszcie. Byłam wolna. Po trzech tygodniach robienia papierowych gąsienic, liczenia mrówek (szczególnie licznych na trasie prowadzącej ze zmywalni przez salon do ogrodu), organizowania pikników, malowania liter (P jak pleśń, T jak toaleta, Z jak zepsuty), układania klocków Lego i bawienia się w Edera i Pumuckla³) (byłam stolarzem, a Amélie koboltem, który dla żartów ukrywał wszystkie miski – to niewiarygodne, ale na ich szukaniu można spędzić całe popołudnie). Zaczął się letni program w przedszkolu. Budynek znajdował się w centrum dawnej dzielnicy francuskiej, najpiękniejszej części miasta, a przynajmniej najbardziej europejskiej. Topolowe aleje ocieniały domy, mnóstwo osób jeździło na rowerach, wszędzie zapraszały do wejścia kawiarnie i działały małe butiki.

3) Pumuckl – psotny kobolt, opiekuńczy duch z popularnego niemieckiego słuchowiska radiowego (przyp. tłum.).

Przedszkola na obrzeżach miasta, przy osiedlach zbudowanych specjalnie dla obcokrajowców, ze znudzonymi, puszystymi matkami godzinami wyczekującymi na dzieci wydawały się nam koszmarnie. Byłam bardzo ciekawa, czy to, które wybraliśmy, spełni nasze oczekiwania. Przede wszystkim chciałam poznać inne matki – trochę kontaktu z ludźmi nie zaszkodzi.

Amélie, zobaczywszy przedszkole, aż głośno zapiszczała ze szczęścia. Była huśtawka, trzy olbrzymie złote rybki, dwa zajęczki, piasek i dzieci, które też miały blond włosy! Zaraz przy wejściu natknęłyśmy się na prześliczną dziewczynkę. Rozmawiała z mamą po niemiecku. Obie wyglądały jak z katalogu. Zagadnęłam je przyjaźnie:

– Cześć, też jesteście z Niemiec?

Mała przytaknęła, matka natomiast zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem odwróciła się na swoich koturnach i zaczęła rozmawiać po chińsku z jedną z przedszkolank. Ach, tak. Nieco później dowiedziałam się, że ich rodzina przyjechała z Hamburga, jak my, przysłana przez koncern biotechnologiczny Eppendorf.

Postanowiłam nie zagadywać więcej Niemców. Nie było to trudne, wokół dzieci paplały w najróżniejszych językach – po duńsku, koreańsku, francusku, japońsku, włosku, hiszpańsku i angielsku. Zwłaszcza po angielsku. Większość dzieci przyprowadzały *ayi* albo kierowcy. Maluchy szły z dwoma lizakami w ustach albo były niesione na rękach. Kilka matek stało przy huśtawkach. Nie wszystkie okazały się tak kapryśne jak Niemka. Niektóre były całkiem miłe – wszystkie przeżyłyśmy na początku to samo.

– Och, to ty się wprowadziłaś do tego starego *lanehouse 'a*? – zapytała jedna z nich. – Ale jesteś odważna!

Zapewne chciała powiedzieć: naiwna. Wiem, że sami jesteśmy sobie winni, wszyscy nas ostrzegali przed wynajmem starego domu. Prawdopodobnie jesteśmy jedynymi cudzoziemcami, którzy się na to zdecydowali. Inni mieszkają w apartamentowcach i wieżowcach z portierami, angielskojęzyczną pomocą, basenem, centrum fitness, sauną, salonem piękności i innymi usługami. Nie chcieliśmy jednak tak mieszkać. Czuć się przez dwa lata jak goście hotelowi. Chcieliśmy domu. I mieliśmy go. Razem ze zmieniającymi się codziennie kilkunastoma spoconymi współlokatorami.

Rodzice okazali się sympatyczną mieszanką ekologów, karierowiczów i zwykłych ludzi ze wszystkich krajów świata. Niemal trochę zazdrościłam Amélie. Sama chętnie pochodziłabym do takiego przedszkola, być może wówczas znalazłabym chiński. Na początku Amélie widziała to jednak inaczej. Nie bardzo mogła się dogadać z kimkolwiek.

– Mamo, powiedziałam dziewczynce, że ma sobie pójść, ale ona nie rozumie! Mamo, oni wszyscy mnie nie rozumieją – mówiła z oburzeniem.

Tego dnia, kiedy większość mam poszła do domu, zostałam, by czuwać nad córką. Przyszedł czas na zajęcia muzyczne. Dzieci śpiewały amerykańskie i chińskie piosenki, akompaniował im starszy Chińczyk na gitarze. Amélie uznała to za dziwne, ale przebierała nogami ze wszystkimi. Potem podeszła do mnie i spytała:

– Dlaczego zostałam? To tutaj nie jest dla mam.

Byłam z niej dumna. Mogłam pójść na café latte. Niedaleko. Słońce przedzierało się przez poranny smog, wystawiłam więc w jego stronę twarz i zamknęłam oczy.

Tak mogłoby przebiegać tu życie.

Kontener! Kontener!

*Kto gromadzi wiele skarbów,
może wiele stracić.*

Nadszedł wielki dzień. Dostarczono kontener z naszymi rzeczami. Oznaczało to przede wszystkim, że w końcu będziemy spać we własnym łóżku. Każdy, kto poznał na własnej skórze właściwości chińskich materaców – desek z żelaznymi sprężynami, które wwiercały się w całe ciało – zrozumie naszą radość. Z powodu tych sprężyn Tobi codziennie zażywał dwie tabletki Diclacu, a ja co wieczór z własnej woli chodziłam na masaż do pań w zielonych koszulkach polo. Leżąc na pryczy na brzuchu i trzymając głowę w dyletancko wyciętej dziurze w gumowej macie, oglądałam niezbyt zadbane stopy w klapkach kąpielowych oraz plamy na linoleum. Wyobrażałam sobie, że jestem w Shangri La Spa, a te kolorowe kleksy na dole to pływające orchidee. Wciąż powtarzałam sobie przy tym słowa ciotki Nenne: „Kto leży na ziemi, nie może już upaść”.

Siedemdziesięciminutowy tradycyjny chiński masaż uciskowy kosztował dziewięć euro. Przychodząc, zawsze pytałam o masażystę 007, po chińsku Ling Ling Qi, który jako jedyny znał kilka słów po angielsku.

Żeby ubranie nie pomięło się podczas masażu, każdy klient dostawał coś w rodzaju lnianej piżamy, której kolor i kształt przypominały fartuch chirurgiczny. W drogich salonach ubiór ten był jedwabny, lepiej przesuwał się wówczas po skórze. I był przyjemniejszy w dotyku.

Mój masażysta zawsze zaczynał od karku. Łapał mnie z tyłu za szyję, niczym lwia matka młode, i zaczynał ugniatać, aż wydawało mi się, że słyszę jak pękają moje kręgi. Następnie wwiercał swoje palce w skórę pleców, idąc wzdłuż kręgosłupa od góry w dół i zatrzymując się na dłużej dokładnie tam, gdzie najbardziej bolało. Za każdym razem, gdy myślałam, że już po wszystkim, wracał, by wbić swoje kciuki aż po moje trzewia. Pytał przy tym:

– *You okay, Miss?* Ty w porządku, panienko?

Stękałam:

– *Me okay, Ling Ling Qi.*

– *Too strong, Miss?* Za mocno, panienko?

– *Yes, too strong.*

– *Oh, laowai too weak,* wy zbyt słabi.

Laowai to słowo, którym Chińczycy określają obcokrajowców. Dosłownie znaczyło „starszy mężczyzna z zewnątrz”. Wyrażenie wzięło się stąd, że wielu obcokrajowców nosiło brodę, co w Chinach kojarzono ze starym mężczyzną.

Mięśnie ramion i nóg 007 ugniatał tak samo mocno jak wcześniej plecy. Wyginał moje ręce, naciągał, potrząsał, tarł, aż nie mogłam złapać tchu. Kiedy zajmował się lewym ramieniem, ciągnął prawy wielki palec u nogi. Trzymając moje nogi przy kostkach, wymachiwał nimi, jakby sprawdzał jakąś pozycję z Kamasutry. Potrząsał i oklepywał, a moje nerwy eksplodowały. Na koniec przychodziło wybawienie – masaż skóry głowy, delikatny i relaksujący. 007 leciutko przyciskał swoje palce do moich skroni, oczu i czoła.

Chiński masaż koncentruje się na kanałach energetycznych – meridianach. Za każdym razem seans był dla mnie zarówno torturą, jak i czymś cudownym. Już po wszystkim czułam się jak nowo narodzona. Jednocześnie rozluźniona i naelektryzowana, odprężona i pełna energii.

Fantastyczne uczucie.

Jeszcze bardziej fantastyczna okazała się kobieta, która tego ranka zadzwoniła do naszych drzwi. Ładna, uśmiechnięta, w nienagannej białej bluzce i sportowych butach, mówiła dość płynnie po angielsku. Trudno to wyjaśnić, a napisane brzmi okropnie, ale na jej twarzy nie można było znaleźć śladu głupoty. Jeden z naszych kolegów, który od dawna mieszkał w Szanghaju, wyznał nam kiedyś, że Chiny to dla niego kraj wielkich możliwości i nieograniczonej głupoty. Uznałam to wówczas za arogancję. Teraz wiem, co miał na myśli. Twarze, wyrażające jednocześnie niezrozumienie i zakłopotanie, otwarte usta w niepohamowanym uśmiechu, stoicki spokój i ospałość w ruchach mogą doprowadzić do szaleństwa.

Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam czegoś takiego mówić, a co dopiero pisać. Byliśmy w tym kraju obcy, powinniśmy próbować się dopasować, a nie na odwrót. Nie znaliśmy chińskiego, nie mieliśmy pojęcia o tutejszej kulturze. Wręczaliśmy wizytówkę jedną ręką (ależ niegrzecznie!), zatrzymywaliśmy taksówkę prostym machnięciem ręki (zamiast poruszać dłonią w górę i w dół), w restauracji zamawialiśmy jedzenie dla każdego oddzielnie (a nie wspólne dla wszystkich)... Dlaczego oczekiwaliśmy, że Chińczycy będą robić wszystko tak, jak my? A jednak cholernie trudno pozostać poprawnym politycznie, kiedy nieustannie było się na granicy załamania nerwowego.

Kobieta przy drzwiach przedstawiła się:

– May, państwa koordynatorka do spraw przeprowadzek.

Wydawała się anielską istotą. Do tego była rozsądna i lepiej zorganizowana niż Tobi i ja razem wzięci. Wcisnęła nam do rąk listę rzeczy, które powinny przybyć w kontenerze, i kazała odhaczać każdy karton, który został wniesiony do domu przez „azjatyckich tygrysów” (tak nazywała się firma przeprowadzkowa). Po trzech godzinach wszystko znalazło się w bezpiecznym miejscu, meble zostały poskładane, a uszkodzenia udokumentowane. Łóżko dla gości okazało się złamane, tak samo dziecięcy stół z ławką, dwanaście szklanek, cztery spodki i dwa talerze na zupę zbite, trzy obrazki uszkodzone, a lampy z rogu bawołu miały zielone abażury zamiast białych (możliwość pierwsza: z powodu wilgoci, możliwość druga: ktoś celowo próbował wpędzić nas w psychozę). I najgorsze ze wszystkiego – podczas transportu rower wyścigowy Tobiego trochę się wykrzywił. Cóż, w tym mieście i tak nie można było z niego korzystać, jeśli chciało się zachować życie, Tobi jednak bardzo cierpiał – najpierw stracił swoje stare auto, a teraz rower.

May uśmiechnęła się i pocieszająco stwierdziła:

– Kto ma wiele skarbów, może wiele stracić. Stare chińskie przysłowie.

Potem zostawiła nam dwadzieścia list, ankiet i karteczek, które mieliśmy wypełnić i wysłać do firmy ubezpieczeniowej.

Szybko pogodziliśmy się ze stratami. Mieliśmy w końcu zabawki, ubrania, buty. A przede wszystkim: materace! Idealnie elastyczne, z pianki zimnotłoczonej, wygodne dla pleców! Kiedy ostatnio byłam taka szczęśliwa? W dodatku urząd celny przeszukał karton alkoholu, który wbrew zakazowi przesmuglowaliśmy, ale go nie skonfiskował. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że cztery miesiące później dostaniemy rachunek wystawiony przez ten urząd i opiewający na trzysta pięćdziesiąt dolarów.

Tego wieczoru Amélie zasnęła z pudełkiem klocków Lego w ręce, my zabraliśmy do łóżka butelkę szampana.

LIPIEC

O próbie nadania listu

*Tylko kiedy się odważysz robić rzeczy,
których dotąd nie opanowałeś, urośniesz.*

Chińczycy wstają wcześniej. Bardzo wcześniej. Około piątej budził się czarny Beo, ptak naszej sąsiadki. Oznajmiał to, skrzecząc wrzaskliwie: *Ni hao*. Zaraz potem na ulicy rozlegał się dzwonek śmieciarza od recyklingu. Jechał na rowerze z przyczepką i zbierał tekturę, szkło oraz wszystko, co można jeszcze przetworzyć. Jego dzwonek też był z odzysku – składały się na niego dwie blaszane pokrywki od garnków. Około wpół do szóstej na nogach byli już wszyscy sąsiedzi. Pół godziny później na ulicach panował wzmożony ruch. Chińczycy oddawali się swojemu ulubionemu zajęciu – jedzeniu. Nikt nie spożywał tu śniadania w domu. W drodze do pracy kupowano w supermarkecie albo w budkach rozstawionych na każdym rogu gotowane na parze bezbarwne bułeczki z nadzieniem mięsnym, warzywnym albo słodkim fasolowym. *Baozi* (czytaj: baodse), jak je zwano, były pakowane w małe plastikowe torebki. Mimo to nigdy nie udało mi się nimi nie upaść. Nadzienie było mniej lub bardziej płynne, a całość wściekle gorąca i pozbawiona smaku. W zamian były tanie (dwadzieścia centów za sztukę) i sycące.

Najpóźniej więc od szóstej miasto wypełniali ludzie zatapiający zaspane twarze w dymiących plastikowych torebkach. Wczesne wstawanie miało też inną cenę – w południe, a najpóźniej o wpół do pierwszej, wszyscy układali się do drzemki. Nieważne gdzie. Zbieracz odpadków – na stercie swoich śmieci na przyczepce, robotnicy na budowie – na kupie kamieni, kucharze – w kuchni, sprzedawcy papierosów – w kiosku, dostawcy melonów – na melonach, emeryci – na składanych krzesłach na skraju ulicy. Nawet podczas spotkań w biurze dopuszczalna była wtedy krótka, dziesięciminutowa drzemka.

Tego dnia ja także wstałam wcześniej. Miałam zadanie do wykonania: Amélie postanowiła wysłać do swoich koleżanek w Niemczech pałeczki do jedzenia. Ona sama dobrze już sobie z nimi radziła, przede wszystkim podczas pochłaniania krewetek przygotowanych przez Guiling. Napisałyśmy listy, kupiłyśmy pałeczki i zapakowałyśmy je do kopert, a teraz stałam w urzędzie pocztowym na końcu pięćdziesięcimetrowej kolejki. Połowa klientów była ubrana w piżamy. Czułam się znakomicie – gotowa na przygodę i bardzo pewna siebie. Właśnie odwiozłam Amélie rowerem do przedszkola, po raz pierwszy przejechałam skrzyżowanie po tutejszemu – nie zwracając uwagi na światła, jadąc środkiem ulicy, korzystając z luk w ruchu i walcząc o miejsce wściekłym dzwonieniem, a nawet sama znalazłam pocztę.

Kiedy po czterdziestu pięciu minutach wreszcie przyszła moja kolej, wyjęłam listy i pokazałam za pomocą rąk, że chcę wysłać je samolotem. Dla jasności wydawałam przy tym gwizdy. Urzędnik najpierw popatrzył na mnie zbaraniały, a potem ryknął. Wzruszyłam ramionami, co jeszcze bardziej go rozjuszyło, spróbowałam więc kolejny raz pokazać samolot. Wtedy wyrwał mi listy z ręki i przedarł je z impetem. Znowu wrzasnął, wcisnął mi rozdarte koperty i gestem nieznoszącym sprzeciwu wskazał wyjście.

Wyleciałam z poczty. Też jakaś forma poczty lotniczej. I ponizający koniec mojej przygody, mojego pewnego siebie wysokiego lotu. Zrobiłam maturę, studiowałam pięć lat, a nie byłam w stanie nadać listu.

Kilku Chińczyków obserwujących scenę chichotało, mnie chciało się płakać. Musiałam jak najszybciej uciec. Siodełko mojego roweru zdążyło osiągnąć temperaturę płyty kuchennej, siadając na nie niemal przypaliłam sobie tyłek. Teraz wiedziałam, dlaczego latem tyłu

Chińczyków jeździ z mokrymi ręcznikami na głowie. Schładzają sobie mózg i wszystko, co trzeba.

Było czterdzieści jeden stopni Celsjusza przy dziewięćdziesięciopięcioprocentowej wilgotności powietrza. Wszystko kleiło się od potu i kurzu. Zanieczyszczenie powietrza miało jednak swój plus – drobny pył najwyraźniej pochłaniał promienie UV. Do tej pory ani razu nie tknęłam żadnej z dwudziestu ośmiu buteleczek pozbawionego chemikaliów importowanego kremu do opalania firmy Lavera, a mimo to żadne z nas się nie przypiekło.

Szanghajczycy mieli swój sposób na upał – arbuzy. Na ulicach wszędzie widać było ludzi, którzy, siedząc w kucki, wyjadali łyżką miąższ z olbrzymich owoców. W tradycyjnej medycynie chińskiej arbuzy zaliczano do produktów ochładzających, które miały uzdrawiające działanie na organizm. Młodszy dla przewietrzenia podciągali T-shirty aż po sutki. Gdy temperatura przekraczała trzydzieści sześć stopni, ulice zalewały nagie, wąskie kurze klatki piersiowe.

Kobiety zachowywały więcej umiaru. Do jazdy na swoich elektrycznych rowerach, zakładały na głowę coś w rodzaju obrusa z obramowaniem z koronki. Dokładały do tego wyłożony lusterkami parasol przeciwsłoneczny, który wyglądał trochę jak rekwizyt z filmu *Gwiazdne wojny*. W ten sposób zamieniały się w Dartha Vadera w koronkowej pelerynie. Modniejsze chroniły się przed słońcem w jeszcze inny sposób – zakładały żakiety tył na przód, zostawiając je niezapięte. Strój zawsze uzupełniały cieliste nylonowe skarpetki. Chińczycy wychodzili z założenia, że zimno, a przez to i choroby, wędruje do ciała przez stopy i dlatego w każdych warunkach ta część ciała powinna być czymś przykryta.

Ja też kupiłam sobie przyłbicę Dartha Vadera. Oprócz ochrony przed słońcem zatrzymywała również pył i kurz. Była niezastąpiona, nawet jeśli niszczyła fryzurę. To ostatnie nie miało zresztą znaczenia, gdyż takowej nie posiadałam.

Nie miałam pojęcia, jak znaleźć w Szanghaju dobrego fryzjera albo raczej fryzjera, który obcina włosy. Zwyczajne zakłady fryzjerskie nie były bowiem tak łatwe do namierzenia. Zwykle to, co z ulicy wyglądało na salon fryzjerski, okazywało się domem schadzek, gdzie bynajmniej nie zajmowano się głową, ale innymi częściami ciała. Te udawane zakłady reklamowały na zewnątrz kręciołki z holograficznymi, hipnotyzującymi wzorami, które nocą lśniły modnymi, różowymi i fioletowymi kolorami. Jak się dowiedziałam, zrobienie laski kosztowało tu jedynie od trzech do pięciu euro, ile obcięcie włosów – pozostało dla mnie tajemnicą.

Fryzjer musiał poczekać, mieliśmy mnóstwo innych rzeczy na głowie. Choćby karaluchy. Któregoś ranka pięciocentymetrowy egzemplarz (nie licząc równie długich czułek) spacerował sobie po salonie, dopóki Tobi nie roztrzaskał go bezdusznie młotkiem.

No i ten język! *Putonghua*, mandaryński, jest najczęściej używanym językiem świata. Teoretycznie powinnam dać radę się go nauczyć. W końcu władą nim niemal półtora miliarda Chińczyków, a nawet różni emigranci. I Tobi, i ja ponieśliśmy jednak klęskę.

Po pięciu prywatnych lekcjach nie umieliśmy powiedzieć nic więcej niż *ni hao*, dzień dobry, i *xie xie*, dziękuję. Wciąż ćwiczyliśmy dźwięki i tony, czy raczej zaśpiew. Zh, sh, ch wymagało odpowiedniego ułożenia języka, a kombinacja sylab z różnymi tonami dawała różne znaczenia. Proste *ma* zależnie od intonacji oznaczało matkę lub konia. Kto chciałby z pomocą chińskiego zrobić wrażenie na dziewczynie, powinien zachować ostrożność przy komplementach: „Jesteś podobna do swojej matki”.

Nauka chińskiego okazała się kwestią woli i cierpliwości. Chodziło o to, żeby nauczyć się na pamięć możliwie wielu słówek. Pod względem gramatyki chiński był bowiem niezwykle prosty: jeden czas, brak odmian czasowników i rzeczowników. Zamiast „Jestem Niemcem”, mówiło się: „Ja być niemiecki człowiek” (*Wo shi deguo ren*), „Ile to kosztuje?” to „Ile

pieniędzy?” (*Duo shao qian?*). Także kombinacje słów były proste i logiczne: *mai* z tonacją wznoszącą znaczyło „kupować”, *mai* z tonacją opadającą – „sprzedawać”, a *maimai* – „robić interesy”.

Uważałam chińskie zaśpiewy za śliczne, natomiast Tobi za gejowskie. Dokładniej mówiąc, miał problem z tonem opadającym, jak podczas wypowiedzianego „fuj!”. Na lekcji zawsze wzbraniał się przed tym akcentem („Nie jestem przecież ciotą!” – powtarzał), co doprowadzało do rozpaczki naszego nauczyciela Liwei. Sama, słuchając Tobiego, nie mogłam się skoncentrować. Dostawałam spazmów ze śmiechu niczym nastolatka.

Targ zagubionych dusz

Bramy i okna muszą sobie nawzajem odpowiadać.

W Szanghaju można dostać wszystko: ciemny chleb, pieczywo na zakwasie (jest nawet niemiecka piekarnia), knedle w proszku, kawę Illy (za jedyne dwanaście euro), całą ofertę sieciówek H&M, Zara i Mango, a nawet piwo z Flensburga. Towarem deficytowym są natomiast rośliny. Nigdy nie myślałam, że będzie mi ich tak brakowało. W parkach zamiast prawdziwych drzew rosły ich przesadnie duże plastikowe kwitnące podróbki. W ich otoczeniu wesoło spędzali czas emeryci. Spotykali się na nauce tańców klasycznych lub gimnastyce, niektórzy grali w madžonga. Robotnicy w czasie wolnym ćwiczyli tu tai-chi, zdarzali się nawet fryzjerzy oferujący usługi, co zawsze było przyjmowane z ożywieniem.

W jedną z sobót w parku przy People's Square trafiliśmy na szczególny targ. Kobiety w kwiecistych ubraniach i mężczyźni w wyprasowanych koszulach stali przy krzakach i drzewach, na których zawiesili klamerkami do bielizny tekturowe zawieszki lub przypięli do kory karteczki w przezroczystej folii. Było nieznośnie gorąco – ludzie trzymali w rękach parasole, niektórzy w ramach ochłody paradowali z mokrym ręcznikiem na głowie.

Tobi załatwił Wendy, zarządczyni naszego domu, pracę asystentki w dziale marketingowym swojej korporacji. W podzięcie zaprosiła nas do firmowej lodziarni Häagen-Dazs znajdującej się przy People's Square. Gałka lodów kosztowała tu tyle, co dziesięć gorących posiłków w zwykłej chińskiej restauracji, ale Wendy dzielnie to zniosła.

Teraz tłumaczyła nam z wielkim lodem w ręce, co zostało napisane na wywieszkach. „Mężczyzna, kawaler, rocznik siedemdziesiąty pierwszy, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, jeden dom w Hongqiao, dwa mieszkania, Master's Degree, zatrudniony w wielkiej amerykańskiej firmie, miesięczne zarobki dwanaście tysięcy juanów (około tysiąc dwustu euro), niepalący”. Na innej: „Kobieta, niezamężna, dwadzieścia siedem lat, sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ładna twarz, urzędniczka, miesięczne zarobki dziewięć tysięcy juanów (około dziewięćset euro), niepaląca, ojciec inżynier, matka lekarka”.

Zebrane na placu osoby zachwalały swoje dzieci niczym zużyte samochody. Karteczki zawierały najważniejsze informacje o synach i córkach, którzy wydawali się bez zarzutu: uroda, ukończony uniwersytet, dobra praca. I tylko jedna wada: skończone dwadzieścia pięć lat. Chińska polityka jednego dziecka powodowała, że rodzice chcieli wydać córkę lub ożenić syna jak najwcześniej, w najlepszych pod względem płodności latach, tak by na pewno doczekać się wnuka. Nawet jeśli czas zaplanowanych małżeństw dawno już minął, przynajmniej w miastach, kto nie wsiadł do pociągu we właściwym czasie, mógł być pewien, że rodzina, delikatnie mówiąc, użyje hamulca bezpieczeństwa.

Mężczyzna, który przyjaźnie przedstawił się nam jako pan Cheng, stał właśnie na zielonym plastikowym stołku i jak straganiarz zachwalał ponad głowami spacerowiczów swoją córkę. Ryczał:

– Dwadzieścia dziewięć lat, ładna biała skóra, metr sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, art director w jednej z agencji reklamowej, audi a4, mieszkanie, matka lekarka, ojciec nauczyciel.

– Nigdy się jej nie pozbędzie – wyszeptła do sąsiadki jedna ze stojących w pobliżu kobiet. – Zarabia ponad trzydzieści tysięcy juanów.

Niektórzy rodzice przychodzili tu od lat. Znali się między sobą. Szczęście mogło się do

nich uśmiechnąć w każdej chwili. Niektórzy przygotowywali małe ulotki z najważniejszymi informacjami o dziecku, inni karteczki z adresem mailowym do wyrwania.

Jeśli pojawiał się ktoś zainteresowany ofertą, kto przedstawił jako taką konkurencyjną propozycję, wydobywano kartonowe pudełka na buty ze zdjęciami przedstawiającymi córkę lub syna od lat dziecięcych po dorosłość. Profesjonaliści mieli złożone w harmonijkę prospekty reklamowe – syn z najlepszym przyjacielem, syn na tenisie stołowym, syn w garniturze, syn przed samochodem.

Wytarte zdjęcia, które pan Cheng wyjął z kieszeni, ukazywały kobietę z krótko obciętych włosami *à la* Jean Seberg⁴), ubraną w legginsy, minispódniczkę, bluzę i szpilki.

4) Jean Seberg (1938–1979) – aktorka znana między innymi z roli w słynnym filmie *Do utraty tchu* Jean-Luca Godarda (przyp. tłum.).

– Ładna biała skóra, w Chinach symbol statusu warstwy wyższej – oznajmił. – I szczupła – dodał.

Jego córka wydawała się apetyczna jak rurka z kremem, on tymczasem zachwalał ją jak zbytnio zleżałą szynkę.

W kraju uwięzionym w czasach przełomu, w którym tradycyjne myślenie ścierało się z dążeniem młodych do osiągnięcia pewnego statusu i niezależności, robiące karierę trzydziestoletnie kobiety stanowiły problem. Chińczyk nie chciał starszej od siebie żony ani takiej, która miałaby wyższe niż on wykształcenie. A już na pewno nie chciał takiej, która zarabiała więcej od niego i jeździła samochodem lepszym niż ten, który on posiadał. Ale była też druga strona medalu – kobieta bez samochodu lub niewykształcona nie interesowała Chińczyków o pewnej pozycji społecznej. Zgodnie ze starym tutejszym przysłowiem: „Bramy i okna muszą sobie nawzajem odpowiadać”.

Ponoć córka pana Chenga nie miała czasu, żeby zadbać o pasującą bramę czy okno. Ojciec uznał więc za obowiązek przyjść jej z pomocą, oczywiście po kryjomu. Spotkanie aranżował już trzy razy, zawsze w ten sam sposób. Oznajmił córce, że natknął się na swojego starego przyjaciela, który wraz z synem chciałby któregoś wieczoru spotkać się z nimi w knajpce. Jak dotąd nic z tych spotkań nie wynikło.

– Czy nie myśli pan, że córka lubi po prostu życie singla? – zapytałam bez złych intencji.

Pan Cheng potrząsnął głową.

– *Laowai* – rzucił z pogardą i ponownie wszedł na stół.

Ludzie, którzy się nie pobierają lub nie chcą mieć dzieci, uchodzą w Chinach za *guai*, podejrzanych.

Do rozmowy włączyła się kobieta stojąca przy sąsiednim krzaku. Miała włosy ufarbowane na żywy czerwony kolor i nowoczesną trwałą.

– Dzieci pracują i pracują, od rana do wieczora, zwyczajnie nie mają czasu na poszukiwanie partnera – wyjaśniła autorytatywnie.

Przed nią na ziemi leżała kartka papieru, na której wypisała najważniejsze informacje o swoim synu, dodając do tego jego zdjęcie typu „ja i mój samochód”. Karteczkę obramowała kamieniami i gałęziami bukszpanu, całość wyglądała jak klepsydra. Syn, trzydzieści trzy lata, urzędnik bankowy na kierowniczym stanowisku, miał samochód i mieszkanie, a mimo to był sam. Musiała zacząć działać, bo jego bank, pomstowała, nie troszczył się ani trochę o samotnych mężczyzn. Tymczasem inne zakłady pracy organizowały wieczorki taneczne dla takich pracowników!

– Zrobimy wszystko dla swoich dzieci. Wy, obcokrajowcy, tego nie rozumiecie – podsumowała.

Może miała rację. Która matka na Zachodzie chodziłaby w każde sobotnie popołudnie, by

zachwalać na forum swoje dziecko i za wszelką cenę poprowadzić je do ołtarza?

Swatanie w Chinach nie było niczym wyjątkowym. Tak naprawdę młodzi nie mieli wyjścia – ofensywny flirt był zakazany, a nawiązywanie relacji damsko-męskich zostało obwarowane wieloma nakazami. Pierwszy krok musiał wykonać mężczyzna, ale nie mógł on ot tak zagadać nieznajomej na ulicy, na przyjęciu czy imprezie. To zbyt niezręczne i natarczywe, niestosowne. Pozostawała jedna droga: trzeba było zostać takiej osobie przedstawionym.

Chińskie poszukiwanie partnera przypominało więc mistrzowski plan w trzech aktach. Uczestniczyła w nim rodzina, przyjaciele i koledzy. Akt pierwszy to niezobowiązujące przedstawienie się osobie, która nas interesuje. Akt drugi (jeśli pojawiła się nić wzajemnej sympatii) – przejście do *ai mei*, „fazy bez miłości”. Sama nazywałam ją fazą odwlekania miłości. To romantyczna, beztroska szara strefa rozciągająca się pomiędzy platoniczną przyjaźnią a związkiem bez zobowiązań. W tym czasie od mężczyzny oczekiwano tylko jednego – dowodów atencji we wszelkiej możliwej formie: kilkanaście esemesów na dzień, mnóstwo maili, posłańcy z kwiatami, małe prezenty typu pluszowy miś, kolczyki, ulubiony jogurt i tym podobne. W końcu przechodzono do aktu trzeciego – właściwych randek. Zwykle zaczynały się one od typowej uwertury: pocałunków, trzymania się za ręce i tak dalej.

Kobieta z czerwonymi włosami stwierdziła, że dla jej dziecka sztuka szukania partnera składa się ze zbyt wielu aktów. Potem pomachała do jakiegoś mężczyzny. Syna, jak się wkrótce okazało. Urzędnika bankowego należącego do kadry kierowniczej.

– Jak leci? – zapytał.

– Jakoś – odparła.

Nie krępując się ani jego, ani moją obecnością, zwróciła się do Wendy z pytaniem, czy nie mam jakiejś przyjaciółki, która byłaby wolna. Wprawdzie jej syn nie powinien rozglądać się za kobietą z innego kraju, ale dzieci z takiego związku są zawsze takie ładne.

Dla Wendy sytuacja stała się wyraźnie nieprzyjemna. Przywitała się z mężczyzną, a potem przedstawiła mnie i Tobiego. Liwei, bo tak się nazywał, miał delikatne rysy twarzy. Nosił okulary i znał angielski. Nie rozstawał się z ipodem shuffle. Wydawał się miły i rozluźniony.

– Od dawna korzystam z giełdy singli w Internecie – poinformował nas nieco chełpliwie.

– Dziewczyny w Szanghaju lecą tylko na pieniądze.

Wendy roześmiała się zmieszana.

Wtedy jakaś dziewczyna zahaczyła modną parasolką knirps za kabel od jego ipoda. Posłała mu przy tym ukradkowy uśmiech i poszła dalej.

– Dlaczego jej nie zagadnąłeś? – zapytał Tobi.

– Zagadnąć obcą dziewczynę? – Liwei potrząsnął głową. – To niemożliwe.

– Nigdy? – dopytywał się mój mąż.

– Może w sytuacji ekstremalnej. – Liwei zastanowił się chwilę, a potem dodał wyjaśniająco: – Podczas trzęsienia ziemi czy czegoś podobnego.

Hongbao i wpadający w amok sąsiedzi

Pieniędzmi można przekupić nawet bogów.

Którejś nocy obudził nas głośny turkot, nie mogliśmy jednak zlokalizować źródła jego pochodzenia. Rankiem stało się jasne, co było przyczyną hałasu – klimatyzator. Nasz szalony sąsiad, który uważał, że jesteście szpiegami z Zachodu, zniszczył urządzenie stojące po długich pertraktacjach przed ogrodowym murem. Łopatkami wirnika były złamane, klimatyzator nie działał. Tymczasem temperatura sięgała czterdziestu stopni Celsjusza.

Wezwaliśmy Eleanor, która od odejścia Wendy przejęła obowiązki zarządczyni domu. Zadzwoiła do swojej szefowej, ta do reprezentanta właściciela domu, ten do właściciela domu, a raczej właścicielki, ona zaś do robotników. Godzinę później przed szczytkami naszego *luxury central air condition*, jak zapisano w umowie najmu, stało bezradnie pięć osób. Reprezentant właściciela domu wymamrotał coś pod nosem, co Eleanor przetłumaczyła jako: „A przecież od razu mówiłem”. Następnie udała się na policję, by zgłosić skargę na nieznanego sprawcę.

Od kilku dni nasi sąsiedzi biegali jak w amoku, na czele z szaleńcem. Przeszkadzało im ponoć urządzenie stojące na zewnątrz. Na ścianach pobliskich domów wisiało około ośmiu podobnych klimatyzatorów, ale nasz nie został przymocowany jak inne, w dodatku pracował za głośno, a gorący wiatr, który z siebie wypuszczał, odbijał się od muru domu (!) i był nie do zniesienia. A w ogóle urządzenie stojące na zewnątrz stwarzało zbyt duże zagrożenie dla ludzi. Gdyby jakieś dziecko włożyło tam palec!

Przez miesiąc klimatyzator stał na naszym tarasie. Skarzyliśmy się jednak tak długo, aż właściciel domu nakazał robotnikom zbudować regał, na którym miała stanąć ważąca tonę instalacja. Wszystko po to, aby gorące powietrze mogło być wydmuchiwane na zewnątrz ponad ogrodzeniem. Chłopi, których najęto do tej roboty, zlutowali niestabilną, byle jaką konstrukcję. Zawaliła się przy pierwszej próbie wdrapania się na nią Amélie. Zawieszenie klimatyzatora na ścianie, jak wyjaśniła nam Eleanor, było niemożliwe – mury nie wytrzymałyby takiego obciążenia. Uciekliśmy się więc do groźby zmniejszenia niedorzecznie wysokiego czynszu. Podziałało. Monstrum trafiło na zewnątrz posesji, a w ogrodzie Amélie mogła rozłożyć dmuchany basenik, który przesłała nam nasza przyjaciółka Tania (dzięki za tę paczkę darów!). Z jakichś powodów to też okazało się nielegalne, ale nasza zarządczyni wręczyła zwierznikowi sąsiedniego domu (można go było rozpoznać po czerwonej opasce na ręce) *hongbao*, czerwoną kopertę z podarunkiem pieniężnym, i problem zniknął.

Dwa dni po przeniesieniu klimatyzatora na zewnątrz posesji zadzwoniła Eleanor. Urządzenie musiało niestety wrócić do ogrodu. Inaczej ciężarówka nie dałaby rady przejechać przez naszą uliczkę.

– Jaka ciężarówka? – zdziwiłam się.

– Ciężarówka, która przyjeżdża na ulicę raz w miesiącu – wyjaśniła.

Dalsza rozmowa przebiegła mniej więcej tak:

Ja: „Ale jaka ciężarówka?”

Ona: „Która, która, eeee... W starych domach są przewody, które... A więc w starych domach jest inaczej, a ciężarówka...”

Ja: „Jaka ciężarówka?”

Ona: „No tak, w starych domach, rura...”

Ja: „Co?”

Ona chichocze.

Ja wrzeszczę: „Co to, u diabła, ma być?”

Ona cicho: „Gówno”.

Ja: „Co?”

Ona, głośniej: „Ciężarówka, która wywozi gówno”.

Kierowca od kup również dostał *hongbao*. Pozwolił nam jeszcze przez trzy dni cieszyć się ogrodem. Później do akcji wkroczył nasz szalony sąsiad. Tym razem zrezygnowaliśmy z dalszej walki. Lepiej głośna, niebezpieczna klimatyzacja w ogrodzie niż żadna.

Dzień uśmiechu nad Huangpu

Najkrótszą drogą między ludźmi jest uśmiech.

W jeden z lipcowych weekendów postanowiliśmy pobawić się w turystów i odwiedzić Bund – promenadę nad rzeką Huangpu. Zdjęcia kolonialnych domów otaczających tę ulicę często podziwialiśmy na okładkach różnych przewodników po Szanghaju. Niestety, bulwar został właśnie rozkopany z powodu przygotowań do Expo 2010. Miał zamienić się w rozległy deptak. Metro oraz sześciopasmówkę dla samochodów zamierzano poprowadzić w tunelu pod powierzchnią ziemi. Siedem dni w tygodniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę robotnicy kopali, lutowali i spływali potem. Wszędzie unosił się pył, warczały maszyny. Nie przeszkadzało to tysiącom ludzi przechadzać się po okolicy. Mimo upału i robót fotografowano się z uśmiechem na tle drugiego brzegu – Pudongu, pokazując przy tym znak zwycięstwa. Właściwie było tu podobnie jak na hamburskim Landungsbrücken. Barkasy i absurdalny parowiec „Miss Louisiana” z atrapami rowerów wodnych niosły turystów przez rzekę, pachniało frytkami, a obwoźni handlarze sprzedawali rekiny-smoki i miniaturowe latarnie morskie.

Włokąc się promenadą, wciąż natykaliśmy się na nowożeńców otoczonych przez gromadkę ludzi. Nie byli to jednak goście weselni, ale fotografowie ze swoimi ekipami: pomocnikami, oświetleniowcami, stylistami od włosów i makijażu. Sesja fotograficzna była w Chinach ceremonią przed ceremonią, najważniejszą częścią przygotowań do wesela. Para wyszukiwała *wedding studio*, Huai Hai Lu było zagłębieniem ślubnych firm, narzeczona wybierała trzy, cztery suknie: co najmniej jedną białą, obcisłe czerwone *qipao*, tradycyjny kobiecy strój, i różową sukienkę księżniczki, z wieloma falbankami i tiulem, do których dobierano odpowiednie uczesanie i makijaż, a potem scenerię – u stóp telewizyjnej wieży, w parku, przed muzeum, przy studni, na promenadzie.

Obowiązkowo właściwe ujęcia – on i ona w uścisku, w romantycznym pocałunku, ze spojrzeniami pełnymi uwielbienia wibrującymi w powietrzu. Niektóre pary inscenizowały zdjęcia pod określony temat, na przykład: sen Kopciuszka albo europejski romans. Wybierano wówczas odpowiedni plener – osiedle Anting inspirowane stylem współczesnych niemieckich miast albo Thames Town odtwarzające klimat typowej brytyjskiej mieściny.

Najlepsze ujęcia z sesji były przekazywane galeriom fotograficznym, wystawiane w witrynie biura i wysłane do dwustu gości weselnych. Inaczej cały wydatek na zdjęcia byłby nieopłacalny. Najlepsze dodatkowo drukowano w formie plakatu i wywieszano przy wejściu do restauracji weselnej.

Amélie była tak zauroczona parami weselnymi, że nie zauważyła na swojej drodze rowerowego przenośnego grilla. Weszła w sam środek różna, na którym piekły się kurczaki (z wyglądu przynajmniej od dwóch dni). Na szczęście obeszło się bez poparzeń i nie musieliśmy spędzać niedzieli na izbie przyjęć jednego z tutejszych szpitali. W zamian dla ochłonięcia usiedliśmy na tarasie widokowym znajdującym się na dachu „historycznej latarni morskiej”. Z pewnością była to kolejna pułapka na turystów, ale co tam. Ważne, że sprzedawano tu piwo Carlsberg.

Z góry roztaczała się wspaniała panorama. Obok nas siedziała jedna z tych młodych par, dla których ślub musiał być poprzedzony sesją zdjęciową na promenadzie. Jak się okazało, mieli to już za sobą. Pobrali się w lipcu, choć woleliby termin sierpniowy. Niestety, nie było na niego wolnych terminów – *ba*, czyli osiem, brzmi podobnie do *fa*, co oznacza „wzbogacić się”. Data

ósmo ósmo dwa tysiące ósmo obiecywała trzykrotne szczęście i ślub w tym terminie trzeba było zamawiać z wielkim wyprzedzeniem. Nie przez przypadek igrzyska olimpijskie rozpoczęły się właśnie tego dnia, a oficjalnie uznano je za otwarte o ósmej osiem wieczorem.

Tak naprawdę wesele w Szanghaju powoduje raczej zubożenie niż wzbogacenie. Zwykle szanghajczycy wydają na nie ponad dwanaście tysięcy euro. Odpowiadało to rocznym zarobkom naszych sąsiadów przy stole, jak szczerze nam wyznali. Później przeczytałam, że w Chinach przemysł ślubny wytwarzał dwa i pół procent produktu krajowego brutto. Największe obroty mieli z tego fotograficy i właściciele knajpek przygotowujących dziesięciodaniowe menu weselne. Aby odzyskać część wydatków, nowożeńcy zapraszali mnóstwo gości weselnych – każdy z nich wręczał w prezencie *hongbao* z co najmniej pięćdziesięcioma, a czasem nawet stu pięćdziesięcioma euro. Zrozumiałam, dlaczego Fang, dostając zaproszenie na ślub, był za każdym razem w złym humorze.

Spędziliśmy na tarasie latarni przynajmniej trzy godziny. Po drugiej stronie rzeki zaczęły świecić i migotać budynki. Pearl Tower rozjarzył się jako ostatni, dopiero o wpół do ósmej. Opłacało się czekać – oświetleniowiec podszedł do sprawy profesjonalnie, kolorowe światła pulsowały i wibrowały, tak że mogło się od tego zakręcić w głowie. W porównaniu z tym spektaklem bożonarodzeniowe oświetlenie w hamburskiej dzielnicy rozrywki St. Pauli to marnizna. Tu nawet statki w ciemności przypominały zielono, niebiesko i różowo połyskujące ruchome tablice z reklamami świetlnymi.

Z drugiej strony rzeki świeciło na złoto ogromne centrum handlowe Super Brand Mall (w którym można było znaleźć wszystko poza doskonałymi markami). Postanowiliśmy do niego wstąpić. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy zestaw klocków Lego „Gospodarstwo wiejskie”, którego od miesięcy pragnęła Amélie.

Czego jednak nie było widać z latarni morskiej, to tłumów zalewających ulice. Morze ludzkich głów płynęło przez złote drzwi centrum. Rodziny, pary, emeryci... Fang wydawał się pogodzony z sytuacją, oznajmił tylko:

– Sobotni wieczór.

Jasne, cóż mogło być piękniejszego niż zakupy w weekend! Przy okazji dowiedziałam się, że nasz kierowca często przychodził tu ze swoją dziewczyną, chociaż nienawidził kupowania. Jeżeli w sobotni wieczór nie szli na zakupy, wybierali się do Kentucky Fried Chicken na pieczone skrzydełka. Za tym też nie przepadał, ale uwielbiała to jego dziewczyna. Tylko czasami wybierali miejsce, które on lubił – Pizzę Hut. Jak powiedział Fang, były to „romantyczne wyjścia”, bo w przeciwieństwie do typowych restauracji chińskich Pizza Hut oprócz ekskluzywnego egzotycznego jedzenia zapewniała dwuosobowe stoliki. Najczęściej jednak, co nasz kierowca skrętnie podkreślił, w sobotni wieczór zostawali w domu. Ona oglądała jedną z trzystu chińskich oper mydlanych, a on strzelał na komputerze. Ten sposób spędzania czasu Fang nazywał *enjoying air condition*, rozkoszowaniem się klimatyzacją.

Tobi nie mógł tego pojąć. Nie chodzą do barów, na potańcówki do jakiegoś klubu?

– No, nie. – Fang roześmiał się zmieszany. – Ale czasami wychodzę na *kala-o-k*, karaoke, ze swoją paczką.

I wspomniał o KTV – Karaoke Television Clubs – z „łatwymi panienkami”. Dostają pieniądze, za to, że są miłe dla gości. Więcej nie chciał powiedzieć, przynajmniej dopóki uczestniczyłam w rozmowie. To uświadomiło mi, że w większości „normalnych” barów (tych, które ja uważałam za normalne) spotykaliśmy prawie wyłącznie cudzoziemców, wszystkich mniej więcej w naszym wieku. Pewnie dlatego były to dla mnie bardzo przyjemne miejsca. Nie czułam się w nich jak przechodzona babcia między chętnymi, młodymi panienkami.

W końcu precyzyjnie się przez spoconą masę do regału z klockami w sklepie

Toys'R'Us. Znaleźliśmy zestawy do budowy komisariatu, samochodu strażackiego, potworów, ale nie gospodarstwa. Ależ byliśmy naiwni. Na pocieszenie Amélie kupiła sobie perłowe koraliki, z których chciała zbudować w domu „najukochańszy z ukochanych budynków” – Pearl Tower. Szkoda tylko, że nie będzie migał.

Każda rzecz ma swoją przyczynę

*Rzeki mają źródła,
drzewa – korzenie.*

Obudził nas nowy nieokreślony dźwięk – głośny, ostry grzechot albo syk, trudny do opisania, w zamian ogłuszający. Pierwszą myślą Tobiego było: Klimatyzacja znowu wysiadła, moją – Sąsiedzi się zjednoczyli i wypowiadają nam wojnę za pomocą własnoręcznie skonstruowanych grzechotek. Potem dźwięk do nas przyleciał. Dosłownie. Po wstaniu z łóżka Tobi znalazł na naszym tarasie martwego chrząszcza o wielkich skrzydłach. Wystarczyło krótkie internetowe poszukiwanie i już wiedzieliśmy, że w naszym ogrodzie pojawiły się cykady. Jak tłumaczyła Wikipedia, były to „owady, które przez strydulację (pocieranie o siebie części ciała) wytwarzały słyszalne przez ludzi dźwięki. Posiadały do tego specjalnie wytworzone narządy”. Amélie nic z tego nie rozumiała, wyjaśniłam więc, że nasze drzewo obsiadło tysiące chrząszczy, które bębnią. Od tego czasu zawsze uderzała w siodełko roweru, kiedy przejeżdżaliśmy obok niego.

Chińczycy kochali owady wydające głośne dźwięki. Już za czasów cesarstwa dworskie konkubiny łapały w letnim pałacu świerszcze, które trzymały w złotych klatkach i w razie potrzeby przynosiły władcy, by mu umilały czas. W Szanghaju działał nawet targ, na którym sprzedawano różne śpiewające owady. W zależności od egzotyczności i wielkości kosztowały nawet do stu euro. Jedną z jego atrakcji były walki świerszczy, które wprowadzano w bojowy nastrój, łaskocząc je słomką. Każdej walce przyglądało się z tuzin mężczyzn, przeklinających, wrzeszczących i palących jednego papierosa za drugim. W Chinach kopcili prawie wyłącznie mężczyźni, zarówno w miastach, jak i na wsi, u kobiet nałóg ten uchodził za niestosowny. Ileż trosk przysparzało to tutejszemu Ministerstwu Zdrowia (na świecie co trzeci palacz był Chińczykiem)!

Cykady, szarańczę czy świerszcze w słoikach po marmoladzie oferowali też uliczni obwoźni handlarze. Raz podczas jazdy taksówką przez całą drogę dziwiłam się głośnemu dudnieniu dobiegającemu od strony kierowcy. Byłam przekonana, że samochód rozkraczy się na następnych światłach. Kiedy wysiadałam, taksówkarz z dumą zaprezentował mi źródło tego hałasu – dwa pasikoniki, które trzymał w klatce tuż obok butelki z herbatą.

– Jiao i Gege – powiedział z dumą. – *Singing brothers*, śpiewający bracia.

Tego popołudnia postanowiliśmy pojechać rowerami do zaułka Taikang Lu. Miejsce było magiczne – uroczy gąszcz małych, krętych alejek, przy których wznosiły się stare domy. Niektóre wyglądały, jakby za moment miały się zawalić, inne, wręcz przeciwnie, zostały wspaniale odrestaurowane. Między galeriami i pracowniami artystycznymi, drogimi butikami i barami, kawiarniami i winiarniami lawirowali spoceni, pogryzieni przez komary turyści w sportowych sandałach. Tutejsi mieszkańcy niewiele sobie z tego robili – przed swoimi domami w zapleśniałych umywalkach myli zęby albo drzemali na leżankach skleconych ze sprzętów znalezionych na śmietniku. Podczas gdy my zajadaliśmy się lodami imbirowymi z dodatkiem chili oraz jabłkowo-miętowymi, które podano nam w ulegających biodegradacji kubeczkach, jakiś Chińczyk, odziany tylko w majtki brał kąpiel przed drzwiami swojego domu, a siedząca obok niego staruszka obierała krewetki, wrzucając je do miski ustawionej między nogami. Wystarczyło zrobić dwa kroki, by trafić do galerii, w której sprzedawano olbrzymie czerwone porcelanowe niemowlaki trzymające karabiny maszynowe w dłoni. Każdy z tych żołnierzyków

kosztował trzy i pół tysiąca euro.

U Zazy, znanego komiksowego twórcy w Szanghaju, kupiliśmy jutową torbę z napisem *I'm not a plastic bag*, „Nie jestem torbą z plastiku”. Od kiedy w supermarketach trzeba było płacić za reklamówki, płócienne torby stały się bardzo modne. Tutejszy rząd próbował w ten prosty sposób ratować środowisko naturalne. Koszty walki z zanieczyszczeniami pochłaniały w Chinach dziesięć procent produktu krajowego brutto i były tak duże jak wzrost gospodarki. W ubiegłych latach prawie co dwa tygodnie powstawała nowa elektrownia węglowa, tak że w roku naszego przybycia do Szanghaju chiński rząd ogłosił niezbyt piękny rekord: Chiny prześcignęły Stany Zjednoczone w ilości dwutlenku węgla emitowanego do atmosfery. Tym samym kraj został największym na świecie wytwórcą CO₂. Teraz oszczędzano na plastikowych torbach oraz jednorazowych pałeczkach. Właśnie tak, pałeczkach. W kwietniu dwutysięcznego szóstego roku rząd wprowadził podatek od tych jednorazowych sztuczków, aby obniżyć zużycie drewna. Czterdzieści pięć miliardów par pałeczek zużywanych rocznie wydało się astronomiczną liczbą samym ojcom narodu.

Z naszą nową torbą ekologiczną ruszyliśmy w drogę powrotną. Wkrótce Tobi złapał gumę. Na szczęście w Szanghaju na każdym rogu czekają na takich nieszczęśników naprawiacze rowerów. Ten, do którego dotarliśmy, od razu zwietrzył świetny interes. Rozłożył złotego batavusa Tobiego na części, gdzieś zadzwonił, a potem wsiadł na motorower i zniknął. Nieco bezradni kupiliśmy w pobliskim supermarkecie dwie puszki piwa Tsingtao, a dla Amélie sok. Siedząc na zardzewiałych stołkach, przyglądaliśmy się smutnym resztkom bicykla. Dziesięć minut później naprawiacz wrócił z nową dętką, nową oponą i nowym wentylem. Protest był bezcelowy, jak zawsze. Przynajmniej nie zmienił ram. Naprawa kosztowała nas piętnaście euro, tyle, ile taki uzdrowiacz rowerów zarabiał przez cały tydzień. Trudno, w Niemczech zapłacilibyśmy te same pieniądze za sam wentyl.

Wróciliśmy do domu. Klimatyzacja wciąż działała, toalety też. Dobry dzień miał się ku końcowi.

SIERPIEŃ

Delikatna roślina dumy

Morale wzmacnia się werblami.

Frank siedział na tarasie i palił. Był pierwszym goszczonym przez nas rodakiem. Wydawało mi się czymś niezwykłym, że siedzimy razem, jakbyśmy byli w Hamburgu. Tylko widok był inny, zamiast omszałych trawników i trzech starych świerków patrzyliśmy na nieforemne szare pudło, które od tygodnia stało w ogrodzie. Ostatni pomysł właściciela domu – obudowanie klimatyzacji, tak by gorące powietrze było wywiewane do góry. Po modernizacji urządzenie nie działało przez trzy dni – nazywa się to chyba przegrzaniem – ale przyszedł znany już oddział majsterkowiczów amatorów i uciął obudowę w połowie wysokości. Teraz wiało na nas tylko połową gorącego powietrza.

Frank przywiózł prezenty: gospodarstwo do zrobienia z klocków Lego, kolekcję filmów o Jamesie Bondzie oraz plik niemieckich gazet: „Stern”, „Gala”, „Bunte”, „Süddeutsche”, „Zeit”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Neon”, „Brand eins”. Boże Narodzenie i Wielkanoc jednocześnie.

Kupiliśmy dla Franka rower z kraciastym materiałowym koszykiem z przodu. Gnaliśmy później na czterech kółkach przez dzielnicę francuską, zatrzymując się w absurdalnych sklepach i kupując jeszcze bardziej absurdalne rzeczy. Na przykład buty Prady, które „spadły z ciężarówki” i kosztowały jedyne dwieście pięćdziesiąt euro, dokładnie tyle, ile zarabiała miesięcznie nasza *ayi*, pudełko z niebieskim żelem do hodowli mrówek, designerskie maskotki, chińskie papierosy.

Wybraliśmy się też promem do Pudongu. Stateczek tak śmierdział moczem, że Amélie natychmiast musiała pójść do toalety, której oczywiście nie było. Z Hyatt Hotel znajdującego się na górnych kondygnacjach Jin Mao Tower podziwialiśmy betonową pustynię Szanghaju. Pojechaliliśmy też na ulicę Moganshan, gdzie mieści się kilkadziesiąt galerii, w których można oglądać artystów i ich dzieła. Na Wukang Lu majtki trzepotały na wietrze, a cykady bębniły w platanach. Po raz pierwszy poczułam coś na kształt dumy – że mieszkam w mieście na drugim końcu świata. I że dałam radę przetrwać te pierwsze miesiące. Nagle całkiem wyraźnie doświadczyłam, co oznacza słowo „przygoda”. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Ratujący życie „chiński batonik”

*Ludzie nie rozumieją swoich błędów,
a woły – swojej siły.*

Pojechaliśmy na dwa dni do Wuhanu, miasta w głębi kraju z niecałymi dziewięcioma milionami mieszkańców. Tobi miał tam przeprowadzić badania konsumenckie – wysondować duszę młodych Chińczyków. W minionych tygodniach wiele się uczył o rytuałach pielęgnacji w Państwie Środka. Dowiedział się na przykład, że Chińczycy nie myli zębów, dopiero współczesna młodzież doceniła sens ich szczotkowania: smak w ustach był po tym o wiele lepszy. Ponieważ w nocy nie miało to znaczenia, większość myła zęby tylko rano. W zamian prysznic brano wieczorem, aby pójść czystym i świeżym do łóżka. Chętnie też używano kremów, oczywiście z *whitening effect*.

Tobi poszedł zajmować się swoją grupą docelową, a ja próbowałam z Amélie poznawać miasto. Ledwie opuściliśmy hotel – pozbawiony smaku wieżowiec zdobiony marmurem i złoceniami – Amélie odmówiła dalszej wędrowki. Szarpałam ją trochę jak upartego osła, wkrótce jednak się poddałam.

Panował upał – czterdzieści dwa stopnie Celsjusza, rozumiałam więc jej niechęć do zwiedzania. W przewodniku wyczytałam, że otoczony pagórkami Wuhan był „jednym z czterech rozgrzanych pieców Chin”, co się zgadzało, oraz „jedynym w swoim rodzaju krajobrazem pełnym jezior”. Na razie widziałam jedynie stare wieżowce, zapylone, śmierdzące ulice, centra handlowe i kilka „szlachetnych” butików (Prader i Valentinor).

Wzięłam Amélie na barana i pobiegłam do najbliższego centrum handlowego. Chciałam kupić wózek. Wszystkie wyglądały koszmarnie. Były też za małe dla Amélie. Mimo to zdecydowałam się nabyć najtańszy – chwiejący się kubusiowopuchatkowy model z daszkiem przeciwsłonecznym, w który Amélie wciąż uderzała głową. Jego pchanie wymagało ciągłego pochylania tułowia, ale było to lepsze niż taszczenie szesnastu kilogramów na barkach. Zwłaszcza w takim piekle.

Po dwudziestu minutach udało mi się złapać taksówkę. Pokazałam kierowcy na mapie jezioro West, „którego ocieniony brzeg zaprasza do zatrzymania się na chwilę”, jak napisano w moim przewodniku.

Taksówkarz śmierdział, podobnie jak jego auto, stary model Volkswagena Santany, pamiętający prawdopodobnie lata osiemdziesiąte. Samochód nie widział chyba nigdy odkurzacza, że nie wspomnę o myjce.

Kierowca miał natomiast co najmniej pięciocentymetrowej długości paznokiec u małego palca, który zawijał się już do wewnątrz. To, co u nas określano jako „paznokiec handlarza kokainą”, w Chinach w czasach dynastii Qing było oznaką bogactwa i dobrobytu. Wielu Chińczyków, co najsmieszniejsze głównie taksówkarze, wciąż zapuszcza więc taki paznokiec, jako znak, że nie muszą pracować fizycznie, by zarobić na chleb, mają bowiem „lepszą” pracę.

Podczas wsiadania do auta Amélie kopnęła niechcący w popielniczkę, która spoczywała między przednimi siedzeniami. Chmura popiołu pokryła nasze mokre od potu nogi. Później zauważyłam jeszcze oryginalną blokadę drzwi chroniącą przed ich otwarciem przez dzieci – skrętnie zaklejony taśmą pakową uchwyt.

Taksówkarze w Wuhanie jeżdżą tak samo szaleńczo jak ci z Szanghaju, jakby ich ktoś gonił. Na światłach natomiast najczęściej przysypiają. Kilkusekundowe drzemki niepokoiły mnie

znacznie bardziej niż ostre hamowanie na każdym skrzyżowaniu. Prawą ręką kurczowo obejmowałam klamkę na drzwiach, lewą zaś – Amélie, aż skóra na kościach moich palców zrobiła się sina.

W Niemczech tygodniami wertowaliśmy katalogi z testami ekologicznymi i ADAC, zanim kupiliśmy fotelik dla dziecka. Musiał być najpewniejszy, sprawdzony w testach zderzeń czołowych i bocznych, pozbawiony polichloru winylu i kadmu i oczywiście najdroższy. To wszystko po to, żeby w Chinach móc przelecieć przez szybę zardzewiałego volkswagena! Wprawdzie miał on pasy, znajdowały się jednak pod nadającymi się do prania pokrowcami, które wszyscy taksówkarze nakładają tu na siedzenia.

Po półgodzinnej jeździe przez coraz bardziej niegościnną okolicę zapytałam kierowcę, czy nie zabłądziliśmy. Kierunek wydał mi się zupełnie zły. Raz jeszcze pokazałam mu na mapie jezioro. Przytaknął, zaśmierzdiał i pojechał dalej.

Po czterdziestu minutach poznałam most, który znajdował się na wschodzie miasta, gdzie nie było żadnego jeziora. Zaczęłam wrzeszczeć na taksówkarza, ten wykrzykiwał coś w moją stronę, a Amélie postanowiła zaśpiewać marynarską pieśń *Wietrze wiej*.

Na światłach otworzyłam drzwi, wysiadłam, pociągając za sobą Amélie oraz wózek. Taksówkarz też wysiadł. Wciąż krzyczał, dałam mu więc pięćdziesiąt juanów.

Odjechał.

Znalazłyśmy się w opuszczonej przez Boga przemysłowej części Wuhanu. Pot spływał nam do majtek. Wokół tylko fabryki i ciężarówki. Przestraszyłam się. Kilku robotników po drugiej stronie ulicy patrzyło na nas tak, jakbyśmy były zielonymi ludzikami z Marsa. A ja chciałam tylko zobaczyć trochę zieleni!

Na końcu ulicy znajdowała się restauracja. Weszliśmy do niej, by poprosić o wezwanie taksówki.

– *Chuzuche*, taksówka – powiedziałam, tak jak uczył nas nauczyciel. Żadnej reakcji. – *Chu-zu-che* – wydukałam jeszcze raz z rozpaczą.

Kelnerka przywołała kolegę. Potem zszedł się cały personel.

– *Chuzuche. Chuzuche* – powtarzałam.

I wtedy przypomniałam sobie o prezencie, który dostałam przed wyjazdem od mojej przyjaciółki Dorthe. „Chiński batonik”⁵⁾ znajdował się na szczęście w mojej torebce. Wyjęłam go i wskazałam odpowiedni obrazek, a kelnerka powiedziała: *Chuzuche*, tak samo, jak ja, i wezwała taksówkę.

5) Słowniki, zwane z racji wielkości batonikami, zawierające podstawowe słowa w danym języku i obrazki do pokazywania (przyp. tłum.).

Dorthe, uratowałaś nam życie!

Wykończone, głodne oraz spragnione po czterech godzinach wylądowałyśmy w plastikowo-barokowym hotelu. Zamówiłam do pokoju *western pizzę*, która okazała się tostem z serem i pieczarkami z puszki, a potem nie wyściubiłyśmy nosa na zewnątrz.

O wpół do drugiej w nocy ze swojego wieczorku z grupą docelową wrócił Tobi. W rękę trzymał napoczętą butelką wódki, a jego nerwy były na granicy wytrzymałości. Musiał się zachwycać kurzymi łapkami, jeżem i zupą z ropuch, a potem bawić w karaoke i śpiewać *Should I Stay or Should I Go* grupy The Clash. W dodatku doprowadził jakiegoś chińskiego chłopca niemal do płaczu. Po kilku przyjacielskich wódkach w typowy dla siebie, bezpośredni sposób zapytał go, czy jest gejem.

Orientacja seksualna inna niż hetero nie ma w Chinach statusu nielegalnej. Geje i lesbijki nie są prześladowani jak za czasów rewolucji kulturalnej, dopiero jednak w dwutysięcznym pierwszym roku *tongxinglian*, homoseksualizm, został skreślony z listy chorób umysłowych.

Akceptacja w społeczeństwie chińskim dla homoerotyzmu jest oczywiście bardzo różna. W dużych miastach jak Szanghaj, Pekin czy Shenzhen działa ożywiona scena gejowska, są też homoseksualne organizacje sportowe. Tego roku, w którym przyjechaliśmy do Szanghaju, w lipcu z wielkim medialnym szumem otworzono na Bundzie D2, duży klub gejowski dla elitarnej klienteli.

Z drugiej strony zakazano dystrybucji nagrodzonego licznymi nagrodami – między innymi Złotymi Globami i trzema Oskarami – filmu *Tajemnica Brokeback Mountain*. Komitet do spraw cenzury partii uznał go za obsceniczny. Podczas gdy na Zachodzie regularnie informuje się w gazetach o Dniu Ulicy Krzysztofa⁶⁾, w Chinach nie zamieszcza się żadnych informacji o homoseksualistach.

6) Parada równości, która odbywa się 27 czerwca na pamiątkę zamieszek, które wybuchły w 1969 roku w Nowym Jorku na tle dyskryminacji mniejszości seksualnych (przyp. tłum.).

Tego lata na największym chińskim forum internetowym – Tianya, pojawiło się wideo, które wywołało wiele kontrowersji. Zrobił je ręczną kamerą w szanghajskim metrze jakiś pasażer. Widać na nim dziewczynę, do której podchodzi druga i kładzie głowę na jej kolanach. Potem obie dziewczyny się całują. Tyle. Rozmazany filmik przez kilka dni robił furorę w całym Chinach. W gorących dyskusjach na forach zachowanie obu dziewczyn określono jako „nieprzyzwoite i perwersyjne”.

Tymczasem w chińskiej historii *tongxinglian* nie jest niczym nadzwyczajnym. W najbliższym otoczeniu wszystkich władców dynastii Han (206 p.n.e.–220 n.e.) były osoby o skłonnościach homoseksualnych. Na wielu starych obrazach widać mężczyzn podczas wspólnych igraszek. Nawet u klasyka literatury chińskiej Cao Xueqina, w jego *Śnie czerwonego pawilonu*, obowiązkowej lekturze wszystkich uczniów, pojawiają się zarówno hetero- jak i homoseksualne historie miłosne.

Jednocześnie dla większości chińskich homoseksualistów ujawnienie się jest nie do pomyślenia. Biedak, którego orientację Tobi tak łatwo odkrył, wyznał, że wkrótce będzie musiał znaleźć sobie dziewczynę i się ożenić. Geje po ujawnieniu swoich preferencji nierzadko zostają zwolnieni z pracy i odrzuceni przez przyjaciół. Najgorsze, że cierpią na tym również rodzice. Syn bez żony i dzieci uchodzi w Chinach za straconą duszę. Pozostaje przeżywanie swojej seksualności w tajemnicy. Dlatego większość gejów i lesbijek powyżej trzydziestki jest po ślubie i ma dzieci.

Na koniec wieczoru, Tobi wcisnął do ręki młodzieńca butelkę absolutu. Była zapłacona, a zostało w niej jeszcze mnóstwo wódki. *Never waste alcohol*. „Nigdy nie marnuj alkoholu”. Chłopak wykręcił się jednak od podarunku, mówiąc, że tak naprawdę nie znosi pić.

W ten oto sposób Tobi znalazł się w naszym hotelowym pokoju z niepełną butelką wódki, którą wcisnął do zamrażalnika minibaru. Był tak wstrząśnięty tym, co usłyszał, że zasnęliśmy dopiero około trzeciej.

Godzinę później zostaliśmy obudzeni przez hałasy dobiegające z pokoju obok. Nasi pijani sąsiedzi po powrocie z miasta zaczęli wesołą partyjkę pokera. Tobi zapukał do ich drzwi, ale oczywiście nikt go nie zrozumiał. Po trzech telefonach do recepcji zaoferowano nam przeprowadzkę na drugi koniec korytarza.

Kiedy następnego dnia przenosiliśmy wszystkie nasze rzeczy do nowego pokoju, Tobi przypomniał sobie o wódce. Wyjął butelkę z zamrażalnika. Zawartość była zamrożona. Ostatnią lekcję chemii miałam prawie dwadzieścia lat temu, ale kilkanaście lat praktyki alkoholowej robi swoje, wiedziałam więc, że czterdziestoprocentowy alkohol zamarza dopiero poniżej minus trzydziestu stopni Celsjusza. Półka zamrażalnika miała, zgodnie z informacją, tylko minus osiemnaście stopni.

Tobi złapał się za głowę. Po pierwsze dlatego, że straszliwie go bolała, a po drugie – był zły. Trzeba być głupim, by wierzyć, że w tym kraju alkohol nie będzie podróbką!

Mój mąż znów musiał pracować. Po brejowatych kolbach kukurydzy na śniadanie Amélie i ja wybrałyśmy się więc do Wieży Żółtego Żurawia na wzgórzu Sheshan.

Budowla była jedną z czterdziestu największych atrakcji turystycznych Chin. W ciągu tysiącosiemsetletniej historii niszczone ją i odbudowywano co najmniej dziesięć razy. Ostatnia rekonstrukcja odbyła się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. A więc znowu mieliśmy do czynienia z *fake*, podróbką.

Świątynia emanowała tymczasem wspaniałym spokojem. Pokonałyśmy jeszcze dwieście pięćdziesiąt schodów, by zobaczyć ogromny dzwon, w który, po zapłaceniu dziesięciu juanów, mogłyśmy trzykrotnie uderzyć specjalną belką.

Wieczorem w hotelowym lobby obejrzelśmy transmisję z otwarcia igrzysk olimpijskich. Tobi odmówił wyjścia do chińskiej knajpki. Wylądowaliśmy więc z górą zamówionego sushi przed telewizorem z dużym ekranem. Patrzyliśmy na barwne widowisko, ludzi, którzy wykonywali na stadionie różne układy taneczne, prezentując wielowiekowy dorobek chińskiej cywilizacji. Wszystko w sposób bajkowy i wspaniały, niesamowity. Miałam gęsią skórę.

Ukoronowaniem przedstawienia było zapalenie znicza olimpijskiego. Dokonał tego sławny sportowiec, „książę gimnastyki” Li Ning, który wtedy miał już największą firmę z artykułami sportowymi w Chinach. Logo jego przedsiębiorstwa składało się z odwróconego symbolu firmy Nike, slogan zaś – *Anything is possible*, „Wszystko jest możliwe” – parafrazował znane hasło reklamowe Adidasa: *Impossible is nothing*, „Niemożliwe nie istnieje”.

Smaczku całej sprawie dodawało to, że firma Li-Ning była największym konkurentem Adidasa w Chinach, sportowiec zaś, wędrując z pochodnią po koronie stadionu, zwanego z powodu kształtu ptasim gniazdem, miał na sobie koszulkę tego zachodniego koncernu.

Firma Adidas na sponsoring olimpijski wybuliła od stu pięćdziesięciu do dwustu milionów euro, a Li-Ning znalazła się na otwarciu za darmo. Właściciel nie mógł marzyć o lepszej reklamie dla siebie i swojego przedsiębiorstwa. Na dodatek bezpłatnej. Nie było też większego policzka, jaki dałoby się wymierzyć Zachodowi.

Idź prosto do więzienia!

*Czy można złapać małego tygrysa,
nie ważąc się wejść do jego pieczary?*

Leżący tuż przed Hongkongiem Kanton, zwany tu Guangzhou, był kolejnym przystankiem na trasie konsumenckich badań Tobiego. Jedna z mam z przedszkola ostrzegła mnie, że to niebezpieczne miejsce, gdzie trzeba bardzo uważać na dziecko. Na pytanie, co mogłoby się stać małej w tym mieście, usłyszałam: „Wolałabyś nie wiedzieć”. Postanowiłam zignorować tę przestrożę. W końcu kto nie ryzykuje, nie zyskuje. Zwiedzanie miasta z pobytem w hotelu Shangri-La było na pewno bardziej interesujące niż zostanie samej w dusznym Szanghaju.

Kiedy jednak wylądowaliśmy na miejscu, poczułam się trochę nieswojo. Czy mogą tu uprowadzić Amélie z ulicy w biały dzień? Obedrzeć ze skóry? Pokroić na kawałki lub sprzedać komuś?

Na lotnisku przezornie zrobiłam podwójny węzeł na pasku z Kubusiem Puchatkiem i pochylona nad wózkiem mocno zacisnęłam palce na jego rączkach. Nawet taksówkarze siedzieli tu odgradzeni od klientów żelazną kratą.

Kiedy jechaliśmy do hotelu, przeżyłam pierwsze zaskoczenie. Na szerokich ulicach nie było tłoku, w zamian okalało je mnóstwo zieleni! Przejeżdżaliśmy obok placów zabaw, niedokończonych wież telefonii komórkowej, które wyglądały jak przepołowione wieże Eiffla, hal targowych w kształcie ryby i budynków ze stali i szkła przypominających formą jaja, co kazało mi pomyśleć o Hamburgu.

W hotelu – drugie zaskoczenie: żadnego przeładowanego baroku, a olbrzymi zespół basenowy. Czyżby zapłata za to, że wytrzymaliśmy w Wuhanie? Niestety, nie wzięłam ze sobą żadnego przewodnika, zapytałam więc portiera, co warto tu zobaczyć i robić.

– *Shopping*, zakupy – odparł krótko.

– Co jeszcze? – drążyłam.

– Tylko *shopping*. – I wymienił nazwy trzech luksusowych ulic handlowych.

– A dokąd pan chodzi na zakupy? – zapytałam.

– Na Bejing Lu.

Wzięliśmy więc kurs na główny deptak Kantonu – Bejing Lu. Tam czekała mnie trzecia niespodzianka: strefa dla pieszych wyglądała niemal identycznie jak na Mönckebergstraße i Kaufingerstraße⁷⁾. Jedyne różnice to kolorowe latarnie wiszące przy sklepach i samochody policyjne, sprawiające wrażenie jakby uciekły z autodromu. Między nimi podskakiwał nagi chłopak, co jakoś nikomu nie przeszkadzało. Budynki zostały obwieszane plakatami olimpijskimi Adidasa i Nike, wszędzie sprzedawano cudowne gąbki do mycia (kupiliśmy jedną dla Guiling) i martwe kurczaki.

7) Główne ulice handlowe w Hamburgu i Monachium (przyp. tłum.).

Postanowiłyśmy wejść do jednego z domów towarowych. Przedarłyśmy się przez rozległe działy z piżamami, które także w Guangzhou ludzie chętnie nosili w ciągu dnia, i znalazłyśmy stoisko ze strojami kąpielowymi – nie wzięłam ze sobą żadnego bikini! Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że chiński dwuczęściowy kostium składa się zazwyczaj z solidnie wypchanego biustonosza (największy rozmiar miseczki to A) i maleńkich spodenek zdobionych falbaniastą spódniczką (w wersji mini lub do kolan).

– *Qing wen*, przepraszam... Bikini... *panties*, majtki?

No i zaczęło się chichotanie, przywoływanie koleżanek, wspólne chichotanie, a potem prowadzenie do stoiska z męskimi kąpielówkami.

Trudno, w takim razie pójdziemy kupić elektryczną szczoteczkę dla Amélie.

Ubezpieczenie zdrowotne, za które płaciła firma Tobiego, nie obejmowało opieki dentystycznej. Golarki i szczoteczki do zębów były wyłożone na oszklonej ladzie. Amélie skakała z radości – zauważyła model ze SpongeBobem, którego uwielbiała.

Przywołałam sprzedawczynię i wskazałam na szczoteczkę. Dostałam kwit, z którym miałam pójść do kasy, by zapłacić za towar. Potem wrócić i odebrać szczoteczkę. Tak zrobiłam. Z paragonem w ręce wróciłam do lady. Sprzedawczyni rozmawiała właśnie przez telefon, ale obok stała jej koleżanka. To jej wręczyłam paragon – szczoteczka ze SpongeBobem leżała dokładnie przed nią.

– *Cannot*, nie mogę – powiedziała. – *Wait*, czekać.

– *Why?* Dlaczego? – Nie mieściło mi się to w głowie.

– *Me responsible for razor, my colleague toothbrush*. Ja odpowiedzialna za golarki, moja koleżanka za szczoteczki do mycia zębów – usłyszałam.

Desperacko wskazałam na SpongeBoba, leżał przecież tuż przed jej nosem, i raz jeszcze pomachałam paragonem. Odpowiadająca za szczoteczki do zębów dalej rozmawiała przez telefon. Minęło pięć minut. Nic się nie zmieniło, tyle że sprzedawczyni zaczęła dodatkowo dłużyć palcem w nosie, a następnie wypluła zieloną kulkę śliny na podłogę.

Kolejne pięć minut... Straciłam cierpliwość – złapałam szczoteczkę i skierowałam się do wyjścia. Skutek? Moim śladem ruszyło pięć wściekłych sprzedawczyń i dwóch ochroniarzy. Zawyla syrena, a ja pomyślałam – Koniec, wylądujemy w więzieniu. Z powodu olimpiady rząd robi to ku przestrodze. Jeden z ochroniarzy chwycił mnie mocno za ramię, sprzedawczynie natomiast uklęknęły wokół Amélie i wydawały z siebie gulgot, mlaskając przy tym językiem.

Myślałam, że wsadzą nas do jednego z tych zabawnych samochodów policyjnych i odwiozą do któregoś z reedukacyjnych obozów. Nic z tego. Zjawił się zwierzchnik sprzedawczyń i wyjaśnił mi, że tylko określone osoby mogą podawać towary i umieszczać *zhang*, pieczętkę, na paragonie, a swoim zachowaniem złamałam prawo. W Chinach bez czerwonej pieczętki nic nie ma prawa się odbyć. Każda umowa, każda licencja i każdy paragon musi zostać nią oznaczony. Panują tu rządy czerwonych pieczętek. Zaginięcie albo kradzież stempelka potrafi sparaliżować każde przedsięwzięcie na długie tygodnie.

Na szczęście zwierzchnik sprzedawczyń nagle się uśmiechnął. Ochroniarz poluzował uścisk. Mogłam odejść. Zrobiłam to na miękkich kolanach. Czułam się jak sklepowy złodziej.

By poprawić sobie humor, postanowiłam zabrać Amélie na uroczą wyspę Shamian na Rzece Perłowej. Łacha Piachu, jak tłumaczy się nazwę wyspy, miała niecałe pół kilometra kwadratowego powierzchni. W dziewiętnastym wieku mieszkali na niej Brytyjczycy i Francuzi. Pozostały po nich kolonialne wille i pałacyki przy ocienionej alei platanowej, obecnie w większości niszczone. Nad okolicą górował White Swan Hotel, duma Chińczyków. Pięciogwiazdkowy, z wodospadem, stawem i miniaturą Świątyni Nefrytowego Buddy w lobby, emanował kiczem. Amélie i ja postanowiłyśmy zjeść w nim lody. Przechodząc obok portiera, zobaczyłyśmy jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt dziecięcych wózków.

– Co się tu odbywa? – zapytałam, zjadana przez ciekawość.

Portier tylko się roześmiał.

W kawiarni zlokalizowanej przy hotelowym basenie zagadka sama się rozwiązała. Mnóstwo amerykańskich par, kilka rosyjskich i z innych państw Europy Wschodniej radośnie zajmowało się chińskimi niemowlętami. Bawiono się z nimi w wodzie albo trzymając na rękach,

spacerowano wokół basenu. Dorośli wydawali się tak podnieceni i szczęśliwi, jakby objawił się im Mesjasz.

Ze wszystkich kątów rozlegały się krzyki niemowląt, podawano butelki, zmieniano pieluchy. Wylądowaliśmy na adopcyjnym placu przeładunkowym.

Mimo nadzwyczaj wysokiego wskaźnika aborcji (do pięćdziesięciu procent ciąż) w Chinach na adopcję czekało sto sześćdziesiąt tysięcy dzieci. Prawie wszystkie były dziewczynkami, polityka jednego dziecka powodowała, że preferowano męskich potomków.

Od kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku Chiny umożliwiły zagranicznym parom adopcję, chętnych nie brakowało. Było ich tak dużo, że trzy lata później chińskie władze otworzyły państwowe biuro adopcyjne w Pekinie – China Center of Adoption Affairs. Do dwutysięcznego szóstego obcokrajowcy adoptowali pięćdziesiąt tysięcy chińskich niemowląt, z czego czterdzieści tysięcy – Amerykanie. Wkrótce rząd poczuł konieczność zaostrzenia warunków stawianych parom ubiegającym się o dziecko: zainteresowani musieli od dwóch lat być małżeństwem, dobrze zarabiać i... nie mieć nadwagi.

Radośnie skaczące w strojach kąpielowych pary zdawały się w magiczny sposób omijać ten ostatni warunek. Wszyscy, bez wyjątku, nie należeli do szczupłych.

Jeszcze nigdy nie widziałam tylu szczęśliwych ludzi naraz. Widok był dziwny, ale poruszający. Amélie podekscytowana podskakiwała wokół jednego ze stołów, wołając: „Mamo, lalka Barbie!”. Rzeczywiście, na blacie leżała Barbie trzymająca chińskie niemowlę w ramionach. Była to specjalna wersja lalki, powstała w kooperacji z hotelem, zwana Coming Home Barbie lub Barbie White Swan.

Od jednej z nowych matek, mającej około pięćdziesięciu lat, dowiedziałam się, że adoptując w Chinach niemowlę i nocując w hotelu White Swan aż do załatwienia wszystkich formalności związanych z wizą, otrzymuje się jako prezent taką ekskluzywną zabawkę.

Ponieważ wydający odpowiednie dokumenty konsul Stanów Zjednoczonych znajdował się w Kantonie, w hotelu było bardzo dużo małżeństw. Adopcja stanowiła tu prawdziwy biznes. Przyszli rodzice wydawali przeciętnie piętnaście tysięcy dolarów, nim mogli zabrać swoje nowe dziecko do domu, mały prezencik w formie lalki wydawał się więc jak najbardziej na miejscu. Wszystkie zabawki w hotelu pochodziły zresztą od firmy Mattel, produkującej między innymi Barbie.

Dla Amélie nagromadzenie dzieci i zabawek było bardzo atrakcyjne. Ja jednak poczułam się w tym wszystkim nieswojo. Było też zdecydowanie za głośno. Wróciłyśmy taksówką do Shangri-La. W hotelowym sklepie kupiłam okropnie drogie bikini i resztę dnia spędziłam w kompletnym spokoju na basenie.

Prezent sąsiadki

Prezent nie jest wart tyle, co myśl.

Po naszej ekspedycji Szanghaj wydał mi się rajem na ziemi – tak cywilizowany, tak zachodni, tak światowy. Wydało mi się jednak, że wszyscy długonosi wyjechali z miasta na lato. Miało to swoje zalety: nie było kolejek przy kasach w Carrefourze i ani żywej duszy przy basenie. Zapisałam bowiem i siebie, i Amélie do Embassy Club, nieco podstarzałego klubu fitness ze sprzętem pamiętającym lata osiemdziesiąte. Wystroju dopełniały wydeptana wykładzina dywanowa oraz złote klamki. Obrzydliwość. Atutem był natomiast ładny basen z brodzikiem i zjeżdżalnią. Spędzałyśmy na nim całe popołudnia, a wieczorem Amélie wykończona padała na łóżko i natychmiast zasypiała.

Ta rozrywka kosztowała mnie siedemdziesiąt euro miesięcznie, więcej niż płaciłam w hamburskim klubie sportowym, do którego uczęszczałam, ale co robić. W potrzebie ujdą nawet zniszczone wykładziny pod piszczącymi orbitrekami i przeciekająca klimatyzacja. Z sufitu wciąż kapąła woda, zostawiając na wykładzinie koncentryczne wzory.

Po pierwszym treningu czułam się jak tłusty, nieruchawy hipopotam. Trenerka musiała wcześniej służyć w armii, non stop ryczała i od czasu do czasu podchodziła do którejś z ćwiczących, by zmusić ją do większego wysiłku. Kiedy podeszła do mnie i zgięła mi nogi, krzyknęłam z bólu. Szkielety wokół mnie wydawały się być z gumy, w każdym razie zachowanie trenerki im nie przeszkadzało. Robiliśmy też ćwiczenia przy drążku baletowym. Początkowo nie mogłam nawet podnieść nogi na wysokość drążka, nie mówiąc nawet o zgięciu się przy tym w pół. Pozostałe uczestniczki ćwiczeń chichotały, widząc moją męczarnię. Było to upokarzające.

Zacisnęłam jednak zęby, musiałam przez to przejść. Bez sportu chyba bym w tym kraju oszalała, a jogging odpadał, za dużo spalin, podobnie jak tenis – za gorąco. Pozostawało wyginanie kości w piwnicznej izbie. W nagrodę po ćwiczeniach mogłam się rozłożyć na wyściełanym leżaku nad basenem. Czułam się wtedy niemal jak na urlopie.

Dobra nowina – zaczęły się normalne zajęcia w przedszkolu. Wychowawczynią Amélie została Angielka Elli, była hipiska, która dorastała w Indiach i na Bhutanie. Mówiła z doskonałym brytyjskim akcentem i Amélie zaczęła nieustannie mnie poprawiać: „Mamusiu, nie mówi się *bleck*, ale *black*”. Albo: „Mrówki to nie *ents*, ale *aaaants*”. Była w grupie Pszczółek i zaprzyjaźniła się z małą chińską dziewczyną – Chanel, której mama uwielbiała nosić ubrania od Prady. Mieliśmy wreszcie coś na kształt poukładanego planu dnia.

Także relacje z naszymi sąsiadami wydawały się normalizować. Dowód – jedna z naszych sąsiadek w podarunku przyniosła Amélie gwarka ze swojej sporej hodowli, którą prowadziła na balkonie. Mówił podobno *ni hao*. Dla mnie było to jedynie ogłuszające skrzeczenie, przy którym nie dało się spać. Ptak srał na wszystko przez cały dzień, ciągle wrzeszcząc. Amélie znudziła się nim po pięciu minutach, ja natomiast ogłuchłam. Nie było wyjścia. Guiling musiała wybawić nas z kłopotu – spróbować oddać ptaka, nie urażając przy tym sąsiadki.

Poprosiłam ją o tę przysługę, a ona przytaknęła i pomknęła na górę. Półtorej godziny później wróciła z błyszczącymi oczami, mając w zanadru najnowsze ploteczki. Dowiedziałam się, że starszy mężczyzna mieszkający po drugiej stronie ulicy od lat próbował wydać za żonę córkę – jak na razie bezskutecznie, że kobieta zajmująca pokoje od tyłu od czasu nieprofesjonalnego masażu miała problemy z plecami – zamierzała zaskarżyć właścicielkę salonu

z naprzeciwka, bo ta uważała się za kogoś lepszego, no i, co najbardziej ekscytujące, sąsiadka, która podarowała nam gwarka, niezbyt lubiana stara żmija, w pokoju na pierwszym piętrze, którego okna były zawsze zasłonięte, ukrywała od dwóch tygodni córkę. Córka była stewardesą i odznaczała się urodą, a nasza sąsiadka ciągle o niej opowiadała. Że mieszka w Paryżu i ma obrzydliwie bogatego francuskiego chłopaka, że wkrótce wyjdzie tam za mąż... Ponoć Francuz znalazł sobie inną, a córka z płaczem wróciła – hańba, którą sąsiadka bardzo chciała ukryć.

Zdobycie plotek wprawiło Guiling w radosny nastrój. Nieustannie biła się po udach i zaśmiewała, a robiła to tak serdecznie, że śmiałam się razem z nią, choć rozumiałam tylko jedną czwartą jej opowieści.

Oprócz plotek o sąsiadach Guiling zdobyła też przydatne informacje. Na przykład, że nie musimy zanosić naszych śmieci trzy domy dalej na wspólne miejsce. Można wystawiać je bezpośrednio przed drzwiami, trzeba tylko wnieść niewielką opłatę u przedstawicielki sąsiadów. Wtedy zatroszczy się ona, by zmiatacz ulic nie zapomniał ich wywieźć. W takich momentach uwielbiałam Guiling. Jej okrągłą twarz, nieudaną trwałą, zaraźliwy chichot i życiowy pragmatyzm.

Guiling była w świetnym humorze przez cały tydzień. Podczas ścierania kurzów, prasowania czy odkurzania włączała telewizor i śpiewała. Tańczyła zaś, kiedy Chińczycy zdobywali kolejne złote medale olimpijskie.

Tymczasem dla mnie po tygodniu nieprzerwanej propagandy igrzyska stały się nieznośne. Informacji podawanych w „China Daily” i „Shanghai Daily” nie dało się czytać. Rozumiałam potrzebę rozbudzania dumy narodowej, ale przekroczono granicę dobrego smaku. Grzmiano: jesteśmy najwięksi i najlepsi, świat kłania się nam do stóp, chwali perfekcyjną organizację i pozostaje pod ogromnym wrażeniem, zagraniczni sportowcy kochają Chiny, mamy najczystsze rozgrywki sportowe, jakie kiedykolwiek widziano, i tak dalej. O tym, że zagraniczna prasa dziwiła się uczennicom szkoły podstawowej, które w zawodach gimnastyki artystycznej startowały jako szesnastolatki, że fingowano zdjęcia na żywo i robiono wiele innych mało etycznych rzeczy, Chińczycy nie wiedzieli. Bo niby skąd? Można było o tym przeczytać w internetowych wydaniach zachodnich gazet, ale sieć prawie tu nie działała. Wciąż traciłam połączenie z Google, strona BBC w ogóle się nie otwierała, a witryny Spiegel.de i GMX otwierały się w ślimaczym tempie. Powoli stawałam się paranoiczką, przy każdym trzasku na linii telefonicznej myślałam, że jestem podsłuchiwana.

Mimo niechęci do igrzysk, wybraliśmy się na mecz piłki nożnej o brązowy medal olimpijski. Bilety załatwili Waltonowie, nasi angielscy i jak dotąd jedyni tutejsi przyjaciele. Brazylia wygrała z Belgią trzy do zera.

Był to najnudniejszy mecz, jaki widziałam. Publiczność siedziała jak skamieniała, nikt nie śpiewał ani się nie wydzierał. W zamian pierdziano i bekano w istic olimpijskim stylu. Na dodatek nikt nie użył przed wyjściem z domu dezodorantu. Tak jak podczas projekcji kinowych połowa widzów opuściła stadion jeszcze przed końcowym gwizdkiem, tylko nieliczni obejrzeni więc trzecią bramkę w dziewięćdziesiątej drugiej minucie.

Siedzący w pobliżu Chińczycy patrzyli na nas z wyraźnym współczuciem. Uznali nas zapewne za Belgów, co potwierdzało teorię, że dla skośnookich wszyscy długonosi wyglądali tak samo.

Powódź

*Woda może nieść łódkę,
ale może ją też zatopić.*

W nocy obudził nas deszcz – padało z halogenów na suficie. Koło łóżka zrobiło się już małe bajoro. Pognaliśmy na schody. Deszcz tak mocno bębnił o dach i okna na strychu, że nie zapowiadało to nic dobrego.

Nie powiedzieliśmy ani słowa, ale obydwójce pomyśleliśmy o tym samym – parter z pewnością był zalany. Tym razem się pomyliliśmy, w pokojach było sucho. Otworzyłam drzwi na zewnątrz i wrzasnęłam z przestachu. Ulicą płynęła brązowa zupa, a do tego, by wdarła nam się do domu, brakowało półtora centymetra.

Mój wrzask obudził Amélie. W nocnej koszuli i plastikowych sandałach zaczęła skakać w wodzie, zaśmiewając się do łez. Potem spytała, czy popłyniemy do przedszkola. Nie wiedziałam, jak mam się zachować.

Tego dnia Fang, nasz kierowca, utknął w korku. Tobi musiał pracować w domu. Nic nie funkcjonowało. Na ulicy Huai Hai woda sięgała ludziom do kolan, a niektórym nawet do ud. Nie powstrzymywało to kierowców samochodów i motorowerów przed próbą przedarcia się przez to jezioro. Dziwili się, że silnik zgasł i nie chciał zapalić.

Wskoczyłam dziarsko na rower. Amélie usadowiła się w swoim foteliku i piszczała z radości. Pierwsze metry udało mi się przejechać tak, że tylko pedały znajdowały się pod wodą. Na Wukang Lu moje nogi znalazły się już pod wodą. Zadziwiająco, ale wciąż dało się pedałowac, wprawdzie powoli, ale jednak.

Psychicznie nastawiłam się na wysypkę, która miała mnie dopaść w następnych dniach. Amélie śpiewała swoje marynarskie piosenki i śmiała się, śmiała, śmiała. Po czterdziestu pięciu minutach kompletnie mokre dotarliśmy do przedszkola. Było prawie puste.

Do domu wróciłam na piechotę. Zastałam robotników, którzy mieli obejrzeć nieszczelny dach i oświetlenie na suficie. Zdjęłam zafarbowane na brązowo, mokre ciuchy, nalałam do zlewu wody do pełna i dodałam Sagrotanu. A potem włożyłam ubrania. Wtedy coś cicho trzasnęło, po chwili rozległ się głośny wystrzał, a potem zlew przeleciał przez szafkę, rozwalił kosz na śmieci i wylądował na podłodze. Ot, robotnicy wycięli za dużą dziurę w blacie, a potem uznali, że zlew może się trzymać na tonie silikonu.

Po południu, brodząc w wodzie, poszliśmy zrobić zakupy w pobliskim sklepie Dumpling. Na ulicach było pełno ludzi. Szanghajczycy zdawali się nie zwracać uwagi na brązową rzekę, która płynęła przez miasto, jakby zupełnie im to nie przeszkadzało. Wykonywali swoje codzienne obowiązki, kupowali gazety w kiosku i warzywa od ulicznych handlarzy, szli na obiad. Kobiety brnęły przez wodę w szpilkach, mężczyźni natomiast zdejmowali buty, a czasem nawet i spodnie. Najbardziej zadowoleni byli śmieciarze. Za jednego lub dwa kuai⁸⁾ przewozili chętnych na plandecę transportowej swoich rowerów. Taszcząc torbę z zakupami, też zdecydowali się na podwózkę.

8) Potoczne określenie juana, chińskiej waluty (przyp. tłum.).

Moje usta były wciąż otwarte ze zdumienia. Nic nie było w stanie poruszyć tych ludzi, przyjmowali wszystko ze spokojem trudnym do zrozumienia. Czy to właśnie ma się na myśli, mówiąc o Państwie Środka i Chińczykach? Dewastują motorowery i samochody, niszczą szpilki i ubrania, a wyraz ich twarzy nie zmienia się ani na jotę.

Następnego dnia przeczytałam w gazecie, że była to największa powódź w Szanghaju od stu trzydziestu lat. Na szczęście nasz salon pozostał suchy. Mimo to nie spaliśmy w nocy – o drugiej obudziło nas głośne trąbienie, jakby ekstremalnie głośny budzik, który wciąż wygrywał inne melodie. Zeszłam na dół. Alarm migał wszystkimi kolorami, wydając przy tym dźwięki niczym amerykańska grająca zabawka dla niemowląt, tyle że głośniejsza. Spróbowałam go wyłączyć, naciskając wszystkie guziki, które znalazłam. Nic. Urządzenie nadal trąbiło i migało, choć w zasięgu wzroku nie było żadnego włamywacza. Odłączyłam go od zasilania i rano zadzwoniłam do reprezentanta właściciela domu.

Trzech „inżynierów od systemu alarmowego”, którzy przybyli nam na ratunek (przyjechali na jednym rowerze elektrycznym), wyjaśnili Guiling, że system alarmowy „kłóci się” z linią telefoniczną w domu. Trzeba więc ją odłączyć, jeśli chcemy, by alarm działał.

– Tak nie może być, potrzebujemy telefonu – zaprotestowałam z oburzeniem.

W odpowiedzi usłyszałam:

– *Computer says no.*

Potem odjechali.

Nie działał ani telefon, ani system alarmowy.

WRZESIEŃ

Babcia i dziadek przyjeżdżają!

Serce leci do domu jak strzała.

– Jesteś pewna, że wy TUTAJ mieszkanie? – Mój tata patrzył z niedowierzaniem na zardzewiałe metalowe drzwi, które prowadziły na naszą ulicę.

Kiedy żegnaliśmy się trzy miesiące wcześniej na monachijskim lotnisku, powiedziałam: „Zanim przyjedziecie we wrześniu, z pewnością od dawna będziemy zdomowieni, a potem wszystko już pójdzie”. Zamiast tego znowu ciekło z toalety w łazience Amélie. Niebieska ciecz z rozpuszczającej się kostki toaletowej utorowała sobie drogę przez silikon i płynęła wąską strużką po zielonych kafelkach. Amélie ozdobiła strumyk kilkoma drzewami i zwierzętami z klocków Lego i wybudowała nad nim most dla swojej kolejki marki Brio.

Nasz zaufany budowlaniec, Mr. Zhou, zdecydowanie najlepszy, jakiego dotąd mieliśmy, powiedział Guiling z całą powagą, że to normalne, łazienka jest w końcu węzłem sanitarnym, więc po prostu musi być tam mokro. Wczoraj ponownie przyszedł robotnik, którego kilka tygodni temu wyrzuciliśmy z domu, i próbował naprawić zepsute drzwi od prysznica. Podczas ich wyjmowania po raz drugi zniszczył kafelki na podłodze. Teraz do łazienki nie da się wejść boso. Tym razem poprosiliśmy Guiling, żeby to ona go wyrzuciła. Ja prawdopodobnie wydrapałabym mu oczy.

Dla uczczenia przyjazdu rodziców poprosiłam Guiling, żeby na kolację kupiła na targu świeże krewetki. Dopiero co nauczyłam się, jak jest „świeży” po chińsku.

– *Xinxian de xia* – powiedziałam, a ona wskoczyła na swój rower górski i wróciła z wielką niebieską torbą.

– Mamo, patrz! Torba umie biegać! – wykrzyknęła na jej widok Amélie.

Guiling zaśmiała się zadowolona i oznajmiła z dumą:

– *Heng xinxian*, bardzo świeże.

Potem wrzuciła dwa kilo żywych krewetek do zlewu. Wzięła nożyczki, którymi Amélie robi wycinanki, i po kolei zaczęła obcinać im głowy. Moi rodzice gapili się na to z otwartymi ustami. A Guiling śmiała się tak głośno, że chwiały się ściany.

W następnym tygodniu pachniało u nas pieczonymi ziemniakami i pieczoną kielbasą, gulaszem oraz sznyclem po wiedeńsku. Zaczęłam tęsknić za domem. Straszliwie.

W drugim tygodniu pobytu rodziców poleciliśmy do Sanya na wyspę Hajnan. Hajnan leży na tym samym stopniu szerokości geograficznej co Hawaje i brzmiało to obiecująco. Kiedy szukaliśmy w Internecie informacji o tym mieście, przy opisach wszędzie pojawiały się takie wyrażenia, jak *luxury*, *international standard*, *coconut dream*. Przezornie w nic z tego nie uwierzyłam. Przy słowie *luxury* (ulubionym przymiotniku reprezentanta właściciela domu) włączała mi się syrena alarmowa. Zazwyczaj kryła się za tym beczka gówna z cienką warstwą miodu na wierzchu. Trzymałam się nowego życiowego motta Tobiego: „Żadnych oczekiwań – żadnych rozczarowań”.

W samolocie siedzieliśmy wciśnięci między grupy wycieczkowe, które wprowadzały się w wakacyjny nastrój wrzaskami i pierdzeniem oraz piwem i korzeniem lotosu, z którego plastrów wydłubywano nasiona. Później pojawiły się też suszone owoce. Miąsz wysysano, a resztę rzucono na podłogę. Atmosfera miała w sobie coś z wycieczki autobusowej organizowanej przez Rainbow Tours do Ischgl, była tylko odrobinę bardziej orientalna. Panowie przed nami rozkoszowali się ciągłą zmianą pozycji fotelowego oparcia, które z impetem uderzało o nasze

kolana. Do góry i na dół – wesoła zabawa dla mężczyzn powyżej czterdziestki. Siedzenia w samolotach linii China Southern montowano dwa razy ciasniej niż u innych przewoźników, tak by móc zabrać na pokład dwa razy więcej pierdzących pasażerów. Amélie nic nie przeszkadzało, śpiewała i malowała, nawet lepiące się różowe gumiate ciastko, które podano nam do żółtej słodzonej wody (nazywanej oranżadą), zjadła z apetytem. Punktem kulminacyjnym lotu była loteria. Mieliśmy zdrapać pole na otrzymanych karteczkach, a zwycięzca dostawał plastikowy model samolotu.

Na lotnisku czekał na nas kierowca z hotelu Marriott. Przywitał nas w białych rękawiczkach, zaproponował zimną wodę mineralną, a następnie zawiózł do Yalong Bay. Była prawie północ, wyspa wydawała się ciemna i niezbyt zachęcająca, moje oczekiwania osiągnęły punkt zerowy. A jednak czekała mnie niespodzianka. Na teren hotelu prowadziła szeroka, romantycznie oświetlona aleja z palmami, lobby prezentowało się natomiast luksusowo, ale nie barokowo. Za dnia wszystko wyglądało jeszcze lepiej – biały piasek, turkusowe morze, nakryte bambusowymi daszkami parasole przeciwsłoneczne i kelner przynoszący orzechy kokosowe do leżaków.

Przez następne dni kołysaliśmy się w ciepłym morzu w kółkach do pływania, budowaliśmy z piasku zamki oraz rollercoastery, piliśmy drinki Mr. Berry w barze, graliśmy w piłkę plażową, opiekaliśmy ramiona, które skwierczały podczas morskich kąpiei, i obserwowaliśmy chińskie turystki biegające wzdłuż plaży w szpilkach, sukniach wieczorowych i z parasolami przeciwsłonecznymi w rękach – tylko nieliczne wchodziły do wody.

W hotelu mieszkali głównie Rosjanie i chińskie grupy odbywające firmowe seminaria. Uczestnicy seminarium nosili żółte, czerwone lub niebieskie koszulki, organizowano im zawody i różne zajęcia sportowe – pływali na tratwach, przeciągali linę, grali w siatkówkę albo startowali w wyścigach. Niezła zabawa, lepsza od oglądania telewizji. Moja mama nawiązała bliższą znajomość z rozwieltkami i wraz z Amélie piszcząca głośno w wodzie. Pionowa zmarszczka nad moim nosem, która powstała w ostatnich miesiącach, stopniowo się wygładzała.

Po trzech dniach dojechał do nas Tobi, również koło północy. Jego nastrój, jak oznajmił nam dudniącym głosem, był ZNAKOMITY! Zaraz potem dodał, że powinniśmy trzymać od niego z daleka wszystkich Chińczyków, bo może skoczyć któremuś do gardła. A tak w ogóle to musi rozprostować nogi, które po trzech godzinach lotu w pozycji embrionalnej wciąż były bez czucia. Poszliśmy więc do baru na drinka. Tobi zamówił gin z tonikiem dla siebie oraz whiskey z colą dla mojego taty. Śliczniutka kelnerka w jedwabnym *qipao* z wysokim rozcięciem uśmiechała się przyjaźnie, choć nieco debilnie. Wyraz jej twarzy wskazywał na jedno – nic nie rozumiała. Tobi powtórzył więc zamówienie w zwolnionym tempie:

– *One gin tonic and one whiskey cola.* Jeden gin z tonikiem i jedna whiskey z colą.

Przytaknęła i zniknęła. Po dziesięciu minutach wróciła z wysoką szklanką do drinków, zawierającą coś ciemnego. Tobi, nieco już zdenerwowany, zapytał:

– *What about the gin tonic?* Co z ginem z tonikiem?

Wskazała na szklankę i wydukała:

– *Gin, tonic, whiskey, cola.*

Orzeszki, dla pewności, zamówiłam sama.

– *Could we have some nuts, please?* Możemy dostać trochę orzeszków?

Debilny uśmiech i zdziwienie:

– *Nuts?*

Wskazałam na sąsiedni stolik i dla jasności, najlepiej jaki umiałam, pokazałam, że coś jem. Znowu uśmiech, skinienie. Po chwili na blacie wylądowała... żółta serwetka. Potrząsnęłam głową i powtórzyłam z naciskiem:

– *Nuts!* – Wydałam przy tym z siebie odgłos przeżuwania.
Kolejne przytaknięcie i... czerwona serwetka na stole.
Poddałam się. Zamówiłam *maitai*⁹⁾.
9) Drink na bazie rumu z dodatkiem curaçao i limonki (przyp. tłum.).
Daleko im do międzynarodowego standardu.

Guiling odchodzi

*Tam gdzie zagości podejrzenie,
odchodzi spokój.*

Wracalam do Szanghaju, jak do siebie. Bylo to wspaniale uczucie. Guiling wysprzatała dom na blysk. Niestety, czekala na nas przykra nowina: *ayi* postanowila od nas odejsc.

O jej decyzji powiadomil mnie esemes przyslany z agencji zajmujacej sie pracami porzadkowymi: *Sorry, your ayi can't work for you any more. As she didn't inform you, you might deduct one week salary*". „Przepraszamy, twoja ciocia nie moze juz dla ciebie pracowac. Jesli cie o tym nie poinformowala, mozesz potracic jej miesieczne wynagrodzenie”.

Oburzona zadzwonilam do Guiling, ale nie odebrala telefonu. Uslyszalam tylko muzyke sygnalu oczekiwania – *Ode do radości*, hymn Unii Europejskiej. Pomyslalam, ze pewnie otrzymala lepsza oferte, z pensja wyzsza o dwadziescia euro.

W Szanghaju wszystko kręcilo sie wokół pieniedzy. Wystarczylo zapytac kogokolwiek, co sprawia, ze jest szczesliwy, a w odpowiedzi zawsze slyszalo sie jedno: „Bogactwo”. Kobiety zostawialy mezców dla zamożniejszych mezczyzn, a pracownicy z dnia na dzien porzucali firme dla lepiej platnej pracy.

Dlaczego tu mialoby byc inaczej?

Zebrałam kilka rzeczy, które Guiling u nas zostawila, między innymi stojace w pralni jej turkusowe klapki kapielowe oraz kubek z napisem „Philips”. A potem ze smutkiem spojrzalam na stuletnie jaja w lodowce, w rzeczywistosci zakopywane pod ziemie na sto dni, którymi nasza *ayi* „udoskonalala” swoje makarony instant. Przywyklam do tego, ze Guiling ciagle kręci sie po domu. Naprawde byla dla nas cioteczką, dobra duszą pomagajaca w potrzebie. Potrafila doprowadzic mnie do smiechu, kiedy zbieralo mi sie na placz.

Czulam sie jak porzucony kochanek i próbowalam pocieszyc Amélie. Robila sobie wyrzuty, bo kilka razy powiedzialam, ze Guiling znajdzie sobie inną rodzinę i sie wyprowadzi, jesli ona bedzie dla niej niemiła. Odejdzie, jak swinka morska w naszej ksiazce z obrazkami, której nigdy nie czyszczono klatki.

A teraz w Internecie na tych co zawsze forach dla cudzoziemców szukalam nowej *ayi*.

Oglaszaly sie tylko Filipinki – od kolejnego roku Chiny mialy zlikwidowac im wize pracownicze, a to oznaczalo, ze co trzy miesiace beda musialy poleciec do Manili, by znów przekroczyc granice. Nie, chcialam szanghajkę, a tak naprawde chcialam z powrotem swoja *ayi*!

Nastepnego dnia przyszedl maz Guiling, który pracowal jako kierowca, zeby zabrac jej rzeczy i reszte wynagrodzenia. Zagotowalam sie ze zlosci. Moglaby miec tyle odwagi, zeby osobiscie sie ze mną pozegnac. Mezczyzna wszystko mi wytumaczył: syn Guiling z pierwszego malzenstwa mial wypadek i ona musi go pielagnowac; syn mieszka dwie godziny od Szanghaju, a z pospiechu Guiling zapomniala zabrac swojego telefonu.

Maz Guiling patrzyl na mnie szczerymi oczami. Uwierzylam mu. Guiling nigdy by nas przeciez nie oklamala. To dobra kobieta! A poza tym opowiedziana historia byla tak absurdalna, ze nikt nie bylby jej w stanie wymyslisc.

Nie potracilam *ayi* zadnej tygodniowki, dolozylam nawet ekstra wynagrodzenie. Biedna Guiling. Co za cios od losu. Spakowalam do torby stuletnie jaja, kapie oraz kubek, a potem pozegnalam mezczyzne, zyczac jego zonie wszystkiego najlepszego.

Patrzylam na niego, kiedy szedl do bramy. Przed nią odwrócił się, pomachał mi i mrugnął

porozumiewawczo.

Dlaczego to zrobił? Co to miało oznaczać?

Uznałam, że stałam się zbyt podejrzliwa.

Chanel i gorzka prawda

*Kto szuka zemsty,
ten kopie dwa groby.*

Umówiłam się z mamą Chanel, chińskiej przyjaciółki Amélie, że dziewczynki spędzą razem trochę czasu. Amélie tak długo mnie o to męczyła, że w końcu spytałam, czy mała mogłaby przyjść się do nas pobawić. Kobieta, ubrana od stóp do głów w luksusowe ciuchy Prady, spojrzała na mnie z takim zdumieniem, jakbym zaproponowała podanie dzieciom haszyszu. Potem podrapała się trzycentymetrowymi błyszczącymi paznokciami w kolorze bzu w przedziałek na głowie, zadumała na chwilę i nieco zakłopotana zaproponowała spotkanie w kawiarni.

Przecież można razem zjeść ciastko, prawda?

Czyżbyśmy nosiły ubrania niewłaściwych marek? A może Amélie opowiedziała Chanel o karaluchach biegających w naszym domu? Może nie lubili Niemców? Co właściwie Chińczycy sobie o nas opowiadali?

Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań, ale zgodziłam się na spotkanie przy kawie następnego dnia.

Wieczorem, oglądając znany, okazały album *Shanghai Living* chińskiego fotografa Hu Yanga, który sfotografował ośmiuset Chińczyków w ich domach, dowiedziałam się, że salon jest dla Chińczyków miejscem bardzo prywatnym, czymś niemal świętym, do którego rzadko pozwalają wejść. Zaproszenie do domu obcych ludzi (do tego obcokrajowców) musiało zrobić na mamie Chanel takie wrażenie, jak sugestia, żebyśmy wykąpały się razem nago w łazience.

Następnego dnia spotkałyśmy się w Coffee Tree, typowej zachodniej kawiarni, do której oprócz cudzoziemców wpadali tylko Chińczycy, którzy chcieliby pochodzić z Zachodu albo byli ABC, czyli *American Born Chinese*, urodzeni w Ameryce. Uwielbiałam to miejsce, oazę spokoju. Kiedy potrzebowałam odpoczynku od Chin, zawsze tam zaglądałam. Można było usiąść na zewnątrz, na cichym dziedzińcu, między bukszpanami i instalacjami artystycznymi, a w pobliżu znajdowały się winiarnia, sklepik z ozdobami oraz francuska restauracja.

Lilly, mama Chanel, była tu po raz pierwszy. Amélie zamówiła wafle, Chanel lody. Zamiast je jeść, rozsmarowywała ich kawałki na stole, a potem maczała w tej brei spinki do włosów (każda ozdobiona Arielką) i nakręcaną mysz.

– Kochanie, czy chciałabyś zjeść coś innego? – zapytała ją łagodnie Lilly.

Nazywała córkę *honey*, *baby* lub *pussycat*.

Między Amélie a Chanel zabawa jakoś się nie kleiła. My uśmiechałyśmy się zmieszane – nasza rozmowa też kulała. Tym razem paznokcie Lilly były w połowie jasnoniebieskie, w połowie perłowe. Miała długie, nieco wycieniowane włosy, ładną, delikatną twarz, nieskazitelnie białą skórę i ważyła jakieś czterdzieści pięć kilogramów. Do spodni rurek założyła wysokie szpilki w panterkę z odkrytymi palcami. Wyglądała doskonale, jeśli lubi się szanghajski szyk. Im dłużej siedziałam z nią przy stoliku, tym bardziej czułam się w swojej bluzie i tenisówkach jak łajza.

Lilly nie była w Szanghaju wyjątkiem. Obojętnie, czy szłam na pocztę, czy na masaż stóp lub zapłacić rachunki w sklepie za rogiem, kobiety poniżej trzydziestego piątego roku życia miały perfekcyjnie wypielęgnowane paznokcie i szczuplutkie nogi, wszystkie nosiły też przyprawiające o zawrót głowy buty na niebotycznie wysokich obcasach. Chodziły w nich jak na

szczudłach, szeroko rozstawiając nogi albo łącząc kolana i nie prostując ich podczas kroków. Wyglądało to nieporadnie i boleśnie. Pewien Brytyjczyk, z którym o tym rozmawiałam, kiedy nasze dzieci bawiły się w piaskownicy, wyznał, że zawsze oszłamia go ta krucha bezradność na dwóch nogach.

W przedszkolu oprócz Lilly było kilka takich cudownych azjatyckich mam. Miały amerykańskich, niemieckich lub włoskich mężów i jeździły w większości samochodami marki Porsche Cayenne (oczywiście bez kierowców). Ostatnio, kiedy przemoczona do suchej nitki zsiadałam z roweru przed przedszkolem, obok mnie kołyszącym krokiem przeszła właśnie jedna z nich. Wyglądała jak Sue Ellen¹⁰), z włosami ułożonymi w fale w stylu lat siedemdziesiątych i okularami Ray Ban. Postanowiłam wówczas kupić sobie nowe ciuchy. Pojechałam do sklepu Hotwind, z zamiarem nabycia obcisłych jeansów.

10) Bohaterka serialu *Dallas*, opowiadającego o życiu wyższych sfer (przyp. tłum.).

W Niemczech wybierałam zawsze rozmiar trzydzieści sześć, tu jednak na spodniach nie mogłam znaleźć żadnej takiej informacji. Wzięłam więc najładniejsze i... moja noga utknęła w nogawce na wysokości kolan. Wysunęłam głowę z przebieralni. Zapytałam, czy mogę dostać coś większego. Sprzedawczyni spojrzała na spodnie, z których właśnie się wyłuskiwałam.

– *Biggest size we have*. Największy rozmiar, jaki mamy – odpowiedziała.

Tymczasem Lilly popijała zieloną herbatę, oczywiście nie tykając ciasta, i opowiadała o swoich studenckich latach w Australii. Większość zamożnych Chińczyków, dla których liczy się dobre wykształcenie, wysyłała swoje dzieci na kilka lat właśnie tam. Jeszcze lepiej, gdy młodzi płodzili na tym kontynencie dzieci, dostawali wtedy bowiem tak pożądanym australijski paszport. Lilly opowiadała mi o Sidney, gdzie poznała swojego chińskiego męża i urodziła dzieci, oraz o tym, że do Szanghaju wróciła z ich powodu. Mogła tu liczyć na pomoc babci.

Po dwudziestu minutach powiedziałyśmy sobie wszystko, co można powiedzieć w trakcie niezobowiązującej pogaduszki. Przyszło mi wówczas do głowy, by zapytać Lilly, czy nie zna jakiejś dobrej *ayi*. Wspomniałam też o Guiling, która tak nagle nas opuściła.

– Och tak, jej syn albo mąż lub matka mieli straszny wypadek – rzuciła Lilly ze zrozumieniem.

– Skąd wiesz? – zapytałam, szczerze zdziwiona.

Roześmiała się.

– Chyba nie uwierzyłaś w tę historię. To klasyczny wykręt wszystkich *ayi*, kiedy znajdują lepszą pracę.

Żeby poprawić sobie nastrój, w drodze powrotnej wykupiłam pół kwaciarni. Byłam wściekła! Rozczarowana! Chciałam zemsty! Cztery miesiące w Szanghaju, a ja wciąż byłam tak naiwna jak pierwszego dnia. Przypomniałam sobie, że Guiling trzy razy wspominała mi, iż rodzina, u której wcześniej pracowała, znowu przyjechała z Ameryki do Szanghaju. A ja trzy razy, jak idiotka, zapytałam ją, czy chce do nich wrócić. I zawsze słyszałam: *No, me very happy here, me very like you*. „Nie, ja tu bardzo szczęśliwa, ja bardzo ciebie lubię”. Powinnam była po prostu zapytać: *How much?* „Ile?”. Ale znowu grałam w grę, której reguł nie znałam. Jak mogłam ufać komukolwiek w tym goniącym za pieniędzmi mieście?

Miłe kwaciarki, jakby chciały mnie rozweselić, kunsztownie przywiązały kupione przeze mnie kwiaty do roweru. Moje dwa kółka przypominały objazdową kwaciarnię. Amélie przez całą drogę śpiewała, jak zawsze, gdy ja przełykałam łzy.

Jeszcze nie zdążyłyśmy wejść do domu, kiedy jedna z sąsiadek, ta, która codziennie na naszym kablu od prądu wieszala do wyschnięcia kolekcję biustonoszy i majtek, przysłała się pożegnać. Wyprowadzała się, samochód z meblami stał już na ulicy. Nieraz zastanawiałam się, ile biustonoszy dziennie nosi ta kobieta. A może prąta staniki wszystkim kobietom z sąsiedztwa?

Nigdy nie będę już tego wiedziała. Moja znajomość chińskiego wystarczyła tylko na krótkie: *Zaijian*, do widzenia!

Kobieta na pożegnanie wcisnęła mi do ręki karton obwiązany czerwonymi wstążkami. Z jej gestów wywnioskowałam, że w środku znajduje się coś do jedzenia. Zrewanżowałam się kilkoma gladiolami, które wyjęłam z wiązanki przyczepionej do siodełka roweru.

Pożegnanie bardzo zasmuciło Amélie. Lubiła tę sąsiadkę, dostawała od niej gotowane kolby kukurydzy i grała z nią w piłkę nożną. Spojrzałam na karton. Poruszał się, a ze środka dochodziły jakieś dźwięki! Uniosłam pokrywkę. Zobaczyłyśmy brązowego kurczaka. Żywego, gdczącego kurczaka. Na kolację.

Ponieważ po raz pierwszy drzwi sąsiedniego domu stały otworem, weszłam, żeby się rozejrzeć. Z zewnątrz budynek wyglądał tak samo jak nasz, w środku jednak... Na tej samej przestrzeni, którą my zajmowaliśmy we trójkę, mieszkało ośmiu lokatorów. Złościliśmy się z powodu przeciekającej toalety czy ruszających się drzwi od kabiny prysznicowej, tu zaś umywalka znajdowała się na klatce schodowej, a toalety w ogóle nie było. Czuć było wilgocia i pleśnią, okna były tak brudne, że nie przepuszczały światła, ściany nieotynkowane.

Nagle zrozumiałam, dlaczego wszyscy uważali nas za kosmitów. Kiedy sześć tygodni temu dostarczono nam kanapę, w naszym salonie pojawili się nagle wszyscy sąsiedzi. Dwanaścioro osób obracało się z otwartymi ustami wokół siebie i dziwiło na widok każdego krzesła, umywalki i ściany. Teraz pojęłam to zdziwienie.

Speszona wróciłam do naszego luksusowego domu. Nigdy więcej nie zamierzałam się już złościć z powodu chciwych *ayi* i innych problemów dotyczących w tym kraju długonosych. Kurczaka podarowałam przedstawicielce sąsiadów z naprzeciwka.

Przyjęła prezent z wdzięcznością i od razu naostrzyła nóż.

Święto Środka Jesieni

Jedzenie to niebiosa ludzi.

Kiedy Słońce znajduje się prostopadłe nad zwrotnikiem, Księżyc zaś jest tuż za Ziemią, pełnia wydaje się jeszcze bardziej pełna, a Księżyc jeszcze ogromniejszy. Tak mówił nasz nauczyciel chińskiego. Według legendy bogowie pozwalają wtedy Chang E, pani na Księżycu, zobaczyć swojego ukochanego męża – Hou Yi (od pani na Księżycu wzięła nazwę pierwsza chińska sonda kosmiczna, która do marca dwutysięcznego dziewiątego roku krążyła wokół tego ciała niebieskiego). Tej nocy powinno się kontemplować Księżyc gdzieś w naturze. Pomysł bardzo romantyczny, niestety w Szanghaju niełatwy do wykonania. Trudno tu nie tylko o przyrodę, ale nawet o skrawek dobrze widocznego nieba. Gęsty smog zalegający nad miastem pozwalał dostrzec jedynie kontury wielkiego Księżyca.

Podczas *Zhong Qiu Jie*, Święta Środka Jesieni, ci, co nie mogą podziwiać Księżyca w naturze, mogą, a nawet muszą, go zjeść. Chińczycy znani są z tego, że jedzą wszystko, co ma cztery nogi (z wyjątkiem stołu) lub dwa skrzydła (poza samolotem) albo pływa (a nie jest łodzią podwodną). Ropuchy, cykady, jedwabniki, koty, psy, szczury i węże uchodzą za przysmaki, chrupiące kurze łapki żuje się tu, jak na Zachodzie chrupie chipsy czy paluszki. Dlaczego więc nie zjeść kilku ciał niebieskich?

Do jednego z obowiązkowych elementów obchodów Święta Środka Jesieni należało obdarowywanie bliskich i znajomych specjalnymi ciasteczkami. Były wielkości dłoni i miały okrągły kształt, który symbolizował Księżyc w pełni. Ciastka sprzedawano w różnorodnych opakowaniach – od ładnych po tandetne, a potem rozwożono po mieście w błyszczących torbach. Od pana Zhang dla pana Li, od pani Wang dla pani Zhang. Dla firm i przedsiębiorstw księżycowe ciasteczka były ważnym elementem reklamowym. Posyłano je wybranym osobom, a im piekarnia i opakowanie były ekskluzywniejsze, tym bardziej można się było poczuć docenionym. Księżycowymi ciasteczkami wyrażano szacunek, a pośrednio sygnalizowano, że ma się nadzieję na mniejszą lub większą przysługę. We wrześniu chińscy urzędnicy ledwie mogli nadążyć z odbieraniem paczuszek.

Tobi też dostał księżycową przesyłkę. Cztery ciasteczka w szlachetnym ciemnoczerwonym drewnianym pudełku – agencja reklamowa, która dla niego pracowała, nie poskąpiła pieniędzy. Etykieta informowała, że prezent przygotowano w Hyatt Hotel – dziesięć na dziesięć możliwych punktów w rankingu ekskluzywności. Na bileciku przypomniano, że tradycja nakazuje zjeść ciasteczka wspólnie z rodziną lub przyjaciółmi. Wybrałam wypiek z czymś czarnym w środku, Tobi i Amélie – z żółtkiem, a potem z zapałem wgrzyźliśmy się w swoje księżyce.

Pierwsza zaczęła pluć Amélie, żółtą pastą na nową szarą kanapę. Nam nie poszło lepiej. Był to najokropniejszy wypiek, jaki kiedykolwiek jadłam. Na zewnątrz twardy, wewnątrz rozmokły i kleisty. Najpierw smakował nieznośnie słodko, a kiedy zdrętwiałym, posklejanym językiem docierało się do środka, smak zmieniał się na słony. Lista składników zawierała tłuszcz, cukier, pasztet z nasion lotosu, jaja i sól. W tej kolejności. Karteczka na odwrocie ciasteczka z żółtkiem zdradzała: „Okrągłe żółtko w środku jest symbolem Księżyca”. Zirytowana Amélie chciała wiedzieć, dlaczego Księżyc tak obrzydliwie smakuje. Nie wiedziałam, ale karteczka informowała dalej, że „słodkie i słone, miękkie i twarde, jasne i ciemne odpowiadają chińskiej filozofii jin-jang, która przez przeciwieństwa wyjaśnia całość”. Ta całość była zniewagą dla

zachodnich kubków smakowych.

– Nie tylko dla zachodnich – zaprotestował następnego dnia Fang. – Także dla chińskich. On sam chyba by wymiotował, gdyby to zjadł.

No ładnie, a ja zostawiłam mu wczoraj paczuszkę w samochodzie, aby okazać, że go cenimy.

Później pytałam wiele osób o księżycowe ciasteczka. Wszyscy ich nienawidzili i wszyscy się nimi obdarowywali. W tym szaleństwie była jednak metoda: po otrzymaniu paczuski niezwłocznie oddawano ją przełożonemu lub komuś innemu. Fang podarował nasze ciastka mamie, ona – swojemu leżącemu w łóżku teściowi, który podobno jej nie znosił. Zazwyczaj kończyły swój żywot w psich pyskach.

Wyspa hipisów, smoczy grzbiet i wzgórze hobbitów

*Kto nie wejdzie na wysoką górę,
nie będzie znał równiny.*

Moi rodzice na pożegnanie podarowali nam trochę wolnego czasu. Zaproponowali, że zaopiekują się Amélie przez kilka dni, a my mieliśmy wybrać się na samotne wakacje. Pojechaliśmy do Hongkongu. Uznaliśmy, że trochę cywilizacji dobrze nam zrobi.

Jak zawsze, kiedy wyjeżdżaliśmy sami, niemal zapomniałam, że mamy dziecko, czułam się jakbym dopiero co przekroczyła dwudziestkę. Byłam szczęśliwa. Obrzydliwie szczęśliwa. Siedzieliśmy z mokrymi i pokrytymi solą włosami w rybnej restauracji na plaży Lamma Island, pozbawionej samochodów hipisowskiej wyspie oddalanej dwadzieścia minut jazdy promem od centrum miasta. Wokół kłębili się brytyjscy i niemieccy outsiderzy w pumpach do kolan i z długimi brodami, a między nimi kilku turystów nieporadnie nakłuwało homary. Pojawił się kolorowy chiński papierowy smok, od morza wiało słone powietrze.

Tobi miał lekko spieczony nos, jak w każde wakacje. Rozmawiał przez telefon ze swoim chińskim współpracownikiem, a ja rozmyślałam, czy całe to zamieszanie, które oznacza życie tutaj, jest tym, czego szukaliśmy. Czy zrobiliśmy sobie o wiele za długie wakacje, pozwalając, żeby wszystko potoczyło się samo? Nikt nie podróżuje bez jakiegoś zamiaru. Tak, droga może być celem samym w sobie, ale dokąd prowadzi?

Tobi skończył rozmawiać przez telefon i zadowolony patrzył na morze.

– Jak myślisz – zapytałam – czy szczęście jest stanem, czy skutkiem czegoś?

– Jeżeli jest stanem, to od zaraz jestem wolny.

– Wolny od czego?

– Od owczego pędu.

– Nie chcesz lepszej pracy albo większego domu, albo superfelg fuchsa?

– Żadnych felg fuchsa.

– Zupełnie nic?

– Niech ci będzie: chcę świeżego powietrza. I pieniędzy na życie oczywiście.

Odprężeni wróciliśmy promem do centrum miasta. Wypiliśmy w jednej z kawiarni hongkońskiego Soho kolejną café latte. Przejrzałam amerykańskie „Vanity Fair”, a Tobi – brytyjskie wydanie magazynu „Wallpaper”.

– Hm – odezwał się w pewnej chwili – to głupie, ale jednak jest kilka rzeczy, które mogłyby mnie uczynić jeszcze szczęśliwszym.

Wróciliśmy do Szanghaju i od razu wybraliśmy się na następny urlop. Urlop przymusowy. Z okazji urodzin Chińskiej Republiki Ludowej pierwszy października był dniem wolnym od pracy. Prawie półtora miliarda Chińczyków zgodnie z dekretem nie szło wówczas do pracy. A Tobi razem z nimi. Przez ostatnie dwa lata nie mieliśmy tak dużo urlopów, co przez ostatnie cztery tygodnie. Bycie na wakacjach jest widać podstawowym elementem życia emigrantów.

Ponieważ na „złoty tydzień” miejsca wyjazdowe trzeba było rezerwować sześć miesięcy wcześniej, nie mieliśmy wielkiego wyboru. Została nam tylko wycieczka grupowa do Guilin na południu Chin.

Od kiedy Tobi przestawił się na zasadę „żadnych oczekiwań – żadnych rozczarowań”, zgadzał się na wszystko, nawet na zorganizowane wyjazdy. Sama obawiałam się najgorszego.

Kiedy nasz nauczyciel chińskiego usłyszał, że wybieramy się do Guilin, opowiedział nam chiński dowcip o tym mieście: „Wsiąść do autobusu – spać. Wsiąść z autobusu – sikać. Dotrzeć na miejsce – pstrykać fotki. Pojechać do domu – wszystko zapomnieć”.

Podróżowanie jest w Chinach dość nowym zjawiskiem, a przy tym ważnym symbolem statusu. Kto może sobie pozwolić na wyjazd, ma pieniądze. Dla Chińczyków urlop oznacza więc jedno – pospieszną, męczącą i niesamowicie drogą wycieczkę, a po powrocie wiele pamiątkowych zdjęć. Dotyczy to zarówno wieży Eiffla, jak i własnego kraju. Każdy Chińczyk aspirujący do klasy średniej musi przynajmniej raz w życiu zaliczyć kilkanaście krajowych atrakcji i legitymować się ich zdjęciami: Terakotowa Armia z Xi'an, rezerwat przyrody Jiuzhaigou w Syczuanie, Wyżyna Junnan i góry wapienne w Guilin. Większość Chińczyków poznaje te tereny na zorganizowanych wycieczkach objazdowych, będących mieszanką wycieczki klasowej i ćwiczeń wojskowych.

W dniu wyjazdu wstaliśmy o szóstej – w planach nie było przecież odpoczynku, a odhaczanie zabytków. Dostaliśmy kapelusze rozpoznawcze i przypinki, obie rzeczy wliczono w cenę. Na lotnisku nieoczekiwanie spotkała nas miła niespodzianka. W naszej wycieczce uczestniczyła rówieśniczka Amélie – Isabelle. Mała wyglądała na bardzo zasnęłą, podobnie jak jej tata, ale już po trzech minutach dziewczynki zostały najlepszymi przyjaciółkami. Urlop musiał być udany!

Pojechaliśmy autokarem do Longsheng. Po prawej i po lewej stronie ciągnęły się pola ryżowe i góry krasowe, niczym w dolinie Anduina we *Władcy Pierścieni*. Pierwszy raz od czterech miesięcy widziałam tyle zieleni, nic tylko zieleń. Mogłabym tak jechać wiecznie. Tobi spał, Amélie śpiewała z Isabelle. Zostaliśmy wysadzeni z autokaru na jakimś parkingu. Tysiąc małych schodków prowadziło na wzniesienie otoczone tarasami ryżowymi. Cud gospodarczy, który Chińczycy nazywają Tarasami Smoczego Grzbietu. Mieliśmy wdrapać się na samą górę, do wioski Ping'an, gdzie znajdował się nasz dom gościnny.

Na parkingu czekały już na nas garbate, chude, stare kobiety z olbrzymimi kokami na głowie i koszami na plecach gotowymi przyjąć nasze bagaże. Za dwa euro biegiem wniosły nasze dwie walizki na kółkach i wózek dziecięcy. Wszystko przebiegło tak szybko, że nie mieliśmy czasu, by zastanowić się nad moralnością takiego postępowania. Kierowca, przewidując nasze rozterki, uspokajająco powiedział:

– Kobiety w ten sposób zarabiają pieniądze.

Mężczyźni pracowali na polach ryżowych. Tobi czuł się marnie i patrzył przybity na chudą, pomarszczoną osobkę, która bez trudu gnała na górę z naszym dwudziestokilogramowym bagażem. Amélie podskakiwała i wraz z Isabelle schodek po schodku zdobywała wysokość. Przy trasie naszego przejścia kobiety z grupy etnicznej Yao sprzedawały bransoletki przyjaźni. Staruszki wyglądały niezwykle – swoje długie, ponadpółtorametrowej długości włosy, owijały wokół głowy, utrzymując je w równowadze i odpowiedniej pozycji dzięki specjalnej technice splatania. Zapewniło im to nawet wpis do *Księgi Guinnessa*. Kobietom z tego plemienia wolno było ścinać włosy tylko dwa razy w życiu: w wieku osiemnastu lat i w dzień ślubu, oba te wydarzenia następowały zazwyczaj tuż po sobie. Wszędzie pachniało palonym drewnem i przypalonym ryżem, który miejscowi piekli pomiędzy bambusami. W głowie zakręciło mi się od czystego, zimnego górskiego powietrza. Poczułam się jak Heidi, która po czterech miesiącach życia w mieście wróciła w swoje Alpy. Dom gościnny oferował proste, trzeszczące łóżka, frytki, piwo i fasolę na ostro. Zasnęliśmy spokojni i szczęśliwi.

Następnego dnia schodziliśmy drogą przez pola. Widzieliśmy, jak zabijano krowę, co okazało się mniej krwawe i obrzydliwe niż myślałam. Być może po prostu się zahartowałam po wielu rozplątanych kurczakach na lince do suszenia prania. Amélie niemal nie dała się oderwać

od martwej krowy, chciała wszystko dokładnie zobaczyć – gdzie są jelita, dlaczego głowa tak krzywo dynda i tak dalej. Pewna miejscowa kobieta zaoferowała nam domowy obiad, *niu rou*, świeżą wołowinę. Podziękowaliśmy.

Przedarliśmy się przez miejscowość turystyczną w dolinie, do autokaru. Trasa wycieczki wiodła do Guilin i następnego wpisu do *Księgi Guinnessa* – „największego sztucznego wodospadu świata”. Kaskada znajdowała się na tyłach naszego hotelu i nie była niczym innym jak gigantycznym spryskiwaczem do szyb z głośną muzyką i świetlnym spektaklem. Wcześniej jeszcze widzieliśmy „zapierający dech w piersiach show sióstr Liu”. Choreografia była dziełem uznawanego za gwiazdę chińskiego reżysera Zhang Yimou, który wymyślił też scenierię olimpijskiej ceremonii otwarcia. Tu także w roli głównej występowały tłumy. Sześciuset „aktorów” przesuwano się po jeziorze, którego otoczenie stanowiły kolorowo oświetlone góry. Cztery tysiące widzów zostało odprawionych z kwitkiem – mogli spróbować szczęścia wieczorem, w „złotym tygodniu” spektakl grany był dwa razy dziennie. Każdego dnia oglądało go osiem tysięcy ludzi. Aktorzy tworzyli na scenie fale, rzędy, łańcuchy... Punktem kulminacyjnym show był gigantyczny migający, pływający po jeziorze świetlny łańcuch, taki, jaki widzi się na Boże Narodzenie w tureckich oknach. Tyle że każde światło miało tu nogi i ręce, oddychało i dawało się włączyć oraz wyłączyć. Ciarki przechodziły po plecach.

Przypomniał mi się wywiad z Zhangiem, który czytałam niedługo po zakończeniu igrzysk. Zachwycił się w nim plastycznością chińskich mas, które podczas otwarcia udawały srebrne znaczki maszyny do pisania, „podnosząc się i opadając” niczym podczas pisania. „Słuchają rozkazów, jak komputer” – mówił z dumą Zhang. „To jest właśnie chiński duch, o którym na Zachodzie można tylko marzyć” – dodał. Chodziło mu o podejrzane prawa człowieka.

Potem popłynęliśmy statkiem do Yangshuo. Jedliśmy zupę z ropuch i słodzone kasztany, podziwialiśmy góry i bawoły płynące rzeką, minęliśmy też z pięćset innych turystycznych łodzi. W Yangshuo, które okazało się niewielkim miasteczkiem położonym w bajkowej scenerii, dostaliśmy rozklekotane rowery i przemierzyliśmy okoliczne tereny. Spotkaliśmy tylko kilku chłopów oraz stadko bawołów, poza tym panowała cisza i spokój, zielone łąki i świeże powietrze. Na koniec spłynęliśmy tratwą po pobliskiej rzece Li. Okazała się tak czysta, że mogliśmy się w niej nawet wykąpać, nie dostając przy tym wysypki.

Nie myślałam, że ten kraj może być tak wspaniały.

To piękno pogodziło mnie z nadchodzącym półtorarocznym okresem.

PAŹDZIERNIK

Happy Birthday!

Toczący się kamień nie pokrywa się mchem.

Była dziesiąta rano, a ja miałam urodziny. W środku Chin. I nikt nie dzwonił. Wystarczyło wyjechać na drugi koniec świata, by natychmiast o mnie zapomnieli. Wiedziałam, że w Niemczech była akurat trzecia nad ranem, kto więc miałby dzwonić o tej porze?

Nie chodziło jednak o logikę. Byłam przybita. Znajomym z Szanghaju nie powiedziałam o swoich urodzinach. Nie chciałam prezentów dawanych w zakłopotaniu i życzeń szczęścia od osób, których nie można nazwać przyjaciółmi. Chciałam... Ach, pragnęłam babskiego, przegadanego wieczoru, podczas którego boli brzuch od śmiechu, rowerowej przejażdżki trasą Alsterlauf, wzdłuż Mellingburger Schleuse, odpoczynku na łące... Właśnie tego pragnęłam. Przede wszystkim zaś nie chciałam wstawać. Czułam się marnie. Znowu starsza o rok.

Od kiedy przyjechaliśmy do Chin, kolorowa kula życia toczyła się z górki jeszcze szybciej niż zazwyczaj. Czułam się tak, jakbym miała co najmniej dwadzieścia lat więcej niż przed naszym wyjazdem.

Amélie wbiegła do sypialni w podskokach, wołając:

– Musisz zejść na dół!

Idąc do salonu, potknęłam się o balony. Na stole stało słynne czekoladowe ciasto Tobiego i trzydzieści pięć świeczek. Poprzedniego dnia od dziewiątej rano do piątej po południu Tobi przemierzał Szanghaj, żeby zdobyć składniki potrzebne do wypieku tego cudu (trzy różne ciasta w proszku pomieszane ze sobą według tajemnej receptury).

Nie wiem, jak mój mąż to zrobił, ale ciasto smakowało jak co roku. Po trzech zjedzonych kawałkach musiałam się położyć. Leżałam między balonami, z bułeczkami z niemieckiej piekarni dostarczającej produkty do domu, serem oraz kubkiem kawy z mlekiem na tacy, otoczona prezentami i... byłam wzruszona. Tobi i Amélie śpiewali *Happy Birthday*, a ja miałam mokre oczy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że życie w obcym kraju może tak łączyć. Tylu rzeczy się bałam. Ostrzegano mnie, że w Chinach mężczyźni najpóźniej po trzech miesiącach biorą sobie kochankę lub zaczynają pić, że kobiety zaliczają kolejny wiek dojrzewania albo pierwszą psychoterapię, dzieci natomiast zadowolają się gosposiami w zastępstwie matek.

Na szczęście nasza rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej: żadne z nas nie mogłoby przeżyć w Szanghaju bez drugiego. Potrzebowaliśmy się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. I było to wspaniałe uczucie.

Nie kłóciliśmy się już z powodu drobnostek. Po pierwsze, brakowało nam siły, a po drugie, żyjąc tu, zrozumieliśmy, jak nieważne są niezakrecone tubki z pastą do zębów czy tępe golarki, których używałam do golenia nóg. Mieliśmy mnóstwo ważniejszych spraw na głowie.

Tobi podarował mi na urodziny zabieg pielęgnacji twarzy wraz z masażem ciała w małym, eleganckim spa. „Żeby zmarszczka, która powstała od zmartwień zniknęła” – jak to ujął. Kobieta, która zawinęła mnie w ręczniki i zbadła moją skórę, krzyknęła najpierw: „Oooooooh” i „Aaaach”, a potem przestraszona, zasłaniając dłonią usta, wykrztusiła coś w rodzaju: *Very, very dry and damaged skin*, „Bardzo, bardzo sucha i zniszczona skóra”, i dodała: *Well, your feet need foot spa treatment*, „Twoje stopy potrzebują specjalnej pielęgnacji”. Pozwoliłam, żeby zrobiła ze mną wszystko, najwidoczniej byłam poważnym przypadkiem. Kiedy dwie i pół godziny później Tobi i Amélie odebrali mnie ze spa, zmarszczka

rzeczywiście zniknęła. Usłyszałam, że promienieją „jak kiedyś”. No proszę, to takie proste. Wystarczy zadbać o pielęgnację twarzy.

Po południu zadzwoniło kilku moich wiernych przyjaciół, wieczorem zaś wyszliśmy we dwójkę na kolację. Tobi zatrudnił Fanga do pilnowania Amélie, wciąż bowiem nie mieliśmy nowej *ayi*. Fang był cały w nerwach – nie miał żadnego doświadczenia z dziećmi. Chciał dokładnie wiedzieć, co ma zrobić, gdy Amélie się obudzi. Kiedy wróciliśmy do domu około północy, spał, chrapiąc, na kanapie. We włosach miał różowe spinki w kształcie serca. Amélie spała na nim. Od razu zwierzyła okazję. Jak nam powiedział później Fang, podczas „robienia fryzury” zażądała mleka, ciasta i czekolady, a potem pomocy przy sikaniu. W końcu oboje zasnęli z wyczerpania.

Przyjaciółka! Moja przyjaciółka!

*Spotkanie na obczyźnie przyjaciela jest
jak orzeźwiający deszcz po długiej suszy.*

Rozległ się dzwonek do drzwi, a my – Amélie i ja – na wyścigi zbiegłyśmy na dół. Wygrałam! Dopadłam drzwi pierwsza. Za nimi stała ona – Stefanie. Moja przyjaciółka! Prosto z Niemiec. Wypoczęta, jakby nie odbyła piętnastogodzinnego lotu z krzyczącym niemowlakiem na rękach.

Gapiłam się na nią i coś mi się nie zgadzało. Stefanie oznaczała dla mnie Hamburg. A teraz stała przed zapleśniałą ścianą naszych sąsiadów, pod mokrymi prześcieradłami i majtkami, z kapiącą klimatyzacją nad głową... Otulały ją obłoki smrodu wydobywające się ze studzienki ściekowej (nasze gnojowisko było pełne). Trochę to potrwało zanim połączyłam plan pierwszy z tłem.

Objęłyśmy się. Stefanie zaczęła płakać przede mną, przytłoczona jazdą z lotniska do naszego domu, obrzydliwymi wieżowcami na trasie, przypominającymi niemieckie budownictwo socjalne z lat siedemdziesiątych, betonową pustynią, kurzem, smrodem i zespołem nagłej zmiany strefy czasowej.

W jej oczach wyczytałam pytanie: Co ty robisz w tym miejscu? Ryczałam razem z nią.

Łzy w Szanghaju płynęły szczególnie łatwo, nieustannie zdarzało się coś, co wzbudzało mnóstwo emocji. A teraz – przyjaciółka! Moja przyjaciółka!

Niemal wyrzuciłam z pamięci, jak to jest spędzać czas z prawdziwą przyjaciółką.

Stefanie musiała się przespać. Oczywiście, właśnie wtedy robotnicy z naprzeciwwka wypakowali młot pneumatyczny i zaczęli nim rytmicznie tłuc. Trwało to bite trzy godziny, ale Stefanie spała mimo to. Po południu pojechaliśmy na targ weselny przy People Square. Chciałam pokazać jej wszystkie osobliwości miasta. Należała do nich także jazda taksówką, pękając więc z dumy, że świetnie sobie z tym radzę, zatrzymałam odpowiednie auto.

W Szanghaju podstawowa opłata za jazdę taksówką wynosiła jedenaście juań (nieco ponad euro). Jakość obsługi – sposób jazdy, zapach kierowcy, jego znajomość miasta, ryzyko zostania oszukany, częstość opróżniania popielniczek, a nawet ilość miejsca na stopy – wyczytywało się z koloru samochodu. Godne zaufania były jasnozielone i jasnoniebieskie taksówki, ciemnoczerwonych należało unikać. Dla obcokrajowca procedura wsiadania do taksówki okazywała się zawsze taka sama.

Zaczynał pasażer: *Ni hao.*

Kierowca: *Ni hao.*

Pasażer: *Jianguo Xilu, Jianshan Lu.* (Należy zawsze podawać najbliższe położone skrzyżowanie, inaczej zostanie się wyrzuconym z auta).

Kierowca milczał. Zły znak.

Pasażer powtarzał: *Jianguo Xilu, Jianshan Lu.*

Kierowca, wrzeszcząc: *Shenme luuuuuuuua?!*

Pasażer znów: *Jianguo Xilu, Jianshan Lu.*

Kierowca: *Tscnnguoxiluuuuuuuatschnnnshanluuuuuuuua?!*

Pasażer, niepewnie, w dobrej wierze: *Dui. Zgoda.*

Wtedy kierowca składał swój taksometr, rozległa się ogłuszająca melodia po chińsku i angielsku (*Hello, welcome to my taxi*, „Cześć, witaj w mojej taksówce”) i zaczynała się jazda.

Czy trafiło się na dobrego, czy marnego kierowcę, poznawało się po tym, ile razy zapadał on w drzemkę na światłach i ile dodatkowych czynności wykonywał podczas kursu (jedzenie, rozmowy telefoniczne, palenie, golenie, czesanie).

Jadąc na People Square, wszystko przebiegło książkowo. Złapałam jasnozieloną taksówkę z kierowcą noszącym rękawiczki. Grzecznie zapytał nas, skąd jesteśmy. Kiedy usłyszał, że z *Deguo*, Niemiec, poklepał przyjaźnie kierownicę i ryknął w naszą stronę: *Kaaaaahn, Schuuuumakke11*).

11) Chodzi o sportowców niemieckich: piłkarza Olivera Kahna i Michaela Schumachera (przyp. tłum.).

Gorzej poszło mi w drodze powrotnej. Zdarzyło się to, co zwykle się zdarza, kiedy chce się komuś zaimponować. Po pierwsze: zgubiłam drogę, po drugie – nie udało mi się złapać taksówki. Nawet czerwonej. Stałyśmy przy Yan An Highway i daremnie machałyśmy na auta. Wysadziłabym tę ośmiopasmówkę w powietrze, gdybym tylko wiedziała, gdzie można w Szanghaju dostać materiały wybuchowe. Stałam przed tą zafajdaną ulicą już wiele razy, nie wiedząc, co robić. Ani nad nią, ani pod nią nie wykonano żadnego przejścia na drugą stronę, choć przebiegała prawie dokładnie przez środek miasta.

Tym razem musiałyśmy skorzystać z metra. W Szanghaju to nie problem: pociągi były czyste, tablice dwujęzyczne, a system dość przejrzysty. Sytuacja zmieniała się w godzinach szczytu, a te właśnie nadciągnęły. W dodatku było z nami trzyletnie dziecko, które nie lubiło chodzić. Z jakimiś siedemnastoma kilogramami na ramieniu, które nosiłyśmy na zmianę, wcisnęłyśmy się w zatłoczony, długi tunel metra i zupełnie przypadkowo po jakimś czasie wylądowałyśmy na dobrej stacji.

Kiedy znalazłyśmy się znów na ulicy, zatrzymałyśmy się w winiarni. Zamówiłyśmy dla Amélie kolację, a dla siebie po lampce wina. Potem wysłałam Fangowi nieśmiałego esemesa: *Could you pick us up, please?* „Mógłbyś nas podrzucić?”.

Hui Xin i odkrycie powolności

*Nie bój się iść powoli,
bój się tylko stanąć w miejscu.*

Mieliśmy nową ciocię. Hui Xin. W ubiegłym tygodniu przyszedł do nas Mr. Hu, właściciel agencji *ayi*, z trzema nowymi kandydatkami. Dwóm najchętniej odmówiłabym wejścia do domu – to, co miały na głowie, przypominało tłuste gniazdo pełne robactwa. Trzecia wyglądała na najwyżej siedemnaście lat i przez całą drogę płakała z powodu bólu zęba. Brakowało jej już trzech w uzębieniu, ten po wyrwaniu byłby czwarty.

Dla przyzwoitości porozmawiałam z każdą kandydatką dwie minuty, przy czym żadna z nas nie rozumiała ani słowa z tego, co usłyszała. Potem wyjaśniłam Mr. Hu, że musi zrobić nową rekrutację. Poprosiłam o *ayi* ze znajomością angielskiego, pełnoletnią i – naprawdę bardzo, bardzo proszę – z umyętymi włosami.

Tak oto zjawiała się u nas Hui Xin. Miała czterdzieści dwa lata i krótko ścięte włosy. Była bardzo ładna. Nosiła zawsze świeżo wyprasowane jasnoniebieskie koszule, przyjeżdżała na rowerze elektrycznym, zachowywała się uprzejmie i nawet mówiła trochę po angielsku. Jeżeli oczywiście raczyła się odezwać. Czyniła to sporadycznie, tylko wtedy, kiedy naprawdę musiała, a wypowiadała jedynie te słowa, które uznała za godne artykulacji. Zazwyczaj tylko z uśmiechem przytakiwała. Kiedy na nią patrzyłam, ogarniał mnie spokój i dobry nastrój, jakbym przebywała nad Morzem Śródziemnym.

Niestety, mój dobry nastrój szybko minął. Od czasu przyjścia Hui Xin przynajmniej raz dziennie potykaliśmy się, schodząc ze schodów. A to na pozostawionej tam przez nią butelce środka do czyszczenia szyb, a to na walających się szmatach albo na skarpetkach, kunsztownie poskładanych i zostawionych na przejściu.

Składanie skarpet zajmowało naszej *ayi* szczególnie dużo czasu – potrzebowała około dwudziestu minut, by złożyć jedną parę. Wydawało się, że stosuje do tego specjalną technikę origami. Potem skarpety trafiały do szuflady z paskami albo z bielizną, ale nigdy tam, gdzie było ich miejsce.

Od nastania rządów Hui Xin Tobi nie mógł znaleźć swoich ukochanych podkoszulek, na półce w jego szafie pyszniły się natomiast różowe bluzy w rozmiarze sto cztery.

Jeszcze gorzej było, kiedy Hui Xin zabierała się za gotowanie. Amélie potykała się o elektryczną maszynkę do przygotowywania ryżu, którą *ayi* ustawiła – dlaczegoż by nie? – na podłodze na środku salonu, fasolkę zaś, którą dostaliśmy do kurczaka z orzeszkami ziemnymi, Hui Xin cięła dwie godziny, tyle samo zajęło jej przygotowanie mięsa. Do tego zakupy – kolejne dwie godziny, opróżnienie zmywarki – godzina, i... ojej, dzień pracy się skończył!

Postanowiłam ustalić z Hui Xin plan pracy. Poniedziałek: odkurzanie, mycie podłogi, ścielenie łóżek.

Spojrzała na mnie i powiedziała w zwolnionym tempie:

– *Ooooooh, monday very busy, poniedziałek bardzo zajęty.*

Wkrótce zaczęła doprowadzać mnie do szału. To nie działało. Musiała odejść.

Nie będziemy mieli już żadnej *ayi*.

Kiedy przyleciała do mnie w odwiedziny Steffi, zamiast włączyć się z nią po szanghajskich barach, rozpaczliwie szukałam opiekunki do dziecka. Tobi wciąż miał jakieś spotkania z szefami z Singapuru, Londynu i Manili, musiał robić wesołe prezentacje w Power

Poincie, do tego dochodziły kolacje biznesowe, cały ten program, podczas którego Fang obwoził go po okolicy i nie mógł pilnować Amélie.

Miałam gościa, a tu nic się nie układało. Trzeba było przesunąć zwiedzanie miasta i poznawanie jego atrakcji na dzień. Jazda na rowerze po dzielnicy francuskiej, oblatywanie galerii, w których studenci sztuk pięknych wystawiali świetne kopie dzieł chińskich artystów współczesnych, dobrotliwe masaż ciała, z góry na dół i z powrotem, picie kawy Intelligentsia (specjalność pewnej kawiarni w Cool Docks nad Huangpu) i daremne czekanie, by przyniosło to obiecywany w nazwie skutek...

Lancz postanowiłyśmy zjeść w Vienna Café, żeby spróbować tamtejszego *Kaiserschmarren*¹²⁾. Nie udało się – złożyłyśmy zamówienie u chińskiej kelnerki odzianej w koszulkę z napisem *Wiener Mädel*, „Wiedeńska dziewczyna”, a potem spędziłyśmy półtorej godziny przy pustym stoliku.

12) Wiedeński specjał: omlet z rodzynkami podawany w kawałkach, posypany cukrem (przyp. tłum.).

Po trzech nieudanych próbach przypomnienia o sobie i jednym niebezpiecznym rozprzestrzenianiu się dymu w lokalu kelnerka oznajmiła nam, że kucharz jest chory.

Odwiedziłyśmy więc Yu-Garden, zabytkowy ogród w starej części Szanghaju, gdzie w herbaciarni Huxinting uczestniczyłyśmy w ceremonii parzenia herbaty. Patrzyłyśmy, jak pączki jaśminu i innych roślin, które ponoć chronią przed bezsennością, bezpłodnością i elektrosmogiem, rozwijają się w wodzie.

Potem wlałyśmy w siebie po dwa litry płynu, próbując oszukać głód. Toalety, na szczęście, były blisko, tak że mogłyśmy na zmianę wlewać i wylewać herbatę.

Nadszedł czas odbioru Amélie z przedszkola, a Steffi chciała jeszcze pojechać na ulicę Nanjing, by zrobić zakupy. Postanowiłyśmy, że ruszy w miasto sama.

Kiedy odchodziłam, obejrzałam się. Spokojnie uśmiechnięta siedziała na kamieniu, patrząc na staw ze złotymi rybkami.

Martwiłam się jednak, że zostawiam ją samą, zawróciłam więc i wcisnęłam jej do ręki przewodnik, plan miasta, numer chińskiej gorącej linii telefonicznej i wizytówkę z naszym adresem zapisanym po ichniejszemu. Miałam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Kiedy o siódmej Stefanie nie wróciła do domu, zaczęłam się niepokoić. Piętnaście minut później stała przed naszymi drzwiami wyczerpana, ale szczęśliwa, ze świeżo wymasowanymi stopami i obwieszona torbami. Mogłam przestać się martwić.

Tuż przed odlotem Stefanie, ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że nie odczuwałam pokusy, by wsiąść z nią do samolotu i wrócić do Niemiec. Wolałam zostać w Szanghaju. Po pięciu miesiącach zaczynałam czuć się w tym mieście jak w domu. Ale wyjazd Steffi miał też złą stronę – po nim jeszcze bardziej tęskniłam za swoimi przyjaciółmi.

Skakanie w worku i polo

*Z przyjemności powstają próżniacy,
z trudnych sytuacji bohaterowie.*

Isabelle, przyjaciółka Amélie, miała urodziny. Zostałyśmy zaproszone na drugą stronę miasta do Pudongu. Były własnoręcznie pieczone wafle, smakowite grillowane kiełbaski, skakanie w workach, łapanie balonów... Mówiąc krótko: mnóstwo zabawy.

Spędziłyśmy uroczę popołudnie, po pierwsze dlatego, że grillowanie na ogrodzonym osiedlu emigrantów wprawiło wszystkich w dobry nastrój z cyklu „Jaki piękny jest świat”, a po drugie miałyśmy okazję poczuć się jak na prawdziwej dziecięcej zabawie.

Zazwyczaj zestresowane matki emigrantki nie organizują dzieciom przyjęcia w domu, ale rezerwują dla nich stół w restauracji lub zatrudniają firmę cateringową, która wszystko przygotowuje. Dziewczynki często zaprasza się do studia paznokci czy salonu piękności dla dzieci (*Have a Diva Birthday Party!*), angażując dodatkowo tłum *ayi*, by zajęły się małymi gośćmi. Matki w tym czasie mogą w spokoju napić się kawy albo, jeśli chcą, też zadbać o urodę. U Isabelle natomiast była zwyczajna, prawdziwa zabawa.

Następnego dnia, choć była to niedziela, w przedszkolu odbywało się przyjęcie z okazji Halloween. Jak się obawiałam, po urodzinowych hulankach ani ja, ani Amélie nie byłyśmy w formie. O dziewiątej rano stałyśmy w deszczu na przedszkolnym placu zabaw – skacowana czarownica i wykończona pszczołka – i nie bardzo miałyśmy siłę na zabawę. Tego ranka nawet nie musiałam malować ust szminką na wiedźmowaty kolor.

Pszczołka Amélie po krótkim zastoju wznowiła swoje wesołe brzęczenie, ja natomiast próbowałam prowadzić uprzejme rozmowy o niczym. Zostałam napadnięta przez trzech Spidermanów oraz jednego Batmana, a w przerwach przez trzy godziny huśtałam różne dzieciaki, dzięki czemu właściwie nie musiałam się odzywać. Dopóki bujałam, dzieci były litościwe dla wymęczonej czarownicy.

Około południa wróciłyśmy do domu. Tobi zdążył do tej pory nie tylko wziąć prysznic, ale też ugotować makaron z sosem Barilla. Wyglądał wyraźnie lepiej od nas. Nie zostało nam wiele czasu do kolejnej wizyty. Czekala nas jazda na wieś. Waltonowie, nasi angielscy przyjaciele, kilka tygodni temu zaprosili nas do siebie na turniej polo. Uznaliśmy ten pomysł za zabawny, nigdy wcześniej bowiem nie uczestniczyliśmy w czymś takim.

Teraz jednak lało jak z cebra, a nas czekała co najmniej dwugodzinna jazda samochodem. Absolutnie nie mieliśmy ochoty ruszać się z domu, ale tak często odmawialiśmy Waltonom z powodu braku opiekunki do dziecka, że było nam głupio wymówić się i tym razem. Kto ma tylko dwoje przyjaciół, nie może sobie pozwolić na zrażenie ich do siebie. A więc trzeba było ruszyć w drogę.

Fang wiózł nas po nowiusieńkich, upiornie pustych szosach z nowoczesnymi punktami pobierania opłat, które najwyraźniej czekały na miliony samochodów. Mieli je sobie kupić ludzie z prowincji. Co roku rejestrowano w Chinach ponad trzydzieści milionów pojazdów, ale też gospodarka dwucyfrowo zwiększała stopę wzrostu. Widocznie wierzono, że będzie to trwało wiecznie. Przynajmniej w budownictwie. Kiedy jechaliśmy, towarzyszył nam widok opustoszałych szeregowców zbudowanych pośrodku pól.

Klub polo, do którego zmierzaliśmy, znajdował się nad morzem. W jego okolicy woda przypominała ciemnobrązową zupę. Fabryki, a prawie wszystkie zostały wzniesione na

nadbrzeżu, wypuszczały swoje ścieki bezpośrednio do oceanu. Na teren klubu wiodły barokowe złote drzwi przywodzące na myśl Wersal. Kierunek wskazywały tablice z napisem „Cartier Cup”. Na wewnętrznym parkingu pysznił się rolls-royce cabrio. Fang zaparkował naszą białą kolubrynę tuż obok niego.

Ekstazę Tobiego, który biegał jak zahipnotyzowany wokół rolls-royce’a, mamrocąc coś o phantom drophead coupé¹³) i pół milionie euro, przerwał Dawid. Pomachał do nas spod olbrzymiego parasola i zaprosił gestami do namiotu dla VIP-ów. Zgromadzeni ludzie wyglądali, co zabawne, jakby nigdy nie opuścili hamburskich dzielnic nad Elbą. Królowały pikowane kurtki, marynarki z aksamitu i kordu, złote guziki, żelowane włosy i sygnety na palcach. Między gośćmi a barem z szampanem (tak naprawdę ze słodkim prosecco) kursowało chwiejnym krokiem kilka egzaltowanych Chinek w butach od Fendiego na absurdalnie masywnych obcasach.

13) Luksusowy rolls-royce (przyp. tłum.).

David cierpliwie wyjaśniał mi zasady gry. Kiedy je w końcu zrozumiałam, było po turnieju. Na szczęście przestało padać, mogliśmy więc razem ze zgromadzonym tłumem wylec na trawiaste boisko. Widok musiał być przedni, kiedy panie w butach na wysokich obcasach grzęzły w błocie i dziurawiły trawę. Trawnik został dokładnie przeorany, monety, dzięki której można było wygrać weekend w hotelu Marriott, wprawdzie nie znaleźliśmy, ale zażyliśmy trochę ruchu, a to też ważne. Potem znów wsiedliśmy do samochodu. Po dwóch godzinach jazdy dotarliśmy do Szanghaju, a po kolejnych dwóch przedzierania się przez uliczny korek – do domu. Maraton towarzyski był za nami.

Wieczorem w łóżku postanowiliśmy nie umawiać się już do końca roku.

LISTOPAD

Mała Chen i jesień

Cykada zrzuca swoją połyskliwie złotą powłokę.

Xiao Chen można przetłumaczyć jako „mała / młoda Chen”, co trochę nie pasuje do pięćdziesięcioletniej kobiety, a tyle właśnie lat ma nasza nowa *ayi*. Uprawia jogę i jest świetnie rozciągnięta, poza tym jeździ na błyskawicznym elektrycznym rowerze w popelinowym spodniem i nadzwyczaj dobrze mówi po angielsku.

Podczas rozmowy kwalifikacyjnej oznajmiła, że jest *excellent cook and very quick, very good in cleaning*, świetną kucharką i bardzo szybko i bardzo dobrze sprząta, i pokazała mi list polecający od amerykańskiej rodziny, w którym chwalała ją pod niebiosa. W dodatku jej włosy były czyste, no i miała sprecyzowane wyobrażenie o zarobkach. Dogadałyśmy się. Ale choć jest u nas od tygodnia, wciąż nie odbieram jej jako sympatycznej.

Pierwszego dnia wprowadziła swój rower do salonu, a potem do łazienki i tam po prostu go postawiła. Potem zrobiła listę, co trzeba jej kupić – szampon, mydło, ręczniki, oznajmiając, że po pracy będzie brać prysznic. Poza tym miała zamiar codziennie ładować u nas elektryczny silnik od roweru, prąd przecież kosztuje, a dojechać trzeba.

Najgorsze, że Xiao Chen rzeczywiście fantastycznie gotuje, a nasz dom lśni czystością. Postanowiłam wyrzucić jej rower, ją jednak zatrzymać, przynajmniej na jesień. No i się nie przywiązywać. Żeby potem nie bolało, kiedy odejdzie, dostawszy lepszą ofertę.

Niezależnie od tego jesień w Szanghaju nastroiła mnie łagodnie. Była naprawdę piękna. Na każdym rogu jak grzyby po deszczu wyrastały przenośne grille, na których bezzębni handlarze smażyli wszystko, co wpadło im w ręce – kasztany, słodkie ziemniaki, kukurydzą, orzeszki ziemne, migdały i inne trudne do określenia pestki.

Kiedy rano odprowadzałam Amélie do przedszkola, mijaliśmy około dwudziestu takich handlarzy, a z każdego grilla atakował nozdrza inny zapach. Czasem niewiele było widać, jesienią nad miastem zalegała szczególnie gęsta mgła.

Okoliczne parki zalewały tłumy. Emerycy trenowali forhend na samodzielnie zrobionych urządzeniach do tenisa (długa gumowa taśma, którą z jednej strony obciążano kamieniem, a z drugiej doczepiano piłeczkę) albo przetaczali żelaznym prętem wielkie druciane koła przypominające hula-hoop lub pelzali w zwolnionym tempie po ziemi, wykonując jakieś ćwiczenie tai-chi. Inni uczyli się tańców towarzyskich, malowali kunsztowne stare chińskie znaki na kostce brukowej albo śpiewali utwory operowe czy wyginali się na ogólnie dostępnych sprzętach.

Popołudniami także Amélie ganiała z dziećmi z przedszkola przez parkowe rabatki. Bywało, że maluchy obsiadały sprzęty do ćwiczeń. Zazwyczaj nikomu to nie przeszkadzało, choć czasami ochrona parku upominała rodziców, że tak nie wolno.

Niekiedy zdarzały się spotkania z piłką od tenisa, jeśli któreś z dzieci podeszło za blisko gumowej taśmy i trenującego emeryta.

Najpiękniej było w parku Zhongshan, i to wczesnym rankiem. Kto zwalczył wewnętrzne lenia i o wpół do szóstej dowlókl się do największego zielonego kompleksu na północnym zachodzie miasta, był nagradzany widokiem najbardziej absurdalnych ćwiczeń cielesnych, jakie kiedykolwiek widział. Kopanie lotki, różne sztuki walki (z mieczem, wachlarzem, bez niczego), spacer tyłem, klaskanie, śpiewanie i tańczenie podczas spaceru tyłem, zonglowanie, ćwiczenie dłoni kulami *qi gong*, ocieranie się o drzewo, wiszenie na gałęzi,

drapanie kory z drzewa, granie w diabolo, bębnienie czy taniec z bębnieniem...

Były też bardziej zwyczajne dyscypliny: piłka nożna, puszczenie latawców, badminton, softball, skakanie na skakance, tańczenie oraz granie w szachy i madżonga. Ćwiczyli zarówno młodzi studenci, jak i garbaci emeryci. Wyglądało to fantastycznie. Dlaczego w Niemczech nie ma takich zwyczajów? Dlaczego nie wszystko wypada robić?

W weekend postanowiliśmy popędzić rowerem przez miasto. Wylądowaliśmy w ogródku piwnym Paulaner. Po pięciu miesiącach spędzonych w Chinach byliśmy widać spragnieni czegoś takiego. Świeżo warzone piwo, prawdopodobnie najdroższe w mieście (osiem euro za pół litra), wyglądało mętnie, ale smakowało wspaniale. Podawano do niego pyszne białe kielbaski. Obsługa była chińska, kelnerki jednak, o oczach pomalowanych niebieskim cieniem, nosiły czerwony Dirndl¹⁴), a kelnerzy bawarskie koszule.

14) Strój ludowy noszony w Bawarii i w Austrii, składający się z białej bluzki, gorsetu, spódnicy i fartuszka (przyp. tłum.).

Tym razem zostaliśmy jednak obsłużeni przez krowę z dzwonkiem na szyi i olbrzymimi gumowymi wymionami na brzuchu. Dmuchnęła nam w twarz serpentyną i powiedziała: „Helau!”. Na stole leżały zaproszenia na imprezę karnawałową jedenastego listopada.

Siedzieliśmy na piwnych ławkach, ocieraliśmy pianę z ust. Świeciło słońce. Od czasu do czasu na nasze białe kielbaski spadały żółte, jesienne liście platana.

W dzielnicy francuskiej ulice obsadzone platanami okupowali ubrani na pomarańczowo robotnicy. Walczyli z jesienią – odpiłowywali gałęzie i zbierali liście, przywracając krajobrazowi szarość i nagość. Rano musiałam trochę się porozglądać, zanim znalazłam Fanga i nasz samochód. Skrywało ich listowie.

Jechaliśmy do Carrefoura. Nienawidziłam tych dni – dojazd do supermarketu zajmował nam godzinę, potem dwie godziny, żeby się przebić przez tłum w sklepie i włożyć do koszyka, co trzeba, pół godziny, by dotrzeć do panienki w kasie, i znowu godzina w samochodzie.

Tym razem było chociaż zabawnie. Od czasu skandalu z chińskim mlekiem zatrutym melaminą importowane stało się trudno dostępne. Nagle Chińczycy pokochali nowozelandzką markę Anchor i francuską Président, a dział produktów mlecznych w marketach wyglądał dość przerażająco – ogromne regały-chłodnie ziały pustką.

Kiedy dotarłam do Carrefoura, kierowca wózka widłowego właśnie torował sobie drogę przez grupę protestujących francuskich gospodyń domowych, które wściekle żądały przyścia menadżera sklepu. Zauważywszy, że wózek wiezie tak poszukiwany towar, zaczęły wyrwać sobie kartonowe pudełka i wrzucać tetrapaki do swoich koszyków.

Zaraz też ze wszystkich alejek napłynęły kolejne kobiety, histerycznie krzycząc i rzucając się w stronę wózka. Subtelne Francuzki nagle zamieniły się w babsztyle – przeklinały, wymyślały sobie nawzajem, wymachiwały rękoma.

Rzuciłam się w tłum.

W alejce z sosami sojowymi odcięłam drogę dwóm kobietom, zastawiając je swoim wózkiem na zakupy, złapałam dwie dwunastolitrowe zgrzewki mleka i pognałam dalej. Jedna z Francuzek gonila mnie aż do stoiska z owocami, wymyślając od najgorszych. Błyskawicznie położyłam na kartony z mlekiem dwa worki mandarynek i ziemniaków, a potem triumfalnie się uśmiechnęłam i rozbrajająco wzruszyłam ramionami.

Wygrałam!

Nie miałam współczucia dla Francuzów. W Szanghaju zawsze występują stadnie i każdego innego cudzoziemca traktują jak powietrze. Jakby inne nacje nie istniały. Nawet na basenie, w przebieralni o wielkości czterech metrów kwadratowych ignorują nie swoich.

Pardon, moje panie, ja też tak potrafię.

Szwajcarski oczyszczacz oraz chińskie igły

Zdrowy biedny człowiek już w połowie jest bogaczem.

Od soboty w naszym domu stały dwie minielektrownie atomowe, a przynajmniej urządzenia, które tak wyglądały. IQ Air Cleaner, markowa jakość ze Szwajcarii.

Urządzenia wydawały z siebie dźwięki, do których trzeba było przywyknąć. Okazały się katastrofą, która przyprawiła Tobiego o ból głowy, w dodatku katastrofą bardzo kosztowną, co przyprawiało o ból głowy także mnie (nieco później, kiedy włożyłam do bankomatu kartę, po raz pierwszy nie otrzymałam pieniędzy).

Powodem nedorzecznego wydatku były moje oczy. Od kilku dni paliły mnie i swędziały, tak że nie mogłam przestać ich trzeć, aż stały się opuchnięte, a błękitnobiałe gałki stały się czerwone. Do tego nie mogłam prawie oddychać. Z nosa ciekła mi woda, czystsza niż ta płynąca z kranu.

Znałam te symptomy, w końcu od kiedy pamiętam mam katar sienny podczas pylenia brzozy. Samo patrzenie na to drzewo wywoływało u mnie hiperwentylację. Żadne odczulanie, żadna uryno- czy krwioterapia, krople do oczu ani leki antyhistaminowe nie były w stanie mi pomóc.

Mieliśmy jednak jesień, w okolicy nie było ani jednej brzozy, tym bardziej pylącej.

Xiao Chen, nasza pozbawiona uczuć *ayi*, uznała mój stan za zupełnie normalny. Spojrzała na mnie bez najmniejszego współczucia i oznajmiła, starannie wycierając sobie przy tym nos:

– *Very normal. In November air pollution very bad.* To zupełnie typowe. W listopadzie zanieczyszczenie powietrza bardzo złe.

Zamiast na pyłki moje ciało reagowało na drobniutkie pyły zawieszane w powietrzu. To miało sens.

Po południu zrobiłam to, czego od pięciu miesięcy unikałam: zagłębiłam się w temat zanieczyszczenia powietrza w Szanghaju. Wieczorem byłam kupką nieszczęścia. Tobi znalazł mnie szlochającą na kanapie. Naprawdę chciałam być dzielniejsza, przecież miał wystarczająco dużo kłopotów w pracy, ale nie dałam rady.

Mówiąc lapidarnie, wiosną i latem pustynne wiatry wydmuchują zanieczyszczenia z miasta, jesienią i zimą natomiast z powodu braku wiatru poziom skażenia drastycznie wzrasta, co od razu widać po indeksie zanieczyszczenia powietrza – API, w którym uwzględnia się zawartość drobnego pyłu, dwutlenku siarki i tlenków azotu w powietrzu, określając na ich podstawie jakość tego, czym oddychamy. Tego dnia w Szanghaju została przekroczona wartość stu czterdziestu siedmiu punktów (w Niemczech poziom dopuszczalny to pięćdziesiąt punktów, jeśli zostanie przekroczony więcej niż trzydzieści pięć dni w roku, należy ograniczyć ruch samochodowy w mieście). Taką liczbę podał rząd, w rzeczywistości trzeba by do niej doliczyć drugie tyle. Dowiedziałam się też, że ruch promu po Huangpu musiał zostać wstrzymany, ponieważ żółty pył za bardzo ograniczał widoczność. Jakby tego było mało przeczytałam, że po pięciu latach spędzonych w Szanghaju lub dwóch latach w Pekinie osoby niepalące mają płuca tak zanieczyszczone jak u palacza.

I pomyśleć, że uważałam jesienne niebo za tak bardzo romantyczne.

Szanghajczycy przyjmują to wszystko ze spokojem. Cóż zresztą im pozostaje. Miałam tylko nadzieję, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym będzie się tu mierzyło jakość życia nie po liczbie porsche cayenne i rolls-royce'ów phantom jeżdżących po ulicach, ale po czystości

powietrza, którym bez troski da się oddychać.

Zadzzwoniłam do firmy IQ Air, by sprawdzili jakość powietrza w naszym domu. Jeszcze tego samego dnia zjawiała się miła przedstawicielka uzbrojona w specjalistyczny miernik. Dla pewności zaraz po jej wyjściu zamówiłam badanie w niezależnym instytucie.

Wyniki – sto osiemdziesiąt tysięcy cząsteczek zanieczyszczeń na metr sześcienny powietrza, wartości uznawane za mieszczące się w normie to maksymalnie sto tysięcy. Pięć godzin później mieliśmy w domu oczyszczacz powietrza. Niech ktoś powie, że Szwajcarzy są powolni.

Aby zmniejszyć swoje cierpienie, postanowiłam poddać się akupunkturze. W końcu mieszkałam w kraju znanym z wielowiekowej tradycyjnej medycyny, a ta powinna pomagać przy alergiach. Xiao Chen poleciła mi szpital Longhua współpracujący z szanghajskim uniwersytetem TCM. Już przed wejściem do budynku kłębiły się hałaśliwe, plujące i smarkające tłumy. Przypominało to niemieckie urzędy meldunkowe. W środku znajdowało się wiele okienek opatrzone tablicami z numerami. Trzeba było wypełnić kwestionariusz, pobrać numerek, uiścić opłatę dwudziestu pięciu juanów (dwa i pół euro) i ustawić się w kolejce. Wyjaśnił mi to Fang, którego zabrałam ze sobą dla pewności, że wszystko dobrze rozumiem. Potem przydzielił mi lekarza. Mogłam jednak, o czym mnie poinformowano, udać się do Foreigner's Department, gdzie obsługiwano VIP-ów.

Oddział dla obcokrajowców znajdował się za małymi drzwiami, tuż obok toalety. W pokoju siedziało dwóch Chińczyków w niebieskich upačkanych uniformach i siorbało zupę instant. Trzeci z pełnymi ustami wyjaśnił mi, żebym przyszła za godzinę, ponieważ oddział jest zajęty. Godzinę później uśmiechał się do mnie czwarty mężczyzna, również odziany w upačkany uniform, ale przynajmniej z zębami. Podeszedł ze mną do okienka. Zapytałam ostrożnie, na czym polega obsługa VIP-ów.

– *Ich anstellen, bin schneller als Ausländer.* Ja stanąć, być szybciej niż obcokrajowiec – wydukał.

Usługa kosztowała sto osiemdziesiąt juanów (osiemnaście euro). Machnęłam ręką i sama stanęłam w kolejce.

Po godzinie dotarłam do okienka. Wysłano mnie na piąte piętro. Tam czekał na mnie doktor Ge Fu Pei, miły mężczyzna w okularach z rogowymi oprawkami, które prawdopodobnie pochodziły z czasów rewolucji kulturalnej. Zza szkiele błyskały baczne, ciepłe oczy. Miał długie i cienkie palce i podobne paznokcie, a biały kitel, który nosił, był na niego o kilka rozmiarów za duży. Ruchem ręki zaprosił mnie do biurka z drewnianą okleiną. Krzesło obok zajmowała miejska zbieraczka śmieci odziana w jasnoniebieski fartuch, z tuzinem igieł wbitych w kolana.

Doktor mówił tylko po chińsku, oprócz tego znał kilka słów po francusku. Pozostał więc język migowy. Tarłam oczy i nos, trzymałam się za głowę, żałośnie przy tym jęcząc. Trzy pielęgniarki w różowych fartuszkach dziewczęco chichotały. Doktor Ge Fu Pei oznajmił jednak:

– *Je comprends.* Rozumiem.

Obejrzał mój język, zmierzył puls. W łamanym francuskim zapytał, czy jestem szczęśliwą mężatką, czy mam dzieci, czy się czymś martwię albo stresuję. Na wszystkie te pytania przytaknęłam. Na pogłębiony wywiad nasz francuski nie wystarczył. Na koniec wysłał mnie do kasy, gdzie miałam zapłacić sto pięćdziesiąt juanów (piętnaście euro) i wrócić do niego z paragonem.

Trzy pielęgniarki poczłapały za mną jak spłoszone kury.

– *Zhang, zhang!* – wołały.

Brakowało czerwonej pieczętki.

Nie ma pieczętki, nie ma igieł.

Z podstemplowanym paragonem w ręce doktor Ge Fu Pei zaprosił mnie na pryczę, zasunął zasłonę, odpakował pudełko świeżych igieł i wbił jedną w moją głowę. Powiedział przy tym, że *qi*, moja energia życiowa, która przenika ciało niczym rzeka jeziora, została zakłócona. Gdzieś w mojej krainie jezior zatkał się przepływ, a on umiał go odetkać. Wsunął igłę w skórę głowy, aż zapiekło mnie całe ciało. Trafił w meridian, kanał energetyczny, co oznaczało, że jakaś energia jeszcze się we mnie tli. Był jednak zatroskany – w moim ciele hulało za dużo wiatru. Należało go rozpedzić. Dwie kolejne igły wylądowały w *fengchi*, stawie wiatru, który, o czym nie wiedziałam, znajdował się ukośnie za moimi uszami. Potem przyszła kolej na *yintang*, sałę pieczęci. Dotąd nie wiedziałam, że taką mam, znajdowała się bezpośrednio nad nosem, tam, gdzie Hinduski umieszczają bindi, swoją świętą kropkę, a kobiety z Zachodu wstrzykują botoks. Doktor rozprostował palcami moją zmarszczkę powstałą od zmartwień i wbił igłę w sam jej środek.

–Aj! – krzyknęłam.

Pogłaskał mnie po ręce.

– To wychodzi wiatr – powiedział.

Następnie umieścił dwie igły w moich rękach, dwie w nogach i kolejne dwie w zatokach przynosowych. Wbiłam paznokcie w pryczę i zagryzłam zęby. To były istne tortury.

– *C'est tout?* To wszystko? – zapytałam po chwili.

Odparł, że tak. Dziesięć igieł. Potem podłączył prąd. Przypiął kabelki do igieł i podkręcił regulator. Chciał wiedzieć, czy mam „sensacje”.

– *Oui, oui.* Tak, tak.

Pulsowało. Podkręcił jeszcze bardziej, aż moje ramiona przy każdym uderzeniu prądu drgały.

– Proszę dobrze spać – oznajmił. Przysunął bliżej lampę rozgrzewającą i zniknął.

Drgając, leżałam na pryczy. Ból uspokajał się, kiedy pozostawałam w bezruchu.

Szczękałam więc tylko nieco zębami i gapiłam się na ołtarzyk taoistycznego bóstwa na ścianie, któremu doktor i pielęgniarki ofiarowali kilka pomarszczonych mandarynek. Chętnie bym się pomodliła, ale nie wiedziałam, jak nazywa się ten kolorowy bóg i jakim językiem mówi.

Po dwudziestu minutach zadzwonił obok mnie minutnik do gotowania jajek. Tak się przestraszyłam, że naruszyłam igłę za moim uchem.

– Au! – znowu wrzasnęłam.

Zbieraczka śmieci podniosła zasłonę i zagadała do mnie po chińsku, a potem się roześmiała. Po chwili zjawił się doktor i uwolnił mnie od kabli i igieł. Odetchnęłam z ulgą. Za szybko, jak się okazało.

– *Baguanfa*, bańki – odezwał się.

Zabrząkał sześcioma szklanymi naczyniami w kształcie kul i poprosił, żebym odsłoniła plecy. Zapalił palnik, ogrzał pierwszą bańkę i przyłożył ją zdecydowanie do pleców. Zassała skórę jak pijawka.

Ssanie było coraz silniejsze, ciągnęło i ciągnęło, czułam jak tworzy mi się krwiak. Nie wytrzymałam i wrzasnęłam. Zbieraczka śmieci znów się zaśmiała, a doktor postawił kolejnych pięć baniek. A później spokojnie oznajmił:

– Pięć minut. – I ponownie zniknął.

Zamknęłam powieki. Ssało i ssało. Próbowalam myśleć o czymś innym. Potem otworzyłam oczy i patrzyłam na małe stopy poruszające się za zasłoną. Pielęgniarka. Mruczała pod nosem melodię, którą podczas ceremonii otwarcia igrzysk śpiewała mała dziewczynka. Zajrzała do mojej kabiny, by zobaczyć, czy wszystko w porządku, i w swoim niewinnym różowym kitlu wysmarkała zawartość nosa na podłogę.

Chciałam do domu. Może powinnam zainwestować w elegancką klinikę TCM dla obcokrajowców. Zachodni lekarze żądają wprawdzie dziesięć razy więcej za wizytę i nie są nawet w połowie tak dobrzy jak chińscy, ale używają przynajmniej chusteczek do nosa.

Kiedy w końcu dotarłam do domu, natychmiast obejrzałam się w lustrze. Moje oczy wciąż były czerwone, plecy natomiast miały liliowe kropki, niczym kostki domino. Tej nocy zostałam zmuszona do spania na brzuchu. Ale, mimo wszystko, czułam się lżej. Jakby ktoś zdjął z moich pleców ciężki worek.

Doktor Ge Fu Pei wyznaczył mi kolejną wizytę za dwa dni. Tym razem po akupunkturze dostałam trzy paczuszki śmierdzącej ziołowej herbatki. Miałam wypijać dziennie dwie filiżanki, do tego nakleić sobie plaster z małą kuleczką na ucho. Zgodnie z zaleceniami musiałam naciskać go dwadzieścia razy rano i wieczorem. Dodatkowo doktor pokazał mi sześć punktów na twarzy i na rękach, które miałam masować palcami.

Po czterech tygodniach, dziesięciu czerwonych pieczętkach, dziewięćdziesięciu dwóch ukłuciach igłą, sześćdziesięciu krwiakach, dwunastu litrach herbaty i stu pięćdziesięciu euro mniej w portfelu zdarzył się cud. Znowu mogłam oddychać przez nos, moje oczy wróciły do dawnej formy, a samopoczucie wyraźnie się polepszyło. Czułam się wolna od dolegliwości. Ucałowałam doktora, a bożkowi ofiarowałam kilka świeżych mandarynek. Chciałam objąć cały świat – Chiny, Szanghaj, wszystkie sale pieczęci i jeziora wiatru na Ziemi. Byłam wyleczona.

Przynajmniej w tym sezonie.

Budda pomaga

*Można się modlić nawet do głowy sardynki,
jeśli się mocno w to wierzy.*

Był jedenastego listopada. Podczas gdy w Kolonii zaczynał się karnawał, w Szanghaju obchodzono Dzień Singla. Cyfra „jeden” wygląda jak pojedynczy człowiek, singiel, i stąd obchody w dniu czterech jedynek, wyjaśniła mi moja nowa nauczycielka chińskiego. Nasz dawny nauczyciel – Liwei, odszedł, aby pracować jako headhunter. Żeby to uczcić, po naszej ostatniej wspólnej lekcji opróżniliśmy butelkę czerwonego wina. Już po pierwszym łyku Liwei zrobił się na twarzy czerwony niczym rak, a na jego czole wykwitły krople potu. Zaczął się trząść jak osika, postanowił jednak dorównać Tobiemu i wypić tyle co on. Jak okazało się, umiał obchodzić się z winem, często sączył kieliszek w towarzystwie kobiet. Był w tym nawet wzruszający.

Trzeba przyznać, że samoświadomość naszego nauczyciela wzrastała, jak u większości młodych Chińczyków, wraz ze wzrostem produktu krajowego brutto. Na pożegnanie podarowałam mu paczuszkę kawy Illy, którą tak chętnie u nas pijał. Dehydrogenazy aldehydowej, grupy enzymów, które pomagają w obniżeniu poziomu alkoholu we krwi i których rzekomo brakuje wielu Azjatom, niestety nie mogłam mu sprezentować. Wiem jednak, że będzie mi Liwei brakowało.

Z okazji Dnia Singla nasza nowa nauczycielka wybierała się wraz ze swoją przyjaciółką – oczywiście singielką – na przyjęcie kojarzenia par. Tego dnia odbywało się ich wiele w mieście. To nie rybka szukała jednak roweru¹⁵⁾, a raczej rodzice drugiej połówki dla swojej latorośli. Ponoć zamierzano nawet zorganizować olbrzymie spotkanie kojarzenia par w pekińskim ptasim gnieździe, czyli na stadionie narodowym.

15) Ironiczne nawiązanie do żartobliwego powiedzenia „Kobieta bez mężczyzny jest jak ryba bez roweru” (przyp. tłum.).

Skoro musiałam zmienić nauczyciela, postanowiłam skorzystać z okazji i podwoić liczbę godzin nauki chińskiego. Tobi miał za dużo pracy, nigdy nie zdążał na lekcje, a ja chciałam wreszcie opanować ten język. Czas skończyć z zależnością od *ayi*. Wyzaczyłam sobie cel – do połowy następnego roku pójść na pocztę i bez problemu nadać list.

Czy żądałam za dużo?

Ponieważ zakupy bez problemu da się zrobić w Szanghaju bez znajomości języka, ruszyliśmy na bożonarodzeniowe polowanie. Wskoczyliśmy na rowery, usadowiwszy Amélie w jej foteliku.

Przez całą drogę śpiewała świąteczne piosenki – *Rudolph the red-nosed reindeer*, *Jingle Bells* i *Santa Claus is coming to town*. Doskonale znała teksty, na początku listopada w przedszkolu przygotowania do Bożego Narodzenia wkraczały w decydującą fazę. Najpóźniej w połowie grudnia ostatni cudzoziemcy opuszczali miasto.

W niektórych sklepach wisiały nieco tandetne świąteczne dekoracje. Fang mówił nam, że w ostatnich latach coraz więcej młodych Chińczyków (on sam się do nich nie zaliczał, miał przecież dwadzieścia osiem lat) obdarowuje się dwudziestego czwartego grudnia prezentami.

Tak naprawdę prezenty dostają głównie dziewczyny od partnerów lub narzeczonych. Tego dnia w modzie są romantyczne kolacje, podczas których wręcza się dowody miłości. Chińczycy przekształcili po prostu Wigilię w walentynki.

Na Xinle Lu drogę zagroziło nam morze ludzi i kwiatów. Musieliśmy zsiąść z rowerów. Wzdłuż schodów uformowano co najmniej dwadzieścia szpalerów lilii i wieńców. Na początku swojego pobytu w tym mieście brałam te kwiatowe orgie za pogrzeby, tymczasem tak świętuje się tu otwarcie sklepu. Bujne szpalery kwiatów fundują najczęściej partnerzy biznesowi lub lokalne władze (w zależności od *guanxi*, sieci właścicieli sklepów) i należy to do dobrego tonu.

Mężczyźni, a właściwie chłopcy, którzy zebrali się przed wejściem do sklepu mieli na głowach kapelusze w stylu Justina Timberlake'a, okulary nerda i typowe dla chińskich hipsterów torebki – lakierowane, złote, skórzane. Im większe, tym lepsze, zgodnie z zasadą: „Duży może więcej”. Dziewczyny chichotały i trzymały się za ręce.

Zatrzymaliśmy się również przy buddyjskiej świątyni Jing'an. Ofiarowaliśmy Buddzie kilka mandarynek, które kupiliśmy po drodze, i pomodliliśmy się o szczęście. Nie mogło to zaszkodzić. Zresztą, wszyscy tak robili, u stóp pomnika leżało mnóstwo owoców. Ludzie zapalali też kadzidełka, bili pokłony i modlili się.

Mao chciał zrobić z Chińczyków ateistów, ale ponieważ w chińskiej tradycji nigdy nie było ogólnokrajowej religii ani nie istniał kult jednego boga, nie do końca się to udało. Są tu buddyści, taoiści, muzułmanie, katolicy, protestanci. A przy tym nie jest niczym niezwykłym, że chiński chrześcijanin odwiedza świątynię buddyjską, żyje według wzorów taoistycznych i pielęgnuje największe z tutejszych zabobonów.

Kiedy żegnaliśmy się z Buddą, do stołu ofiarnego zbliżyła się emerytka z wielką niebieską torbą opatrzoną logo Nivei. Niezauważenie włożyła do niej kilka mandarynek, jabłek i bananów, a potem spokojnie opuściła świątynię. Buddzie to nie przeszkadzało. Zarejestrował też nasz datek. Bo jak inaczej wytłumaczyć zadziwiająco dobry przebieg naszych zakupów – w cztery godziny znaleźliśmy wszystkie potrzebne prezenty. To był prawdziwy rekord.

Kiedy wróciliśmy zadowoleni do domu i spojrzeliśmy na górę zakupów, dotarło do nas, że możemy mieć kolejny problem: jak załadować to wszystko do walizek. Tymczasem Amélie pobiegła malować przed domem rysunki na ulicy. Miała nową koleżankę. Do domu obok wprowadziła się samotna matka z mniej więcej ośmioletnią córką.

Dziewczynka była dość gruba, zawsze miała przy sobie różową hulajnogę i słodycze w kieszeni. Nie potrafiłam wymówić jej imienia, a co dopiero je zapisać: coś jakby Lūjiangchingzhao. Amélie w swojej prostocie nazywała ją po prostu *fat girl*, grubą dziewczynką. Kiedy użyła tego „imienia” po raz pierwszy, roześmiałam się, a potem nie udało mi się już zmienić tego przyzwyczajenia.

Na szczęście Lūjiangchingzhao nie znała angielskiego. Dziewczynki komunikowały się za pomocą hulajnogi i wychodziło im to świetnie. Nie wiedziałam jednak, jak dać do zrozumienia mamie Lūjiangchingzhao, aby przypadkiem jej nie urazić, że nie należy napychać kieszeni córki klejącymi się kokosowymi cukierkami.

Nagle usłyszeliśmy zawodzenie Amélie. Wybiegłam z bijącym sercem, w myślach widząc już, jak spadła z hulajnogi. Ona jednak klęczała nad swoim rysunkiem i płakała. Wokół wałały się skorupki krewetek, puste plastikowe butelki i inne nieokreślone śmiecie. Jedna z sąsiadek z górnych pięter na naprzeciwka pozbyła się swoich odpadków w typowy sposób – wyrzucając je przez okna. Prosto na Amélie.

GRUDZIEŃ

Uroczą łąką traci urok

*Jesteś cierpliwy w obliczu gniewu,
oszczędzisz sobie sto dni troski.*

Lian oznacza „uroczą łąką”. To ja. Moja nowa nauczycielka chińskiego nadała mi imię. Początkowo brzmiało ono Mi Lian. Ponieważ znaczyło to „ryż łuskany uroczą łąką”, co niepotrzebnie wprowadzało w błąd, a ja w dodatku absolutnie nie chciałam mieć nic wspólnego z łuskany ryżem, poprosiłam o skrócenie nazwy.

Qiuqin, moja nauczycielka, ma dwadzieścia cztery lata i jest śliczna. Większość młodych, jako tako wykształconych Chińczyków, posługuje się także angielskimi imionami, co napawa ich dumą. Młodzi każą je sobie drukować na wizytówkach. Imiona nadaje im zazwyczaj nauczyciel angielskiego w szkole, stąd chyba są tak mało oryginalne. Do tej pory spotkałam około dwudziestu Wendy, piętnastu Lind i trzydziestu Suzi. Chińskie nazwiska są jeszcze bardziej powtarzalne. Dziewięćdziesiąt procent wszystkich Chińczyków nosi jedno ze stu nazwisk, przy czym dwieście siedemdziesiąt milionów nazywa się albo Wang, albo Li, albo Zhang. Jan Kowalski vel Nowak to tutaj – Zhang Wang Zhao Li. Kto chce być łatwo zapamiętywany, wymyśla więc zabawne imię: Rainbow, Sky czy Crispy. Jedna z koleżanek Tobiego zupełnie na poważnie wybrała dla siebie słowo *toffie*.

Qiuqin przedstawiła mi się chińskim nazwiskiem nie do wymówienia i od razu wydała mi się sympatyczna. Na pierwszej lekcji poinformowała mnie też, że w grudniu będzie *not available*, niedostępna. Chce zrobić sobie nowy nos.

– Och, a jakież to nos? – zapytałam.

– Taki, jak twój – odparła.

Zachodni, zadarty nos z wysokim grzbietem. Dla chińskich kobiet istnieje tylko jeden ideał piękna – biała skóra, wąska twarz ze spiczastą brodą, wysoki grzbiet nosa, możliwie okrągłe oczy, farbowane włosy. Normalnie nie wygląda tak żadna Chinka, ale przecież można sobie pomóc.

Operacje nosa nie są w Szanghaju niczym szczególnym. Jak powiedziała mi Qiuqin, za dwieście euro można już skorygować nos najtańszymi implantami. Kto chce dostać koreańskie materiały, musi zapłacić drugie tyle, ale są one wytrzymalsze. Niektóre koleżanki Qiuqin kazały sobie nawet złamać szczękę, aby tylko mieć wąską, zachodnią twarz. Ten zabieg jest już trudniejszy, a tym samym droższy. Do ulubionych operacji plastycznych młodych Chinek należą też zabiegi na powiekach, dostępne od stu euro. Podwójna powieka dla wielu tutejszych kobiet to symbol statusu, tak jak nowa torebka od Chloé, której podróbki można zresztą kupić na każdym rogu.

Na nowy nos Qiuqin, który miał kosztować czterysta pięćdziesiąt euro, połowę pieniędzy dali rodzice. Aby „zwiększyć moje szanse na rynku pracy”, jak powiedziała. Z sześciu milionów absolwentów uniwersytetów, którzy w ubiegłym roku szukali zatrudnienia, milion go nie znalazło. W tym roku przyjdzie im konkurować z kolejnymi sześcioma milionami.

– Jeżeli jestem pewniejsza siebie, mam szansę na lepszą pracę – oznajmiła Qiuqin.

Brzmiało niby logicznie. Potem przeczytałam w „Shanghai Daily”, że liczba studentek, które dla rozmowy kwalifikacyjnej decydują się na operacje plastyczne, drastycznie wzrasta.

Chętnie porozmawiałabym z Qiuqin dłużej na ten temat, ale niestety nasza *ayi* zakończyła właśnie swoje codzienne ćwiczenia jogi i głośno opróżniała zmywarkę. Do tego włączyła

wszystkie elektryczne sprzęty kuchenne, jakie tylko mogła znaleźć w kuchni. W takich warunkach nie bardzo dało się rozmawiać. Ponieważ jednak nie chciałam, by Xiao Chen straciła twarz, nie zwróciłam jej uwagi. Dopiero kiedy Qiuqin wyszła, poprosiłam ją uprzejmie, by następnym razem podczas mojej lekcji hałasowała na górze w łazience. Tam też przecież można tłuc sprzętami. Odparła:

– *Yes, Miss Anmutige Weide, but I must tell you something.* Tak, pani Uroczą Łąko, ale muszę pani coś powiedzieć. – Gapiłam się na nią głupawo przez dobre pół minuty, zanim dodała: – Moja matka miała wypadek.

Resztę już doskonale znałam. Przemowa była taka sama jak u Guiling, naszej pierwszej *ayi*: ona musi się zatroszczyć o matkę i niestety od jutra nie może już u nas pracować.

Mój łąkowy urok, gdzieś się rozwiął. Wściekłość i rozpacz walczyły w moich trawach, aż w końcu ryknęłam ze łzami w oczach:

– *How much?! Ile?!*

Tego się już nauczyłam. Chciałam wiedzieć, ile pieniędzy dostanie w nowej pracy, dla której się zwalnia.

Przez chwilę milczała. Potem złożyła szmatkę, którą trzymała w dłoni i powiedziała:

– *I'm terribly sorry.* Bardzo mi przykro.

Potrzebowałam czterech godzin, żeby się uspokoić. Czym sobie na to zasłużyłam? – pytałam. Jak można stracić w ciągu sześciu miesięcy trzy ciotki?

Postanowiłam zrobić coś sensownego. Wymienić toster, który kupiłam cztery tygodnie temu, a który zepsuł się po kilku dniach używania. Gome, wielki dom towarowy z urządzeniami elektrycznymi, był jednak zamknięty. Wieczorem przeczytałam w gazecie, że najbogatszy człowiek w Chinach, dyrektor generalny Gome, był podejrzany o manipulowanie akcjami. Właśnie z tego powodu wszystkie pięćset osiemdziesiąt siedem filii przedsiębiorstwa w stu sześćdziesięciu miastach Chin zostały zamknięte.

Kiedy o szóstej wieczorem Xiao Chen oddawała mi klucz, zapytałam z czystej ciekawości:

– Jaki jest prawdziwy powód, Xiao Chen? Dlaczego Chińczycy nigdy nie mówią prawdy?

Wzruszyła ramionami i odparła:

– *We are like this.* Tacy już jesteśmy.

W końcu jednak powiedziała mi, że praca w pełnym wymiarze to dla niej za dużo. Wolałaby pracować tylko przez pół dnia. Wzięłam to sobie do serca.

Za tydzień miałam lecieć z Amélie do Niemiec, tak szybko i tak nie znalazłabym następczyni. Poza tym nie miałam siły znowu czołgać się na kolanach po łazienkach i pokazywać kolejnej *ayi*, jak należy sprzątać.

Zgodziłam się na pół etatu. Miało to swoje plusy – będę musiała znosić chłodny wyraz twarzy Xiao Chen tylko przedpołudniami, kiedy i tak w zasadzie przebywam poza domem. Za zaoszczędzone pieniądze wynajmiemy opiekunkę – Christine, asystentkę z przedszkola Amélie, przemiłą dziewczynę. W ten sposób wszyscy będą zadowoleni.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?

STYCZEŃ

Sprytni sąsiedzi i złe duchy

*Panuje się nad swoim życiem
z uśmiechem albo wcale.*

Bałam się Bożego Narodzenia oraz naszego wyjazdu do Niemiec. Tak często wieczorami, oglądając Heidi, marzyłam o Hamburgu, Monachium i Tyrolu! O grzonym winie i targach bożonarodzeniowych, o bieganiu lub rowerowej przejażdżce na trasie Alsterlauf, wielkich płatkach śniegu spadających z nieba, górskim powietrzu, Alpenrosenhütte, schronisku w Alpach, i omlenie *Kaiserschmarren* w restauracji Sepp. Co stałoby się z Heidi, gdyby, szczęśliwie powróciwszy w góry, po pięciu błogich tygodniach musiała znowu jechać do Frankfurtu? Nienawidziłaby go jeszcze bardziej.

A jednak wcale tak nie było.

Podczas wyjazdu korzystałam z każdej wolnej minuty, nigdy jeszcze nie przeżyłam tak intensywnego urlopu. Byłam świadoma mijających dni, ale kiedy w końcu nadszedł czas powrotu i wsiedliśmy w Monachium do samolotu do Szanghaju, nie czułam żalu ani zwątpienia. Moja naładowana bateria życiowa sprawiła, że byłam gotowa na dalszy ciąg chińskiej opery mydlanej.

I byłam bardzo jej ciekawa.

W Szanghaju przywitał nas lekki mróz – minus trzy stopnie Celsjusza. Na oknach w salonie potworzyły się małe lodowe kwiatuszki. Próbowaliśmy uruchomić ogrzewanie na parterze (jedyne, jakie mieliśmy), ale urządzenie, na którym było mnóstwo kolorowych guzików i światełek oraz chińskie znaki, migotało dwoma czerwonymi lampkami. Gazowy płomyk nie chciał się zapalić. Witamy w domu!

Na szczęście Tobi jeszcze przed wyjazdem na święta odkrył sklep, w którym sprzedawano za bezcen puchowe kurtki firmy Moncler, które jak wszystkie takie luksusowe, podejrzanie tanie produkty „spadły z ciężarówki”. Zafundował je całej rodzinie. Siedzieliśmy w nich na kanapie i będąc myślami wciąż w Tyrolu, gdzie jeszcze wczoraj zajadaliśmy się słodkimi drożdżowymi knedlami, siorbaliśmy teraz nieokreśloną zupę, którą nasza *ayi* zostawiła jako prezent powitalny na kuchence.

Po chwili Amélie wyła z bólu. Palila ją buzia. Zupełnie zapomniałam, że zimą Chińczycy do wszystkiego co gotują, dodają papryczki chili. „Aby usunąć wewnętrzne zimno”, jak wyjaśniła mi Xiao Chen. Zwykle ostrość chili splukuje się mnóstwem *huangjiu*, ryżowego wina, który także pomaga zachować ciepło, przy okazji rozprawiając się z ostatnimi kubkami smakowymi.

W naszej zupie obok strąków papryczki pływały posiekane kolby kukurydzy (Tobi z obrzydzeniem wypłuł jeden z nich do umywalki), kości oblepione brejowatym mięsem, pokrojona marchew i pomidory. Zabrałam talerz Amélie i żeby złagodzić pieczenie, przygotowałam jej nieco pasteryzowanego mleka, które znalazłam w lodówce.

– Blee! – wydała z siebie okrzyk i także je wypłula.

No tak, o tym też zapomniałam. To było chińskie mleko z melaminą, które smakowało jak posłodzone.

W każdym razie przepłukanie ust zdawało się złagodzić ból. Na resztce mleka ugotowałam więc torebkę ryżu. Cukru już nie dodałam.

Kiedyś oglądałam w niemieckiej telewizji film dokumentalny o nastolatkach, którzy wyjechali do Szanghaju w ramach wymiany szkolnej. Franziska z Frankfurtu siedziała w salonie

przy kolacji z rodziną, która ją gościła. Dorośli mieli na sobie watowane flauszowe pizamy z podobizną Hello Kitty, a dzieci – kurtki puchowe i rękawiczki z obciętymi palcami. Głos z offu mówił: „To, że Franziska siedzi z goszczącą ją rodziną w puchowych kurtkach, jest normalne. W południowochińskich domach nie ma ogrzewania”. Rzeczywiście, Jangcy stanowi w tym względzie granicę. Na północ od rzeki domy są wyposażone w piece węglowe, a bardziej nowoczesne w centralne ogrzewanie, na południe od niej palenie węglem jest zakazane. Pamiętam, że wówczas w Hamburgu siedziałam zafascynowana przez telewizorem. Teraz możemy się poczuć jak Franziska. Jaki bowiem jest pożytek z *luxury floor heating system*, luksusowego systemu ogrzewania, jeśli nie działa?

Ustawiliśmy klimatyzację na dwadzieścia siedem stopni Celsjusza. W taki sposób ogrzewa domy większość cudzoziemców oraz Chińczycy, których na to stać – prąd jest w tym kraju droższy niż w Niemczech.

Superurządzenie klimatyzacyjne, które stało w naszym ogrodzie, zaskoczyło z wielkim hałasem, wirniki były na wpół zamrożone. Po dziesięciu minutach nad naszymi głowami w domu powiał ciepły wiatr. Hulało tak, jakby ktoś w naszym salonie zamknął wiatr halny. Powietrze natychmiast zrobiło się niesamowicie suche, aż włosy stanęły nam dęba. Rozczarowani wyłączyliśmy klimę i zadzwoniliśmy do jednej z naszych pośredniczek, czy nie zna przez przypadek jakiegoś serwisu, który zajmuje się takimi nagłymi sprawami.

Dwadzieścia cztery godziny później do naszych drzwi zapukał młody mężczyzna, który najwyraźniej zgubił gdzieś siekacze. Od razu zaczął grzebać przy elektronicznym włączniku ogrzewania. Naciskał guziki jak szalony i ryczał:

– Okeee?

Potrząsałam głową, że nie, a potem pokazałam mu wielkie urządzenie z migającymi światełkami w szafce kuchennej.

– *Huaila!* Zepsute – powiedziałam.

Teraz on potrząsnął głową i wrzasnął coś do Xiao Chen, która miała tłumaczyć. Musiałam na nowo przyzwyczać się do chińskiego natężenia dźwięku, przywyknąć do intonacji, która brzmi, jakby wyzywano cię od najgorszych. *Ayi* wyjaśniła mi, że młody człowiek jest odpowiedzialny tylko za włącznik, do instalacji grzewczej musi przyjść inny inżynier.

No tak, oczywiście.

Były też inne powitalne niespodzianki – odpadająca farba z futryn i ram okiennych (po co gruntować, jeżeli można coś pomalować od razu?), rysy na wszystkich ścianach domu, dwie pęknięte szuflady kuchenne, niedziałający przewód telefoniczny i internetowy oraz rachunek z chińskiego telecomu za grudzień, opiewający na sto osiemdziesiąt euro, chociaż nie było nas w Chinach przez cały miesiąc. Nad drzwiami wisiał natomiast pokaźny kłębek kabli, który wypadł z pękniętej plastikowej skrzynki dyndającej na ścianie naszego domu. Kabel prowadził jakieś dwa metry nad ziemią do okna sąsiedniego domu. Podczas naszej nieobecności sąsiedzi podpięli się nielegalnie do naszej linii telefonicznej. W sposób dyletancki, ale efektywny.

Najdziwniejsze, że żadna z tych rzeczy nie wyprowadziła mnie z równowagi. Wręcz przeciwnie, mimowolnie się uśmiechałam. Pięciotygodniowy urlop w Niemczech i Austrii zdziałał cuda.

Kiedy obudziliśmy się następnego dnia, w domu było lodowato. Niektórych okien nie dało się dokładnie zamknąć i ostry wiatr wpełzał do nogawek. Niebo było niebieskie, no, prawie niebieskie, widać było słońce.

Postanowiłam odwiedzić Amélie do przedszkola rowerem. Przed bramą stała zapłakana matka jednej z dziewczynek z grupy Motylków. Zapytałam, czy mogę jakoś pomóc.

– Ach, to tylko... – wyszłochała i włożyła komórkę do kieszeni – moja *ayi* właśnie się

zwolniła.

Wczoraj odpadł u nich z sufitu masywny barokowy żyrandol. Najwyraźniej został źle umocowany. Na szczęście nikt pod nim nie stał, inaczej byłby martwy. *Ayi* postanowiła nigdy więcej nie wchodzić do domu. Uznała, że mieszkają w nim złe duchy.

Pod wpływem niezrozumiałego impulsu postanowiłam pojechać na ulicę Nanjing. Jeszcze jesienią otworzono tam Marksa & Spencera. Brytyjskie matki nie mówiły o niczym innym: wreszcie ubrania w dużych rozmiarach i ten dział spożywczy – marzenie! Cudownie, nasza lodówka była kompletnie pusta. I co dziwne, pusty był również mający czterdzieści tysięcy metrów kwadratowych megastore. W dziale spożywczym między zamrażarkami wałęsało się kilku długonosych oraz dwie Chinki. Półka, na której powinny leżeć torty, stała pusta, tak samo większość regałów. Wyglądało to trochę jak w *Czasie apokalipsy*.

Udało mi się znaleźć dwie głęboko mrożone pizze, każda za osiem euro.

– *Ooooh, very expensive!* Bardzo drogo – odezwała się do mnie Chinka. Zrobiła przy tym odpowiednio wielkie oczy.

Też tak uważałam. Od dawna przestałam jednak dziwić się cenom w Szanghaju, obojętnie w którą stronę zmierzały.

Regał dalej natknęłam się na ładnie zapakowany wstępnie podgotowany ryż – porcja pięć euro. Stojący obok sos sojowy kosztował tyle samo. W każdym chińskim supermarkecie obie te rzeczy można dostać za ułamek tej ceny.

– Nic dziwnego – komentowała dalej Chinka – że jest tu tak pusto. A poza tym jeszcze ten wypadek.

– Jaki wypadek? – zapytałam, bo widać podczas mojego wyjazdu coś mnie ominęło.

Po chwili już wiedziałam, dlaczego wielki Marks & Spencer na Nanjing, w najlepszej szanghajskiej lokalizacji, ział pustką. Harshit Shah, dwudziestoczteroletni handlarz diamentów z Indii, który robił tu zakupy ze swoją żoną kilka dni po otwarciu, nieszczęśliwie wypadł przez balustradę jednej z dwóch otwartych wind, a dokładniej mówiąc – przez dwumetrową przerwę pomiędzy nimi. Zabił się na miejscu.

Większość Chińczyków uznała, że w sklepie – właśnie tak – mieszka zły duch. Wezwano oczywiście różnych mistrzów feng shui, by odprawili ceremonię dla kierownictwa sklepu i oczyścili nawiedzone miejsce, ale daremnie. Trochę szkoda, filia miała być w Chinach pierwszą z pięćdziesięciu.

W drodze powrotnej na światłach jedna z wielu asystentek ruchu drogowego, które prawie na każdym skrzyżowaniu dmuchają z lubością w gwizdki, wbiła palce w moją puchową kurtkę i przytrzymała mnie tak mocno, że niemal spadłam z roweru. Na przemian gwizdała mi do ucha i wrzeszczała.

Patrzyłam na nią bezradnie i tylko wzruszałam ramionami. Ona zaś nieustannie szarpała mnie za rękaw.

Jak zawsze w takich sytuacjach, wokół natychmiast uformowała się grupka gapiów. Oni także coś mi perswadowali. Zrozumiałam tyle, że według nich powinnam zostać upomniana, bo jechałam ulicą *Huai Hai*, która jest zamknięta dla rowerów.

Potem jeden z gapiów zlitował się nade mną i łamanym angielskim wytłumaczył, o co chodzi kierującej ruchem.

– *Jacket, where buy, how much?* Kurtka, gdzie kupić, ile? – zapytał, wskazując na logo mojej puchówki.

Niepojęte. Zostałam zatrzymana na piętnaście minut, a moje ucho zdewastowane z powodu kurtki, co do której nawet nie wiedziałam, czy nie była podrabiana. Obiecałam jednak kierującej ruchem, że przyniosę jej adres sklepu. Na pożegnanie poklepałyśmy się z uśmiechem

po ramionach.

Wieczorem, kiedy leżałam już w łóżku, w moim prawym uchu wciąż piszczalo.
Czy akupunktura pomaga także na szumy uszne?

Hinduski wieczór paniński

*Im więcej ma się znajomych,
tym mniej zna się ludzi.*

Dostałam esemes: „Zostałaś zaproszona na wieczór paniński Louise. To hinduska noc niespodzianka, więc włóż sari, naklej bindi i załóż bangle. Spotkanie w domu Leyli o siódmej wieczorem. Suzie”.

Kim, u diabła, są Suzie, Louise i Leyla?

I dlaczego mam z trzema obcymi kobietami spędzać jakąś noc niespodziankę?

Ze słownika dowiedziałam się, że chodzi o wieczór paniński, a następnego dnia poznałam Suzie. Okazała się matką jednej z dziewczynek, które chodziły z Amélie do grupy Pszczółek. Louise była jej przyjaciółką, osobą mi nieznaną, ale przyjaciółkami w świecie *expats* nie należało się przejmować. Czyż nie płynęliśmy razem w tej samej łódce – z dala od kraju, bliskich, rodziny? Żyliśmy więc tak, jakbyśmy byli jednocześnie najlepszymi przyjaciółkami i wielką rodziną w świecie równoległym.

Emigracyjny świat równoległy nie miał zbyt wiele wspólnego z Chinami, jeśli w ogóle cokolwiek. Spotykaliśmy się z ludźmi o podobnych poglądach, przesiadywaliśmy w Bar Rouge, Coffee Tree, San Marco – lokalach, które równie dobrze mogłyby się znajdować w Kalifornii lub Kapsztadzie. Żyliśmy niczym niektórzy Turcy w Niemczech, kisząc się we własnym sosie. Gorzej – uznawaliśmy miejscowych w zależności od sytuacji lub nastroju za głupich, nierozwiniętych, ślicznych albo kochanych.

W tym małym, absurdalnym uniwersum istniały niepisane prawa, które pozwalały w błyskawicznym tempie odnaleźć sobie podobnych, mówiących tym samym językiem, ubierających się w tym samym stylu, mających analogiczne doświadczenia w Szanghaju.

Najpierw poznawało się Niemców, ich przecież rozumiałam, potem Anglików, jeśli lubiło się szczebiotać z brytyjskim zaśpiewem (*You look gorgeous, where did you get this bag? Oh, we should definitely meet one day, would be lovely!* Wyglądasz prześlicznie, gdzie dostałaś tę torebkę? Och, musimy koniecznie spotkać się któregoś dnia, byłoby cudownie!), potem tych, którzy podobnie się nosili: mieli styl lnianej workowatej tuniki, jogina w klapkach japonkach lub kowbojsko-awangardowy. Zimą warunki wzajemnego rozpoznania były utrudnione, wszystko skrywały puchówki.

Był też podział na nowych i starych. Niczym w szkole. Trzecioklasiści nie przyjaźnili się z pierwszoklasistami i odwrotnie. To po prostu nie wychodziło. Staremu wyjadaczowi nie chciało się kolejny raz opowiadać historii swojego życia, ekscytować Chinami, słuchać tych samych słów zachwyty lub zdziwienia. Stary wyjadacz dogadywał się po chińsku, nie zamierzał tracić czasu na wymianę myśli na forach dla obcokrajowców ani polecać sklepów z towarami importowanymi, szkół muzycznych i klubów jogi.

Tak naprawdę trudniej tu było znaleźć człowieka nadającego na tych samych falach i z jednakowym czasem trwania umowy niż paczkę pumpernika w sklepie. Weźmy na przykład mnie. Poznałam w przedszkolu szalenie sympatyczną Dunkę. Śmieszyło nas to samo, obie byłyśmy chaotyczne, a nasze poglądy na życie jakoś się zazębiały. Była jedyną znaną mi cudzoziemką w Szanghaju, która nie wynajęła *ayi*. Uzasadniała to w prosty sposób: „Firma mojego męża stosuje wobec niego outsourcing, ale ja nie muszę robić tego samego w stosunku do swoich dzieci”. Dwa razy w tygodniu przychodziła do niej do domu sprzątaczką, i tyle.

Bardzo ją lubiłam. Pewnego dnia powiedziała mi, że w maju wraca do Danii. I nagle motor, który tak płynnie chodził, stanął.

Po co marnować energię, nawiązywać przyjaźń, skoro wiesz, że za chwilę ta osoba zniknie z twojego życia?

Na hinduski wieczór paniński poszłam. W końcu dlaczego miałabym tego nie zrobić? Pożyczyłam od niemieckich znajomych złotą brokatową zasłonę, owinęłam się nią, a na czoło nakleiłam jedną z błyszczących naklejek, którą dostałam od Amélie. Pochodziła z zestawu Hello Kitty. Nie wiem, czy kiedykolwiek wyglądałam śmieszniej.

Cóż, potem było jeszcze zabawniej.

Leyla, w której domu się spotkałyśmy, wynajęła dwie dziewczyny malujące ciało henną. Każda z nas mogła sobie wybrać z książeczki jakiś motyw – kwiat, węża itd. – i po zapłaceniu czterech euro dać go sobie wytatuować na dłoni.

Niestety, artystki od henny okazały się tak mierne jak tutejsi elektrycy, hydraulicy i stolarze. Na grzbiecie mojej dłoni powstały dyletanckie bazgroły, które z żadnej strony nie przypominały ani kwiatów, ani węży. Równie dobrze mogłam poprosić Amélie, żeby namalowała mi kałamarnicę.

Zaproszona na imprezę Australijka kazała sobie pokryć henną całe ramię. Zapłaciła za to wspaniałe oszpecenie osiem euro. Uśmierzyła ból po swojej głupocie kilkoma dodatkowymi kieliszkami szampana.

Około ósmej przybyła w końcu roztrzęsiona narzeczona. Obrzuciłyśmy ją błyszczącym sari, potem nakleiliśmy jej bindi i obwiesiliśmy brzęczącymi bransoletkami.

O wpół do dziewiątej zjawiała się tancerka brzucha i zaciągnęła nas do salonu. Poziom śmieszności poszybował w górę. Dziesięć średnio jędrnych lub lekko przywiedłych kobiet z Anglii, Australii, Ameryki i Niemiec w kolorowych chustach niezgrabnie podskakiwało wokół kanapy w takt bollywoodzkiej muzyki, próbując naśladować chińską Hinduskę i z gracją wić oszpeconymi malunkami rękoma.

Stanowiliśmy korowód mizerot i ja w nim uczestniczyłam. Gdybym nie musiała się tak koncentrować na kolejności kroków, posikałabym się w swoją złotą zasłonę ze śmiechu.

Wyszukowane i wytańczone opuściłyśmy domowe pielesze i pojechałyśmy taksówką do Vedas, hinduskiej restauracji. Suzi zarezerwowała tam stół. Zaraz po przystawkach wręczyłyśmy narzeczonej prezenty – liliowe satynowe majtki i kolorystycznie pasujący do nich wibrator. Kelner zmieszany patrzył w ziemię, wstydziałam się razem z nim.

Alkohol, potrzebowałam więcej alkoholu!

Tymczasem Suzi wyciągnęła dwie torebki do zamrażania żywności. Jedną ozdobił napis *Truth*, „Prawda”, drugą – *Dare*, „Czyn”. Zabawa, na szczęście dla mnie, zaczęła się od drugiego końca stołu.

Pojawił się kelner z winem. Niestety, nie zdążył dotrzeć do mojego miejsca. Potrąciła go Natasha, Australijka, która na jednej nodze skakała właśnie wokół stołu i wołała:

– *I'm a horny bitch! I'm a horny bitch!* Jestem napaloną dziwką! Jestem napaloną dziwką!

Następna zawodniczka, Amerykanka, postanowiła wyciągnąć karteczkę z torby prawdy. Uśmiechnęła się z przekąsem i dostała z nerwów czerwonych plam na szyi. „Czy kiedykolwiek przełykała spermę i jak dużo?”. Oczywiście, że przełykała, mnóstwo. Plamy rozszerzyły się aż po dekolt.

Kolej na Angielkę. „Ściągnąć na stole biustonosz bez rozpinania sukienki”. Nie było łatwo. Jedwabna sukienka pod sari należała do obcisłych, w dodatku Angielka przyszła na imprezę prosto z centrum fitness, miała więc na sobie sportowy biustonosz. Operacja trwała

dziesięć długich, upokarzających minut. W końcu się udało i mogliśmy podziwiać monstualny stanik w kolorze cielistym.

Kelner tymczasem zebrał obsługę za barem, skąd mieli na nas cudowny widok bez konieczności zachowania dystansu. Hinduska rodzina siedząca przy pobliskim stoliku wydawała się natomiast oniemiała, jedzenie na talerzach zdążyło im już wystygnać. Głowa rodziny patrzyła na nas podejrziwym wzrokiem. Hindusi zawsze noszą zbyt wysoko pasek u spodni i mają tendencję do wypinania do przodu brzucha. Musi istnieć jakiś bezpośredni związek między nim a dumą i statusem.

Moje obserwacje przerwała Suzi. Właśnie wyciągnęła karteczkę i wskoczyła na stół. Zdarła z siebie biustonosz, zapięła go z wierzchu na sari, wzięła wibrator do ręki i zaśpiewała bez mrugnienia okiem na cały głos *Like a Virgin*. Czapki z głów, całkiem niezłe.

Poprosiłam o więcej wina.

Moja kolej.

Ktoś trzymał przede mną torebkę. Stół skandował, klaskał i wrzeszczał: „No jazda, czas na czyn”. Musiałam bronić honoru ojczyzny. Ha, jak zawsze w rundzie eliminacyjnej Niemcy wyciągnęły szczęśliwy los – miałam zrobić dwadzieścia pompek na sąsiednim stoliku. Nie ma sprawy, jedzenie rodzinki i tak było zimne.

Suzi była w szczytowej formie. Kiedy kolejka obeszała już wszystkich, dobrowolnie wyciągnęła jeszcze jedną karteczkę czynu. Potem weszła na krzesło, uśmiechnęła się diabolicznie, odwróciła, rozchyliła sari i ściągnęła majtki (jeden z tych modeli podciągających pośladki), wystawiając na widok publiczny swój bład brytyjski tyłek.

Tego było za wiele. Skulony ze wstydu kelner pobiegł z powrotem do baru, rozlewając połowę dzbanka z wodą, inny zasłaniał oczy rękoma. Ze śmiechu pociekły mi łzy po policzkach i po Hello Kitty, która przesunęła się trochę podczas robienia pompek. Bolał mnie brzuch i było mi niedobrze od zbyt wielkiej ilości kwaśnego australijskiego wina.

Z perspektywy czasu przyznaję, że był to najśmieszniejszy wieczór, jaki przeżyłam w Chinach.

Anglia wygrała z resztą świata dwa do zera.

Ciepłe uczucie

Żadna droga nie jest dłuższa niż droga od głowy do serca.

Szanghaj się zmieniał. Miasto przybierało zimową szatę. Psy, w przeważającej większości pekińczyki o płaskich pyskach albo trzęsące się chihuahua, nosiły dziergane sweterki, kolorystycznie dobrane do ubrań właścioielek (każdy przyzwoity szanghajski kundel ma przynajmniej trzy różne stroje na zmianę). Kioski na kółkach, które zazwyczaj sprzedawały wiatraczki, szczotki klozetowe, klamerki do bielizny, pistolety na bańki mydlane i cały ten kram, przestawiły się na artykuły zimowe. W ofercie miały ubranka dla psów, pluszowe nakładki na muszle klozetowe, ocieplane ogrzewacze na nogi, które mocowano rzepami do spodni (noszą je wszyscy jeżdżący na motorowerach i rowerach elektrycznych), ocieplane rękawiczki dla kierowców i chroniące twarz materiałowe szmatki we wszystkich kolorach i kształtach: z falbankami oraz bez, z naszytymi misiaczkami, z koronkowym brzegiem, strasowymi aplikacjami lub napisami, na przykład *I love cookies*, „Kocham ciastka”, albo *Cute Babe*, „Słodkie maleństwo”. Xiao Chen wytłumaczyła mi, że w ten sposób chroni się usta od zimna i broni przed przeziębieniem oraz wirusami. Któregoś razu zatrzymała się koło mnie na świetłach starsza pani w przerobionym na wózek inwalidzki rowerze z czasów powojennych. Jej twarz osłaniała szmatka w kolorze bzu ze złotym napisem *Give me sugar*, „Daj mi cukier”. Patrząc natomiast na niektóre kobiety, podejrzewałam, że zdobiły swoje twarze koronkowymi majtkami, które po prostu spinały za uszami.

Kto nie mógł sobie pozwolić na rękawiczki czy ochraniacze na spodnie lub nie chciał ich kupować, mocował do kierownicy za pomocą taśmy do pakowania specjalnie przyciętą torebkę na śmieci. Miałam zresztą nieodparte wrażenie, że Chińczycy są uzależnieni od takich wynalazków. Niektóre motorowery i rowery elektryczne były tak owinięte paskami taśmy, że nie dało się określić, jaki miały kolor. Przypuszczałam, że bez tych skalających elementów reflektory, hamulce i wszystko inne odpadłoby od korpusu. Klimatyzacja montowana na ścianach też trzymała się na taśmie do pakowania, podobnie jak sprzęty dla dzieci w parkach. Chińczyk, który produkował taśmę, musiał być milionerem.

Wielu handlarzy sprzedawało noworoczne talizmany. Tym razem były to wszelkiego rodzaju wizerunki wołu – dorosłych zwierząt lub młodych, stojących albo leżących, ze złotymi dzwonekami lub na baterie, czyli biegających albo śpiewających... Szczur, który panował nad kończącym się rokiem już się zużył. Niedługo mieliśmy wejść w czas wołu. Właściwie szkoda, bo słowo określające szczura było łatwe do zapamiętania – *wuzi* jak bawarski *Wuzerl*, czyli pulchniutkie dziecko, pulpecik, albo wręcz *Wuzi*, myszka. Teraz czekał nas znacznie trudniejszy do wymówienia rok *jichou*.

Christine, opiekunka Amélie, podarowała nam czerwonego pluszowego bawoła, a od Fanga dostaliśmy czerwony chiński węzeł, rodzaj makramy, który zawiesiliśmy nad drzwiami. Właściciel domu przysłał nam trochę pomalowanych na czerwono rac z plastiku, no i kilku wołków roboczych, którzy właśnie próbowali poskładać naszą skrzynkę telefoniczną.

Kolor czerwony był ważny – oznaczał szczęście, przyjaźń i dobrobyt. Poza tym przepędzał potwora Niana, który w wigilię chińskiego Nowego Roku schodził z gór i pożerał ludzi, zaspokajając swój głód. Stwór bał się tylko czerwonego koloru i hałasu. Stąd petardy oraz czerwone tkaniny i wstążki zawieszane w domach. W prezencie dawano w tym czasie czerwone majtki, a dla siebie kupowano czerwone buty, w których miano dodreptać do pomyślności.

Firmowy sklep Pумы na ulicy Nanjing sprzedawał nawet limitowane czerwone chińskie noworoczne trampki. W nich zapewne szybciej osiągnano szczęście.

W tym czasie w Carrefourze wszystkie kasjerki nosiły czerwone wdzianka. Było to mniej upokarzające niż czapki świętego Mikołaja u pracowników Starbucksa w Boże Narodzenie. Nawet w piżamie zdobionej wizerunkami pierdzących psów, misiami, teletubisiami lub myszkami Diddl, każdy Chińczyk miał w sobie więcej godności i wdzięku niż w czerwono-białej spiczastej czapce na głowie. Właśnie wtedy przeczytałam, że w dzielnicy Rixin na północy Szanghaju ruszyła kampania przeciwko wychodzeniu w piżamie z domu. Chciano skończyć z nielubianą, zacofaną tradycją z czasów pierwszej reformy ekonomicznej. Ludzie byli wówczas tak dumni, że mogą sobie pozwolić na specjalny ubiór do spania, że wychodzili w nim na ulice, by pokazać wszystkim swoją zamożność. A ponieważ piżamy były też wygodne, zaczęto je nosić przez cały dzień. Nie od dziś wiadomo, że Chińczycy to naród praktyczny.

Planowano już kolejną kampanię. Tym razem na rzecz niewyrzucania śmieci przez okno. Powinnam o tym opowiedzieć naszej sąsiadce z naprzeciwka, ale by to zrobić, potrzebowałam pomocy swojej nauczycielki chińskiego. Tymczasem nie była ona w szczególnie dobrym nastroju. Miała wprawdzie nowy nos, który wyglądał jak nos wszystkich spikerek wiadomości w CCTV, ale nie pozbyła się frustracji. Za kilka miesięcy czekał ją dyplom na uniwersytecie, a na horyzoncie żadnej pracy. Wysłała już pięćdziesiąt podań. Na jednej z rozmów kwalifikacyjnych na asystentkę zarządu przyszedł szef zapytał ją, czy podczas podróży służbowych zgadza się spać z nim w pokoju, oczywiście ze względów oszczędnościowych. Na innej rozmowie, tym razem w firmie ubezpieczeniowej, została zmuszona (wraz ze stu pięćdziesięcioma innymi osobami ubiegającymi się o pracę) do podpisania polisy, takiej samej, którą miałyby później sprzedawać.

Kryzys gospodarczy przyszedł wcześniej niż wół i widać nie udało się go odstraszyć czerwonym wystrojem. W ciągu sześciu tygodni tylko na naszej drodze do przedszkola zlikwidowało się sześć biznesów – architekt wnętrz, antykwariusz, kawiarnia oraz trzy butiki. Na wystawie sklepu z jadeitową biżuterią i rzeźbami w drewnie powieszono natomiast wielki własnoręcznie namalowany szyld: *Financial Crisis Clearance*. Coffee Tree zamknęła jedną z filii, a porcję mięsno-imbrowych kuleczek zmniejszyła z sześciu do czterech, w zamian zostawiając tę samą cenę. Zmiany zaszły też w przedszkolu Amélie – jedno przyjęcie pożegnalne goniło drugie. Zagraniczne firmy nie przedłużały umów swoim pracownikom albo rozwiązywały je przedwcześnie. Rodziny wracały do siebie, do swoich sielankowych domów i ogrodów w Amsterdamie, Chicago lub Sztokholmie, do przyjaciół i rodzin.

Kilka miesięcy wcześniej bardzo bym im tego zazdrościła. Ale po powrocie z urlopu w Niemczech, moja optyka uległa odwróceniu. Jadąc z lotniska do naszego szanghajskiego domu, mijając głośnie, mokre i brudne prowincje, widząc rowerzystów w ich żółtych, czerwonych i liliowych pelerynach przeciwdeszczowych, słysząc klaksony taksówek, zalały mnie ciepłe uczucia. Nie odeszły, gdy przejeżdżałam obok parkingowej przy Wukang Lu, która z bambusowych rurek i plastikowej plandeki zbudowała żalostną ambonę chroniącą ją przed deszczem, a nawet wzrosły, kiedy w parku Fuxing przyglądałam się emerytowi spacerującemu do tyłu i obracającemu w dłoni kule *qi gong*. Inny w tym czasie medytował, czochrając się o platan. Widząc zaś sprzedawczynię owoców grającą ze swoim synem na chodniku w podbijanie lotki, pomyślałam, że nie chcę stąd wyjeżdżać. Jeszcze nie teraz. Dopiero co polubiłam ten dziwny kraj i tych wesołych ludzi.

Wycieczka do Sheshanu

Dopiero trzy osoby czynią tygrysa.

Zaszczepiliśmy w sobie niektóre chińskie zwyczaje i większość weekendów spędzaliśmy w domu w piżamach. Któregoś dnia przez chwilę rozważałam nawet, czy w takim stroju i w chodakach Crocs nie wyskoczyć po bułki do sklepu. Powstrzymały mnie minusowa temperatura za oknem i przerażony wzrok Tobiego.

W jeden ze styczniowych weekendów postanowiliśmy jednak zobaczyć Sheshan. Około południa przyszedł Fang, wyraźnie ucieszony, bo wreszcie trafiały mu się nadgodziny i dodatkowe pieniądze. Nasz bedeker określał Sheshan jako zieloną oazę, „park narodowy z dzikim lasem bambusowym, oferujący zapierający dech w piersiach widok na jezioro Yuehu i majestatyczny łańcuch gór”. Miejsce było oddalone od centrum Szanghaju tylko o trzydzieści kilometrów. Główną atrakcją stanowiły dwa wzniesienia. Na jednym znajdował się największy kościół katolicki Dalekiego Wschodu, na drugim zbudowano kolejkę, co miało zapewniać „romantyczną przejażdżkę”.

Nasi angielscy przyjaciele byli Sheshan zachwyceni. Według nich, zostając tam na nocleg, można było spędzić cudowny weekend. Znajoma Niemka z przedszkola, kiedy wspomniałam jej o wycieczce, wykazała mniejszy entuzjazm. Skwitowała nasz pomysł krótko: „Można pojechać”. Chińskie przysłowie mówi: „Dopiero trzy osoby czynią tygrysa”. Oznacza to tyle, żeby uwierzyć w coś dopiero wtedy, gdy potwierdzą to przynajmniej trzy osoby. Postanowiliśmy pójść na kompromis i skrócić wycieczkę do połowy dnia.

Przekraczając nieco ustaloną przez państwo przeciętną prędkość jedenastu kilometrów na godzinę, pokonaliśmy trzydziestokilometrową trasę w dwie godziny. Trzy ogromne parkingi w Sheshan, każdy wielkości monachijskiej Łąki Teresy, były całkowicie puste, ale wiosną i latem wypełniały je po brzegi samochody. Amélie zabrała ze sobą swój rowerek biegowy. W Szanghaju właściwie nie mogła z niego korzystać, ale zielona oaza stwarzała odpowiednie warunki. W myślach już widziałam ją szczęśliwą, jadącą przez dziki bambusowy las. Tymczasem staliśmy bezradnie przed zardzewiałą linią kolejki linowej, która wyglądała na nieremontowaną od lat i nie budziła zaufania. Nawet Fang nie chciał do niej wsiąść (*Too dangerous*, zbyt niebezpieczne – oznajmił). Poszliśmy więc pieszo – schodami.

Po lewej i prawej stronie co pięćdziesiąt schodów ustawiono huśtawki ogrodowe, by można było odpocząć. Wokół ciągnęły się zaś suche bambusowe krzaki – ów słynny dziki las. Fang włókł rowerek Amélie na górę, ona sama natomiast, marudząc, wspinała się z kaskiem rowerowym na głowie po schodach. W prowincji Yunnan na południowym zachodzie po stopniach można wyjść aż na cztery tysiące sześćset osiemdziesiąt metrów nad poziomem morza, a idzie się po mistycznych schodach, które prowadzą aż do nieba. Te, którymi my wędrowaliśmy, doprowadzały na jakies osiemdziesiąt metrów wzwyż, ale w zupełności mi to wystarczyło.

Na szczycie wzniesienia czekało na nas kolejne zardzewiałe ustrojstwo – wieża widokowa. Zamknięta z powodu groźby zawalenia. Pobliskie drzewo zostało obwieszona setkami czerwonych wstążeczek z chińskimi znakami. Jak wyjaśnił Fang, ludzie pisali na nich, co chcieliby, żeby przyniósł im nowy rok. Tak naprawdę wstążeczki z już nadrukowanym życzeniem kupowało się w kiosku stojącym tuż obok wieży. Niestety, on także był zamknięty. Z wstążeczek wynikało, że zdecydowana większość ludzi marzyła o bogactwie, a tylko garstka o sukcesie zawodowym lub szczęściu w poszukiwaniu partnera.

Lekko spadziłą drogą potoczyliśmy się wraz z rowerkiem Amélie na drugie wzgórze. Tamtejszy kiosk był otwarty. Sprzedawano w nim kielbaski i kacze jaja marynowane w herbacie. W dolinie widać było weekendowe siedziby bogatych szanghajczyków – wille albo raczej zameczki w kolorze waniliowym, z kolumnami i dekorowanymi balkonami. Wyglądały, jakby w każdym mieszkała Myszka Miki. Wszystkie takie same i całkowicie pozbawione gustu.

Bazylika znajdowała się nieco dalej – jakieś pięćdziesiąt metrów wyżej. Dokładnie jeden procent Chińczyków było katolikami, co oznaczało około trzynastu milionów wyznawców. Każdy przynajmniej raz w życiu wyruszał na maryjną pielgrzymkę do Sheshan. Neogotycką katedrę kazał wybudować w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku portugalski misjonarz. Była olbrzymia i surowo urządzona.

Fang wolał zostać z Amélie przy kiosku. W czasach szkolnych widział St. Francis Church w Szanghaju i uznał, że jeden kościół katolicki w życiu wystarczy. My poszliśmy zwiedzać. Chińczycy kochają pielgrzymki, na szczęście jednak nie w styczniu. Kościół był pusty. Kolorowe witraże, zniszczone w czasach rewolucji kulturalnej, ze względów praktycznych zastąpiono wzorzystym szkłem hartowanym, co kojarzyło mi się z toaletami. Zamiast świec (tych nie było) zapaliliśmy lampkę elektryczną za dwa juany. Miała świecić przez trzy minuty i przynieść bogactwo.

W drodze powrotnej Amélie nagle krzyknęła:

– Kucyk! Kucyk!

Rzeczywiście, na skraju drogi stał starszy mężczyzna z jeszcze starszym kucykiem. Za dwa euro obwiał Amélie wokół pobliskiej kupy śmieci. Nasza córka była zachwycona, my zaś poczuliśmy głód. Fang zapytał o dobrą restaurację w pobliżu. Wylądowaliśmy w piwnicy hotelu czwartej klasy. Byliśmy jedynymi gośćmi, ale obsługiwało nas z piętnastu kelnerów. Dostaliśmy menu z obrazkami – kurze łapki, żaby i kijanki. Jako przysmak oferowano zupę z kaczej krwi – brązowoczarny rosół, ponoć niezwykle zdrowy.

Tobi zamówił kurze łapki. W końcu, jak zauważył, nie można mieszkać w Chinach i choć raz ich nie spróbować. Miałam inne zdanie. Poprosiłam o smażony ryż, słodkie ciastko ziemniaczane i krewetki. Rozmowa się nie kleiła. Fang był zmęczony, Tobi zajęty żuciem (obrabiał jedną łapkę pół godziny, ale za nic nie chciał się poddać), a ja przemarznięta. Siedzieliśmy z Amélie w puchowych kurtkach – restauracja oczywiście nie była ogrzewana – ale i tak okropnie marzliśmy.

Kiedy wieczorem leżeliśmy w łóżku, uznaliśmy wycieczkę za udaną. Byliśmy naprawdę zadowoleni. W Chinach człowiek nie wymaga od życia zbyt wiele.

Gong xi fa cai! Albo jak się zniechęca długonosych

Mądry wojownik ucieka zawczasu.

Tobi dostał w pracy oficjalnego maila ze zwyczajowymi noworocznymi pozdrowieniami *Gong xi fa cai!*, w dosłownym tłumaczeniu: „Wiele pomyślności w trudzeniu się, by być bogatym!”. Prawda, kogo jeszcze interesuje poczucie szczęścia albo dobre zdrowie? Chiński Nowy Rok, który zwie się tu *Chunjie* (czytaj: czündzie), Świętem Wiosny, trwa dwa tygodnie. Rozpoczyna się w drugi nów po przesileniu zimowym, czyli między styczniem a lutym według kalendarza gregoriańskiego¹⁶). W tym czasie życie pracownicze zamiera. Budowlańcy, szewcy, krawcy – wszyscy stają się nieuchwytni, a sklepy, butiki i supermarkety, zazwyczaj otwarte do dwudziestej drugiej, straszą zamkniętymi drzwiami.

16) Chiński kalendarz księżycowo-słoneczny, choć oficjalnie wycofany w 1949 roku, zachował się m.in. w obrzędowości (przyp. tłum.).

Chunjie obchodzi się bardzo hucznie, a jego świętowanie, przynajmniej dla mnie, jest połączeniem Bożego Narodzenia z Wielkanocą i sylwestrem. Rodzina spotyka się wówczas na wspólny posiłek i puszczanie fajerwerków. Przy czym spotkanie odbywa się w wiosce, skąd pochodzi ród, gdzie mieszkają rodzice, dziadkowie i krewni. Stąd tuż przed Świętem Wiosny cały naród nagle zaczyna się przemieszczać, przemierzając w tym samym czasie wzdłuż i wszerz Chińską Republikę Ludową. To, co odbywa się wówczas na dworcach można zaliczyć do kategorii cudów. Dywan utkany z ludzi przesuwa się po milimetrze do kas biletowych, a stamtąd na perony.

Podobno podczas noworocznego święta, które mieliśmy okazję obserwować, chińskie koleje przewiozły sto osiemdziesiąt osiem milionów pasażerów.

Tydzień przed Nowym Rokiem postanowiłam kupić bilety kolejowe do Hangzhou, na temat którego wszystkie dostępne przewodniki piały z zachwytem. Miasto leżało osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Szanghaju. Nie dotarłam nawet na dworzec. Tłum naciskał, pchał mnie i popychał z beznamiętną obojętnością, jakby taki stan rzeczy był zupełnie naturalny. Zdezerterowałam.

Opuszczając plac boju, natknęłam się na naszego dawnego nauczyciela języka chińskiego. Nieźle wkurzony, próbował właśnie załapać się na pociąg do Nankinu, gdzie, jeśli dobrze zrozumiałam, mieszkała siostra jego prababci ze strony mamy. Poskarżył się przy okazji, że znowu będzie musiał gęsto się tłumaczyć, dlaczego nie ma narzeczonej lub choćby potencjalnej kandydatki na nią. Jeden z jego przyjaciół tak bardzo czuł się przytłoczony takimi pytaniami, że w agencji Rent a Friend, wynajął aktorkę, która przez kilka dni miała udawać ukochaną.

Mimo to ruszyliśmy na urlop. Nieco wcześniej Tobi otrzymał od naszej agencji przeprowadzkowej maila opatrzonego nagłówkiem: *Vacation Safety during Spring Festival*, „Bezpieczeństwo wakacyjne podczas Święta Wiosny”. Zostaliśmy w nim pouczeni, co należy robić, by spokojnie spędzić ten czas. Mail brzmiał tak:

Pozwólcie pracy łagodnie dobiec końca!

Kiedy podczas świątecznych dni opuszczacie dom, odłączcie urządzenia elektryczne, wodę i gaz. Zamknijcie drzwi i okna!

Skorzystajcie z pewnych, publicznych środków transportu. Nie jedźcie własnym samochodem, jeżeli jest przeładowany albo w złym stanie! Jeśli jednak się na to zdecydujecie,

przestrzegajcie przepisów drogowych.

Jeżeli idziecie pieszo, korzystajcie z chodników i przechodźcie ulicę na światłach!

Nie objadajcie się! Oddzielajcie to, co ugotowane, od surowego. Nie dotykajcie żywego drobiu, może przenosić ptasią gripę!

Kupujcie tylko profesjonalne fajerwerki. Nie kupujcie ich zbyt wiele i nie przewoźcie w publicznych środkach transportu! Nie odpalajcie ich w śródmieściu, na zakazanych obszarach!

Nie podchodźcie za blisko rzek, placów budowy i rac!

Zatroszczcie się o odpowiedni stan siebie (do końca nie wiem, co mieli na myśli, używając sformułowania self-condition), zanim wróćcie do pracy!

Życzymy Wam i Waszej rodzinie wesołego Nowego Roku! Gong xi fa cai!

Tobi specjalnie go dla mnie wydrukował. Za jak głupich uważają Chińczycy długonosych?

Przed Nowym Rokiem Chińczycy biorą się za porządki. Nasi sąsiedzi od wielu już dni skrobali i czyścili sprzęty. W porównaniu z ich pracami wiosenne porządki w Szwabii to markowanie roboty. Wylewano wiadro za wiadrem brudu, ulica cuchnęła chlorem i środkami do szorowania. Dzwonki do drzwi świeciły wypolerowane, doniczki lśniły, nawet kraty przy bramie wjazdowej błyszcząły jakby zapowiedziano wizytę państwową. Rzeczywiście, czekano na gościa, o wiele jednak ważniejszego niż oficjele. Wraz z nowym rokiem do drzwi miało zapukać szczęście. Trzeba mu zrobić miejsce – mówili Chińczycy. Potem znowu można było pozwolić wszystkiemu obrosnąć brudem.

Nasi sąsiedzi wyrzucili przed dom stertę butów i ubrań. Mężczyzna, który zajmował się zbieraniem szmat, nie krył zadowolenia. Nie miałam pojęcia, ile dostawał za kilogram czegoś takiego w punkcie skupu, musiałam jednak przyznać, że system recyklingu funkcjonował w Chinach nadzwyczaj dobrze. Był o wiele bardziej efektywny niż w Niemczech, chociaż uchodzimy w Europie za mistrzów segregacji, myjących nawet kubki po jogurcie zanim trafią one do odpowiedniego kontenera.

W Szanghaju odbiorem posegregowanych śmieci zajmowało się blisko sześćdziesiąt tysięcy osób. Zwano ich *shou feipin*. Pracę tę wykonywali głównie bezrobotni, którzy codziennie przemierzali rowerem z przyczepką ulice miasta, dzwoniли do drzwi i odbierali bezpośrednio od mieszkańców makulaturę, szkło, plastik oraz inne wartościowe śmieci. Nie było tu specjalnych kontenerów, do których należało wrzucać posegregowane odpadki. W dodatku *shou feipin* płacił za możliwość zabrania rzeczy. Ile, to już kwestia negocjacji. Guiling, nasza pierwsza *ayi*, uwielbiała się targować o każdą torbę wypełnioną pustymi puszkami po kawie Illy. Raz zamykała triumfalnie drzwi z banknotem dziesięciojuanowym w ręku, innym razem otrzymywała marne dwa juany, w żartach wymyślając zbieraczowi. Śmieciarz odsprzedawał to, co zebrał, punktom skupu, one zaś – prywatnym firmom recyklingowym, których w Szanghaju działało co najmniej trzydzieści. Najwięcej *shou feipin* zarabiali na metalu, najmniej na tekturze. Zwykle ich tygodniowy urobek wynosił od dziesięciu do stu euro.

Przedstawicielka sąsiedztwa z okazji świętowania zafundowała sobie nową fryzurę i nowy płaszcz zimowy, a w salonie masażu naprzeciwko jeden z niewidomych masażystów zajął się wycieraniem stojaka do suszenia bielizny, jego kolega natomiast umył okna. Na Nowy Rok Xiao Chen podarowała mi sweter, a Amélie kurteczkę. Obie rzeczy zrobiła sama na drutach. Prezent najpierw bardzo mnie wzruszył, a potem zirytował. Zaraz po wręczeniu *ayi* dała nam do zrozumienia, że ona też czeka na bonus – dodatkową miesięczną pensję.

Rok wołu miał zostać przywitany stosowną ilością hałasu. Dla Chińczyków życie w ciszy było nic niewarte. Fajerwerki, obok kompasu, papieru i druku, zaliczano tu do wielkich wynalazków przodków. Chodziło przy tym nie tyle o efekty świetlne, co o ogłuszający huk.

Zrozumiałam, dlaczego małe gnojki, które bezsensownie kręciły się pod nogami, rozrywając bębunki swoimi wrzaskami, nazywano chińskimi petardami.

Noworoczny huk miał jednak cel – przepędzić potwora. Dlatego im głośniejszy, tym lepiej. Na kilka dni przed zabawą na naszej ulicy pojawił się plakat objaśniający zasady właściwego obchodzenia się z fajerwerkami. Wprawdzie nie potrafiłam przeczytać z niego ani słowa, ale obrazki mówiły same za siebie. Przed Wellington Garden, chronionym kompleksem wieżowców, w których mieszkało wielu bogatych Chińczyków, zjawiała się ciężarówka pełna rakiet i petard.

Postanowiliśmy za wszelką cenę wyjechać z miasta. Zamiast Hangzhou – Dubaj. Na lot do stolicy emiratu można było dostać bilety. W dodatku mieszkali tam nasi przyjaciele, którzy zapewniali, że powietrze ma u nich dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, a woda w basenie – dwadzieścia.

Nic niczym woły

Bawół woli świeżą trawę niż złoty złób.

Czwartego dnia Święta Wiosny około północy wylądowaliśmy z powrotem na lotnisku w szanghajskim Pudongu. Panowała śmiertelna cisza. W naszym ogrodzie leżało kilka zbłąkanych resztek rakiet i fajerwerków, ale dom stał w całości, a ulice były czyste.

Najgorsze za nami, uznaliśmy. Jednak niedługo po piątej kuliliśmy się z Tobim w łóżku, z sercami walącymi jak młotem, a Amélie zanosila się rykiem. Nie byliśmy w stanie jej usłyszeć, na zewnątrz świat eksplodował. Brzmiało to jak salwy z karabinu maszynowego i wyglądało na trzecią wojnę światową. Za oknem wybuchały rakiety, petardy rozpryskiwały się o szyby. Ulica Huai Hai jaśniała od detonacji, ściany się trzęsły. Nie mogłam tego pojąć – ludzie zerwali się z łóżka o piątej rano, tylko po to, żeby postrzelać z petard?

Jeszcze w samolocie przeczytałam, że piątego dnia Święta Wiosny czczono boga dobrobytu i bogactwa. Fetowano to przynajmniej tak głośno jak przyjscie nowego roku. Według „Shanghai Daily” tylko w Szanghaju na obchody Święta Wiosny kupowano około siedemdziesięciu pięciu milionów petard, każda za dwa juany (dwadzieścia centów), co dawało sto pięćdziesiąt milionów juanów obrotu (piętnaście milionów euro). Wydawało mi się, że połowa tych ładunków została odpalona podczas święta boga dobrobytu.

Wieczorem ogłuchłam. Amélie spała z nami. Około drugiej rano strzelanina w końcu umilkła. Powietrze nadal jednak śmierdziało, jakby całe miasto zostało spalone. Nasz oczyszczacz powietrza pracował na najwyższym poziomie. Wydobywał z siebie nieznośnie głośne dźwięki, ale i tak było to lepsze niż zatrucie się dymem.

Rano Tobi powłókł się do centrum fitness, a ja na masaż stóp. Musiałam zabrać ze sobą Amélie. Padałam ze zmęczenia, tymczasem ona była w świetnej formie. Nudziła się, denerwowała i kaprysiła. Masażystka dała jej lizaka, a ja nie zaprotestowałam. Druga położyła jej na kolanach pilota od telewizora i nawet to nie wywołało żadnej reakcji z mojej strony. Poczulałam nawet wdzięczność, że kobieta, która siedziała obok mnie, nie miała nic przeciwko programowi o olbrzymich chrząszczach, które wydawały głośne odgłosy i strzelały zielonym błotem z pistoletów laserowych do czterech maskotek olimpijskich.

Moja sąsiadka zapytała mnie zaskakująco dobrą angielszczyzną, czy podobało mi się święto noworoczne i czy przywitałam wołu kilkoma rakietami. Potrząsnęłam tylko głową, że nie. Byłam zbyt słaba, by odpowiedzieć. Jej też nieszczególnie podobał się wół, oznajmiła, nie zapowiadał dobrego roku. Dla obecnej gospodarki to wręcz katastrofa. Aby móc robić dobre interesy i osiągnąć finansowy dobrobyt, człowiek potrzebuje ognia – trajkotała – a tego żywiołu nie można znaleźć w całej mitologii wołu. Gdzie nie ma ognia, nie ma ruchu na rynku.

Wszystko było więc takie proste – zmniejszający się eksport, bezrobocie, spadające ceny nieruchomości... Wszystkiemu winny był wół.

– Chiny są bezsilne, Ameryka wcale nie szczęśliwsza. Obama tu, Obama tam. Biedaczysko – mówiła moja sąsiadka. – Jest stracony, urodził się w roku wołu, a do tego to czterdziesty czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych. Dwa razy cztery, pechowa liczba! Podwójnie pechowa – stwierdziła.

Cztery, po chińsku *si*, wymawia się tak samo jak słowo oznaczające śmierć. Dlatego w chińskich wieżowcach nie ma czwartego, czternastego, czterdziestego i czterdziestego czwartego pietra. Nikt nie kupiłby na nich mieszkania. Moja umowa na telefon komórkowy była

o połowę tańsza niż inne, bo zgodziłam się na numer, w którym trzy razy występowała cyfra cztery, a ani razu szczęśliwa ósemka. W zamian numer z sześcioma ósemkami zlicytowano w prowincji Syczuan za dwa miliony trzysta trzydzieści tysięcy juanów (około dwustu trzydziesty trzech tysięcy euro).

Włożyłam stopy do ciepłej kąpieli, zamknęłam oczy i próbowałam się odprężyć. Żuki gnojzarze nadal atakowały i skrzypiały. Obok mnie bulgotała ekspertka od wołu.

– Czy śniła już pani o jakimś wole? – zapytała. – Nie? Na szczęście, bo to nie zapowiada nic dobrego. Wół oznacza ciężką pracę. Lepiej śnić o świni. Jest leniwa i szczęśliwa – tłumaczyła.

Sama byłabym szczęśliwa, gdyby na chwilę zamilkła. Tylko jak to grzecznie powiedzieć? Kobieta chciała wiedzieć, w którym roku się urodziłam. Och, ach, w siedemdziesiątym trzecim? Wtedy wreszcie zapadła cisza. A potem usłyszałam:

– *Sorry. So sorry.* Tak mi przykro. Urodziła się pani w roku wołu.

LUTY

Wychowanie narodu na Expo

*Przypadkowo ścięto drzewo,
aby złapać wróbla.*

Wreszcie. Święto Latarni zakończyło noworoczną strzelaninę. W Pekinie spaliła się fasada prawie ukończonego Mandarin Oriental Hotel, który należał do wielkiego kompleksu nowych budynków chińskiej telewizji państwowej. Fajerwerk, który wywołał pożar, został kupiony i puszczony przez samą CCTV. Władze miasta nie zezwoliły na odpalanie sztucznych ogni w centrum ze względów bezpieczeństwa, ale zezwolenia czy prawa nikogo w Chinach nie interesują. Państwowej telewizji też nie.

Kilka lat temu w Pekinie i Szanghaju zakaz odpalania fajerwerków w wewnętrznych dzielnicach miasta został zniesiony, bo – jak uzasadniano – i tak nikt się do niego nie stosował. Pewne chińskie przysłowie, jedno z moich ulubionych, mówiło przecież: *Shang you zhengce, xia you duice*. „Na górze zajmują się polityką, na dole znajdują środek zaradczy”. Innymi słowy, na górze robią, co chcą, ale na dole też.

Na Święto Latarni w Szanghaju odpalono więc resztki petard, słychać było pojedyncze strzały. Kilka ulicznych sklepów, także nasz zaufany naprawiacz rowerów (jego stanowisko to komoda z narzędziami ustawiona na chodniku), wypuściło petardy, by obwieścić, że wrócono do pracy. Nad miastem nadal rozciągała się szara śmierdząca chmura dymu, dzień toczył się jednak normalnie.

Znów pełną parą ruszyły przygotowania do wielkiego wydarzenia – Expo 2010. Na motto światowej wystawy, która tym razem miała się odbyć w Szanghaju, wybrano słowa: *Better city, better life*, „Lepsze miasto, lepsze życie”. Hasło zdobiło wszystkie płoty placów budowy w mieście. A tych było mnóstwo. Od miesięcy kopano, przerzucano, burzono... W śródmieściu na każdym kroku można było zobaczyć niebieską maskotkę Haibao. Kształtem przypominała chiński znak *ren*, który oznaczał człowieka czy też ludzkość. Mnie figurka bardziej się kojarzyła z zębem występującym w rysunkowej reklamie pasty do zębów z lat osiemdziesiątych. Ale kto siedzi w szklarni, nie powinien rzucać kamieniem. W końcu w dwutysięcznym szóstym roku Niemcy mieli śmiejącą się gałą i pozbawionego spodni hippisowskiego lwa Goleo na mistrzostwa świata w piłce nożnej. W metrze i w taksówkach (większość taksówkarzy ma małe telewizory przyłączone do oparcia przedniego siedzenia) puszczano filmy reklamowe, w których Haibao zjeżdżał po tęczu albo skakał po całym mieście. Był wszędzie. Nie dało się przed nim uciec.

Po obu stronach Huangpu powstawał kompleks Expo. Miał zajmować obszar ponad pięciu kilometrów kwadratowych. Pracowano też nad mieszkańcami Szanghaju, wzorując się na akcjach przeprowadzanych przed olimpiadą w Pekinie. Tam każdego jedenastego dnia miesiąca uczono mieszkańców, jak w sposób cywilizowany wsiadać do środków komunikacji publicznej, tak by podczas igrzysk nie skompromitować się przed światem. Specjalni urzędnicy z czerwonymi opaskami na rękach nadzorowali ćwiczenia, ustawiając pekińczyków na przystankach autobusowych w rzędkach i zmuszając ich do porzucenia swojego ulubionego rodzaju zdobywania miejsca – walki wręcz.

W Szanghaju reedukacja na Expo też szła pełną parą. Moja nauczycielka chińskiego przetłumaczyła mi sens jednego z plakatów, które pojawiły się na mieście: „Trzeba przywitać wystawę (Expo)! Wchodzimy w świat cywilizowany! Koniec ze złymi przyzwyczajeniami!”.

A do tych zaliczono wyrzucanie śmieci przez okno, suszenie bielizny na ulicy, zastawianie chodnika przez stoiska z warzywami i owocami, ćwiczenia gimnastyczne prowadzone na drzewach oraz uciążliwy hałas powodowany przez budowy (czyżby samoironia?). O pluciu, pierdzeniu, bekaniu i chlipaniu nie było ani słowa.

Jak wyjaśniła mi to któregoś dnia nasza *ayi*, chlipanie stanowiło nieodzowną część jedzenia. Ona sama, siedząc w każde południe przy naszym stole i pochłaniając smażony makaron, tak głośno chlipała, że bez trudu słyszałam to piętro wyżej w gabinecie. Bez mlaskania jedzenie po prostu nie smakowało. Zakładałam więc, że i pierdzenie było wyrazem rozkoszy, których doświadcza się przy stole.

Do największych projektów Expo należała rozbudowa sieci komunikacji publicznej. Miasto zostało przewiercone na całej długości. Pod naszym domem również powstawała nowa linia metra. Od jakiegoś czasu byliśmy budzeni drżeniem, które przywodziło na myśl początek trzęsienia ziemi. Czasem dom chwiało się jedynie, jakby obok przejeżdżała ważąca tonę ciężarówka, kiedy indziej pod wpływem drgań łóżko przesunęło się o kilka centymetrów. Ściany trzeszczały, podłoga też, niektóre deski wyrwało z umocowania, a rysy na ścianach z dnia na dzień stawały się coraz większe. Do tego rozszczelnieniu uległy wszystkie wanny, toalety zaczęły znów przeciekać, a klamki u drzwi po kolei odpadały.

Poprosiliśmy właścicielkę domu o rozmowę. Przyszła wraz ze swoim reprezentantem i swoją *ayi*, trzema pracownikami firmy, która ponoć specjalizowała się w mokrych ścianach, mistrzem od silikonu – Mr. Zhou, i jego dwoma robotnikami, Eleanor, pośredniczką z agencji, zarządczynią domu i jej koleżanką, stolarzem, który robił kuchnię (szuflady wypadały jedna po drugiej), księgowym stolarza, technikiem od toalet i Amerykaninem, który miał tłumaczyć, a przy okazji prowadził własną firmę renowacyjną. Musieliśmy znieść z góry wszystkie krzesła, a i tak część osób stała głupawo wokół stołu.

Rozmowa była równie głośna, co fajerwerki w ostatnich dniach. Każdy wymyślał każdemu, a my nie rozumieliśmy z tego ani słowa. Po półgodzinie do dyskusji włączył się Tobi. Spokojnym, ale zdecydowanym głosem (od kiedy jesteśmy w Chinach stał się mieszanką Buddy i Wolffa z *Pulp Fiction*) zapytał, czy spotkaliśmy się tu na negocjacjach między właścicielką domu a jej robotnikami, czy też między właścicielką a nami. Ciszę, która zapadła, przerwała sama wynajmująca nam dom. Przytaknęła z zakłopotaniem, jednocześnie coś znowu bulgotając. Miły Amerykanin przetłumaczył nam to bulgotanie. W większości nie zawierało nic ciekawego, oprócz informacji, że na dwa tygodnie mieliśmy się przeprowadzić do eleganckiego apartamentu z obsługą, tak by budowlańcy mogli ostro zabrać się do roboty.

Spojrzeliliśmy na siebie z przerażeniem. Czternaście nocy na śmierdzących, twardych jak kamień materacach? O nie, dziękujemy. Właścicielka domu nie mogła zrozumieć naszego sprzeciwu albo nie chciała, a my byliśmy u kresu cierpliwości. Tak naprawdę podjęliśmy już decyzję – chcieliśmy się wyprowadzić z tej rudery. Osiem miesięcy nieustających poprawek budowlanych dużo nas nauczyło, ale mieliśmy dość. Wystarczy.

Czekało nas znalezienie nowego miejsca.

Tajny prywatny koncert

*Wszyscy ludzie są mądrzy,
jedni przed, drudzy po.*

Byłam w drodze do Xintiandi, dzielnicy zakupów i przyjemności dla nowobogackich. Miałam kupić bilety na supertajny, superekskluzywny koncert Daft Punk. Od kiedy znaleźliśmy się w Szanghaju, zostałam odcięta od zachodniej muzyki. Żadnego denerwującego radia Hamburg przy śniadaniu, żadnych kolegów na korytarzu, którzy zadbają o dostęp do „gorących kawałków”, w zamian ubóstwiany przez Chińczyków Andy Lau, gwiazda popu z Hongkongu, bez przerwy puszczały na tutejszym MTV. W przerwach między jego piosenkami kilka smutnych dziewczyn biadolących o swojej minionej miłości albo chłopcy z postawionymi włosami wdmuchujący miękko zarysowanej piękności płatki róży do ucha. Kicz nie znał granic.

Fang pokazał nam ostatnio, jak wyszukać na Baidu pliki muzyczne dostępne w Internecie za darmo (wcześniej przez kwadrans kwiczał i ryczał ze śmiechu, nie mogąc uwierzyć, że głupi Europejczycy płacą za ładowanie na iTunes), ale poza zespołami Coldplay i Killers znalazłam niewielu znanych mi wykonawców. Tym bardziej ucieszyłam się na wieść, że mój ukochany francuski duet grający elektro house zamierzał przyjechać do Szanghaju. Znajomy znajomej, który spędzał pół dnia na Facebooku, dostał tam cynk o prywatnym koncercie, który zespół miał dać w naszym mieście. Trasa nazywała się Daft Hidden 09 i była tak tajna, że o miejscu występu mieliśmy się dowiedzieć dopiero rano w dniu koncertu przez esemes. To miał być historyczny koncert.

Dwa lata wcześniej jeden z kolegów opowiadał mi o pierwszym występie Stonesów w Chinach. Ministerstwo kultury nie zgodziło się wówczas na wykonanie przez zespół pięciu piosenek: *Brown Sugar*, *Honky Tonk Woman*, *Best of Burden*, *Let's Spend the Night Together* i *Rough Justice*. Na widowni zasiedli prawie wyłącznie obcokrajowcy, których Mick Jagger przywitał słowami: „Cieszę się, że ministerstwo kultury tak dba o moralność przybyłych bankierów i ich przyjaciółek”.

Byłam podekscytowana i jednocześnie rozpierała mnie duma. Po ośmiu miesiącach w obcym mieście znalazłam się w tajnej lidze – nieźle. Stałam w kolejce przed małym biurem, w którym dwaj Chińczycy prowadzili sprzedaż dwóch tysięcy biletów, każdy za pięćset juanów (pięćdziesiąt euro). Razem ze mną przestępowali z nogi na nogę Chińczycy, w zdecydowanej mniejszości – jakieś trzydzieści procent stojących, i długonosi różnej maści. Wszyscy czuli się prawie tak samo ważni jak ja.

Dwadzieścia minut później pod tłumek podjechały trzy wozy policyjne na sygnale. Tuzin gwizdków wpadł w kolejkę. Wywrzeszczano komunikat, którego nie rozumiałam. Inni powiedzieli mi jednak, że biuro zostaje zamknięte, a wszyscy mają się rozejść. Rozczarowana wezwałam taksówkę (podobnie jak stu innych wzburzonych Francuzów w tenisówkach) i wróciłam do domu z niczym.

Następnego dnia przeczytałam w „Shanghai Daily”, że „tysiące szanghajskich fanów muzyki dało się nabrać oszustom. Dwóch mężczyzn, prawdopodobnie jeden Francuz i jeden Szwajcar, wymyślili cały cyrk z tajemnicą i wcielili pomysł w życie na najwyższym stopniu profesjonalizmu. Agent zespołu Daft Punk Peter Elliott potwierdził, że duet nie planował w dwutysięcznym dziewiątym roku żadnych koncertów”.

Musiałam sprostować swoje mniemanie. Po ośmiu miesiącach w Szanghaju wciąż

wychodziłam na głupka.

O miłości i pieniądzu

Każdego ranka człowiek doprowadza do porządku swoje włosy, ale nie serce.

Walentynki. Nie zauważyłabym tego święta, gdyby nie cena kwiatów. Kupowałam je często w jednej z moich ulubionych kwaciarni i nagle musiałam zapłacić pięć razy więcej niż zwykle. Zapytałam sprzedawczynię, skąd ta zmiana ceny. Dlaczego kwiaty lotosu, które tydzień temu kosztowały jedno euro, teraz sprzedawane były za pięć?

– Dzień zakochanych – odparła.

Jasne, byliśmy przecież w stolicy kapitalizmu, gdzie popyt określał cenę. Chińczycy mieli wprawdzie swoje własne walentynki – *qixi*, obchodzone siódmego dnia siódmego miesiąca księżycowego, ale zachodnie święto uznawane było za nowocześniejsze i elegantsze. Każdy mężczyzna w Szanghaju, który nie przekroczył trzydziestki i miał dziewczynę, rezerwował tego dnia stolik w modnej restauracji i kupował naręcze kwiatów – najchętniej róże zapakowane pojedynczo w ukochanym kolorze swojej miłości. Tego dnia ulice zdobiły cuda techniki z tiulu i bibuły, w których tkwiły różnokolorowe kwiaty. Kupowano też różowe miniatury misie, różowe róże z marcepanu oraz czekoladowe cukierki opakowane w różowy błyszczący papier.

Na walentynki Fang zarezerwował stolik w Pizza Hut i kupił swojej dziewczynie tabliczkę zachodniej czekolady. Tobi i ja postanowiliśmy natomiast wybrać się do restauracji sushi za rogiem.

– To będzie osiemdziesiąt juanów – powiedziała kobieta przy telefonie, która przyjmowała ode mnie rezerwację.

– Ile?

– Mamy walentynki.

– Wiem, ale chciałam zarezerwować tylko stolik.

– Stoliki są tylko z bukietem. Kosztują osiemdziesiąt juanów.

– Jakie kwiaty?

– Różowe.

– Nie lubię różowych.

– Nie ma kwiatów, nie ma rezerwacji.

Poddałam się. Przy wejściu do restauracji wisiało olbrzymie serce z płatków róż, z głośników zaś dudniła, nie do uwierzenia, Sarah Connor. W recepcji zażądano od Tobiego, by od razu zapłacił osiemdziesiąt juanów. Następnie rzucono nam na ladę zawinięty w gazetę zwiędły bukiet kwiatów. Podobna wiązanka walała się na co drugim knajpowym krześle.

Poprosiłam kelnerkę o trochę wody do kwiatów.

– *Cannot*. Nie mogę – usłyszałam. A zaraz potem: – *Wait a moment*. Proszę chwilę poczekać.

Przyniosła niebieskie plastikowe wiaderko, które szybko wpakowaliśmy pod stół. Królowało specjalne V-Day Menu składające się z sushi z tuńczykiem i włoskiego wina amore. Na zewnątrz przed restauracją uformowała się kolejka par, które najwidoczniej nie chciały zarezerwować zwiędłego bukietu, a teraz czekały cierpliwie na stolik. Kobiety były niezwykle wystrojone, prawie wszystkie dźwigały olbrzymie misie albo pracochłonną aranżację kwiatową. Większość mężczyzn miała na sobie różową koszulę i biały garnitur do tego. Cóż to był za widok!

Przy stoliku obok nas siedział Amerykanin w okularach typu Woody Allen i ładna Chinka, która doskonale mówiła po angielsku. W Szanghaju widok mieszanych par nie należał do rzadkości, zawsze była to jednak kombinacja mężczyzny z Zachodu i tutejszej dziewczyny, nigdy odwrotnie. Stop, znalazłam jeden wyjątek – niemiecką matkę, która miała romans ze swoim chińskim osobistym trenerem. Ale to niespotykane odstępstwo od obowiązującego schematu.

Mężczyźni z Zachodu byli tu zawsze pożądanym łupem, nieważne jak starzy albo grubi, czy ładni, czy brzydki. Jeszcze bardziej pożądanymi byli tylko Chińczycy, którzy dorastali za granicą i mieli zagraniczny paszport – wiązało się z nimi mniej problemów kulturowych. Przed Sashą, nadzwyczaj nędzną zagraniczną budą, w której grano muzykę rockową z lat dziewięćdziesiątych, co wieczór tłum chińskich dziewczyn czatował na swoją szansę. Miały nadzieję, że złapią kowboja i pozostaną w siodle przynajmniej kilka rundek. W najgorszym razie poprawią znajomość angielskiego, w najlepszym – wyjdą za mąż.

Spojrzałam na Tobiego, który właśnie nabijał pałeczką tuńczyka. Próbowałam obiektywnie mu się przyjrzeć. Sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, wyćwiczone ciało, ciemne błyszczące włosy i niebieskie oczy... Ach, był wspaniałym egzemplarzem. Nagle zdało mi się, że wszystkie Chinki gapią się na niego z pożądaniem. Te wypindrzone kurczaki, których uda mają objętość mojego ramienia, które zawsze wyglądają tak krucho, balansując na szeroko rozstawionych nogach w swoich butach na obcasach. Pewnie najchętniej zawlokłyby mnie do rowu. Co druga z miejsca zostawiłaby swojego „brązowego konia” (chińskiego męża) dla mężczyzny z Zachodu.

W Internecie od dłuższego czasu można było znaleźć tekst napisany przez jedną z chińskich studentek Jiatong University. Wywołał on niemałą sensację i zagorzałe dyskusje na forach. Większość młodych Chińczyków spędzało każdą wolną minutę, poza takimi ograniczającymi zajęciami jak spanie, jedzenie czy praca, grając on-line, czytając fora lub blogując. Co czwarty użytkownik Internetu w Chinach prowadził swój sieciowy dziennik. Dawało to niebagatelną liczbę siedemdziesięciu trzech milionów osób. Internet był jedyną platformą młodych Chińczyków, na której mogli się oni poczuć niezależni. Wstawiali zdjęcia, dzieła sztuki, występy karaoke i przedstawiali bez kontroli opinie o mężczyznach, kobietach, piłce nożnej oraz seksie (zabroniona była jedynie polityka).

Owa studentka, kapitanka grupy cheerleaderek piłki nożnej, napisała, dlaczego woli mężczyzn z Zachodu. Oto jej tekst *Why China does not have suitable men for me*, „Dlaczego Chiny nie mają odpowiedniego mężczyzny dla mnie”, w nieco skróconej formie.

Każdy człowiek ma idealne wyobrażenie własnego życia. Niektórzy marzą o tym, by zostać bohaterem, inni – żeby być bogatym albo zdobyć pozycję. Moim największym marzeniem jest wyjść za mąż za mężczyznę z Zachodu.

Niektórzy mogą mnie uważać za wulgarną albo za zdrajczynię, jestem tymczasem zwyczajną dziewczyną. Znam założenie, że dobre studia nie są tak ważne, jak dobre małżeństwo. Wyjście za właściwego mężczyznę jest obecnie ważniejsze niż wszystko inne. Niektórzy pytają jednak, dlaczego uważam, że w Chinach nie mogę znaleźć żadnego odpowiedniego mężczyzny? Wyjaśnię więc moje powody.

Usiądźcie na kanapie, na podłodze czy gdziekolwiek indziej, i posłuchajcie.

1. Chiny nie mają dla mnie odpowiedniego mężczyzny

Jestem szczególną dziewczyną. Studiuję na znanym uniwersytecie, mam świetne oceny, nie jestem jednak potworem w grubych okularach i wysokim IQ, który przez cały dzień tkwi zakopany w książkach. Mam świetną figurę, wyglądam wspaniale i umiem się kulturalnie zachować. Jestem kapitanką drużyny cheerleaderek piłki nożnej, brałam udział w różnych konkursach piękności, lubię muzykę, taniec i sztukę, pisuję od czasu do czasu do jednej z gazet. Mówiąc krótko: jestem

pod każdym względem fantastyczna.

Za jakiego mężczyznę powinnam więc wyjść za mąż? Mam wielu adoratorów, ale nie chłopaka. Większość moich przyjaciółek od dawna ma narzeczonego. Mówią o małżeństwie, dzieciach i tak dalej, o wszystkim możliwym, tylko nie o miłości. Jestem bardzo namiętna, chcę życia, które jest pełne zarówno pod względem materialnym, jak i duchowym. Przykro mi, ale tego nie zagwarantuje mi żaden chiński mężczyzna. Jasne, mogę wyjść za kolegę i nawet dostać dobrą pracę, ale czy pozwoli mi to kupić dom? Tymczasem chcę mieć olbrzymi pokój dzienny, tak wielki jak salon, w którym mogłabym spotykać się z moimi przyjaciółmi, pić dobre wino i paplać o bogu i świecie. Łazienka też musi być wielka, żeby dało się wstawić wannę dla dwóch osób, w której przy ładnej muzyce mogłabym spędzać noce z mężem.

Mężczyzna, za którego wyjdę za mąż, musi mieć przynajmniej tyle pieniędzy, by móc mi kupić samochód. Nie mam zamiaru jeździć do pracy autobusem, który w zimie przypomina zamrażalnik, a w lecie mikrofalówkę. Po kilku latach z ładnej młodej dziewczyny przeistoczę się w staruchę o ciemnej skórze. I szczerze: czy wy, chłopcy, chcielibyście, aby ładna studentka była popychana przez gównianych pracowników dniówkowych?

Nie brakuje w Chinach bogatych mężczyzn. Jednak przyjrzyjcie się: ilu z nich odniosło sukces dzięki własnym wysiłkom, swoim umiejętnościom czy swojej szczeroci? Albo są to wlokący kamienie, niedouczeni inwestorzy budowlani, albo szuflujący węgiel szefowie z Shaanxi, albo osoby skorumpowane. Nie są ani cywilizowani, ani kulturalni. Jak mam z nimi rozmawiać? Tacy ludzie uważają za sztukę to, że potrafią wymruczeć kilka linijek z angielskiej piosenki popowej. Jeżeli mają pieniądze, idą jeść, chlać, pograć albo na prostytutki.

Spokojne życie z kimś takim jest trudne. Kilku bogatych facetów przychodzi na uniwersytet. Wciskają mi wizytówki, na których widnieje nazwa ich wysokiego stanowiska urzędniczego. Jeden bogatszy i bardziej arogancki od drugiego. Niektórzy od razu proponują, bym została ich konkubina.

O mój Boże!

Może nie nazwano by mnie nadzwyczajną pięknoscią, ale jestem młoda i ponętna, przez całe lata ciężko pracowałam, żeby dostać się na elitarny uniwersytet i z tym wszystkim miałabym zostać jedynie kochanką bogatego mężczyzny?

2. Warunki życia w krajach zachodnich są lepsze

Nawet jeśli zakochałby się we mnie nadzwyczaj bogaty, elegancki młody chiński singiel, nie wyszłabym za niego. Dlaczego? Bo pragnę mężczyzny z Zachodu. Świat zachodni, który znam z telewizji i kina, jest dla mnie rajem. Posprzątane ulice, eleganckie budynki, czyste powietrze. Obojętne czy chodzi o ruchliwe wielkie miasto, czy o sielską wieś – wszystko wydaje się tam takie spokojne i harmonijne. Każdy jest uprzejmy, niezależnie czy ma uniwersyteckie wykształcenie, czy nie.

Oczywiście da się zamieszkać w Chinach w ładnej wili, ale jeśli nawet mogłabym sobie na nią pozwolić, gdzie znajdę w tym kraju świeże powietrze? Czyż nie wszędzie jest brudno, a powietrze skażone? Na terenach wiejskich jest z tym trochę lepiej, tylko kto chciałby tam mieszkać? Czy nie byłoby absurdalne, gdybym opalała się w bikini przy swoim basenie, a przed drzwiami stałoby kilku chłopów z krowim łajnem w koszach?

Powiecie, że w Tybecie powietrze jest czyste. Dziewczyna, o której mówię, nie lubi jednak życia na wysokości.

Koszty życia w Chinach są horrendalne. Wydajemy tyle pieniędzy, co Amerykanie, a zarabiamy tyle, co Afrykanie. Moi rodzice ciężko pracowali, aby pomóc mi podczas studiów. Kiedyś powinnam im się odwdziaczyć i zatroszczyć o nich, prawda? Ale nawet jeśli znajdę dobrą, poważaną pracę, czy moje zarobki na to wystarczą? Rodzice powoli się starzeją, kiedyś być może

będą musieli pójść do szpitala. Czy stać mnie będzie na zapłacenie rachunków lekarskich? Kraje na Zachodzie mają powszechne ubezpieczenia zdrowotne.

A chiński rynek pracy? Też nie ma się czym chwalić. Za każdym razem, kiedy o nim myślę, prawie dostaję zawału. Te targi, tak pełne jak plaża Omaha podczas D-Day! Jestem delikatną dziewczyną. Jak mam się przeciskać przez te śmierdzące masy?

Do najważniejszych zadań współczesnej kobiety należy przeżyć, załatwić sobie miejsce na uniwersytecie, znaleźć pracę, oszczędzić pieniądze na dom, a potem na emeryturę. Dla wszystkich tych celów musi pozwolić się traktować jak niewolnica. Czy to nie jest upokarzające?

Jeśli któraś z moich koleżanek po dyplomie nie stała się szybko starą, ciemnoskórą babcią, to tylko dlatego, że znalazła bogatego męża, któremu musiała pozwolić chodzić do restauracji, barów, burdeli i kasyn. I jeszcze udawać, że nic o tym nie wie.

Wtedy mniej się cierpi.

3. Mężczyźni z Zachodu są hojni

Lubię mężczyzn z Zachodu. Tak po prostu. Oglądałam zachodnie filmy, na przykład Rzymskie wakacje czy Przeminięło z wiatrem, już jako mała dziewczynka i mężczyźni, którzy grali w tych filmach, bardzo mi się podobali. Ich twarze były kanciaste, szczególne, przede wszystkim ze względu na oczy, długie, proste nosy i wąskie, miękkie usta.

Większość mężczyzn z Zachodu jest wysoka, w dodatku są dobrze i silnie zbudowani, wyglądają seksownie. Tymczasem przyglądam się chińskim chłopcom wokół mnie. Nawet jeśli nie zwracam uwagi na ich wąskie oczy, wciąż pozostaje do zaakceptowania ich gruby perkaty nos, wydatne wargi i ciemna skóra. Kiedy są opaleni, przypominają Afrykanów. Bardziej wykształceni wydają się chudsi i niedożywieni, ale czy będą w stanie ochronić mnie w życiu?

Czasem spotykam mężczyzn, którzy trenują mięśnie, ale zapominają przy tym, że trzeba też dbać o formę swojego umysłu. Wielu chłopców o mnie zabiega, mężczyźni proszą mnie o randkę, niewielu z nich jednak mi się podoba. Albo wyglądają jak kielki sojowe, albo jak japoński Ultraman z serialu science-fiction. Żaden z nich nie dba o swój wygląd, wielu publicznie pluje, czego nienawidzę. Tylko małe dzieci i zwierzęta sikają czy wypróżniają się na ulicy, plucie nie jest ani trochę lepsze. Mogłabym ich nazwać co najwyżej w połowie ucywilizowanymi.

Większość mężczyzn z Zachodu jest elegancko ubrana, ponieważ od dziecka otrzymują dobre wychowanie. Są w Szanghaju McDonaldy i restauracje KFC, do których często chodzę z przyjaciółmi. Wszyscy mężczyźni z Zachodu wydają się tam dobrze wychowani, przytrzymują drzwi i ustawiają się w kolejce. Chińscy mężczyźni szturmują bar i wykrzykują kelnerowi zamówienia, jakby w poprzednim życiu zostali zagłodzeni. A kiedy skończą jeść, bezwstydnie rzucają śmieci gdziekolwiek, podczas gdy ludzie z Zachodu pieczołowicie je składają i jeszcze odnoszą swoje tace. To jest po prostu inny poziom!

Do tego większość chińskich mężczyzn nie zna niezależności. Wszystko kręci się u nich wokół kobiet, które pełnią rolę superniń. Czasem mam wrażenie, że nie mają swojego ja. Kiedy wsiadają do autobusu, biją się o miejsce, tylko po to, by móc je potem zaoferować dziewczynie, choć obok stoi starszy mężczyzna lub małe dziecko. Za każdym razem za bardzo się wstydzę, żeby z takiej propozycji skorzystać. Są bezmyślni i pozbawieni charakteru, dla kobiet robią z siebie głupka, w pracy łażą wokół swojego szefa, a w domu, jeśli są żonaci, wokół żony. Na takich mężczyzn mogę tylko patrzeć z góry. Bałabym się mieć syna z takim modelowym małomieszczaninem. Która dziewczyna lubi mężczyzn bez osobowości i odwagi?

Mężczyźni z Zachodu dorastają w otoczeniu, które popiera niezależność i stanowienie o sobie. Potrafią myśleć, nie tak jak Chińczycy, którzy są podobni do papug. Weźmy moich kolegów. Jak długo rząd mówił o dobrych stosunkach Chin z Japonią, tak długo ją lubili. Jak tylko zmieniono oficjalny kurs, zaczęli na nią psioczyć. Chińczycy są pozbawieni rozumu, dają się

tresować, a uważają przy tym, że są mądrzy i potężni. Są stadem zarozumiałych małp! Znam takich wielu, o czym nie mogę powiedzieć w prawdziwym życiu, ale mogę on-line.

Wracając zaś do tematu: chciałabym wyjść za mąż za mężczyznę z Zachodu, najchętniej Amerykanina, ale i Europejczyk byłby niezły. Nie mam wielkich wymagań, nie przeszkadzałoby mi, gdyby był gorzej wykształcony ode mnie. Jest mi też obojętne, jaką miałby pracę. Czy miesięczne zarobki pomywacza w McDonald nie wynoszą ponad tysiąc dolarów? Z tego można nawet kupić samochód i dom. Wziąłabym też rozwiedzionego mężczyznę z dziećmi. Zachodnie dzieci są niezależne, nie będą musiały po nich sprzątać czy im nadskakiwać. W ostateczności wyszłabym nawet za Japończyka lub Koreańczyka. Ci przynajmniej, nie jak mężczyźni w Szanghaju, gotują dla żon. Tak czy inaczej chciałabym opuścić kraj i wyjechać na Zachód, jeśli nie dla wolności, to dla pieniędzy.

Przyznaję, jestem bardzo bezpośrednia, ale nie myślcie o mnie źle. Nie robię nikomu krzywdy, chciałabym wyłącznie lepszego życia dla siebie, materialnego i kulturalnego. Widziałam serial Gotowe na wszystko. Spokojna miejscowość, czyste ulice, eleganckie, uprzejme sąsiedztwo. To życie, którego bym chciała!

Chanel wypłwua

Chłód gasi ogień w żołądku.

Od początku zimy nasz mały pobliski sklep, który był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie sprzedawał już zimnego piwa. Ciepłe – owszem, podobnie jak ciepłą colę, co Tobiego, który po drodze do domu chętnie kupował puszkę zimnego złocistego napoju, doprowadzało do furii. Sama podczas masażu stóp dostawałam teraz gorącą wodę, a nasza *ayi* ciągle nastawiała dystrybutor wody pitnej na najwyższy stopień ogrzewania, przez co już trzykrotnie oparzyłam sobie palce.

Według medycyny chińskiej gorąca lub ciepła woda wyprowadza zimno z ciała. Nawet w lecie Chińczycy piją więc letnie napoje, a idealna temperatura odpowiada temperaturze ciała. Zimne napoje są niewskazane przez cały rok, schładzają przewód pokarmowy i utrudniają trawienie. Dla ciężarnych kobiet oraz podczas miesiączki – według naszej *ayi* – nie wchodzi w grę. Tyle w ramach wstępu.

Amélie była bardzo podekscytowana. Obiecałam jej oraz Chanel, że pojedziemy do Kidtown, jednego z tych zadaszonych rajszych placów zabaw dla dzieci. Miało to być pierwsze spotkanie dziewczynek bez mamy Chanel. Tego dnia, kiedy tylko mnie zobaczyły, od razu podbiegły do samochodu. Trzymały się za rączki i piszczwały z radości. Wcześniej przykładowie pocięłam im banany i gruszki na małe kawałki i zapakowałam do pojemników, kupiłam solone precelki bio i po butelce wody dla każdej. Po zabawie w remizie strażackiej i supermarkecie zrobiły sobie przerwę. Zjadły i się napiły, a potem poszły do zamku Lego. Miałam budować z nimi pałac królewien.

I wtedy się zaczęło. Chanel ucichła i złapała się za brzuch. Potem zwinęła się w kłębek, a ja wzięłam ją na ręce i głaskałam po plecach wraz z Amélie. Po chwili usłyszałyśmy odgłos wymiotowania. Lawina spaghetti, kawałków bananów, precelków i gruszek popłynęła na nas i błyszcząca sukienkę Chanel. Położyłam małą na podłodze i pobiegłam po torebkę, by przynieść mokre chusteczki. Wtedy przyszła druga lawina, tym razem małych mięsnych kuleczek („Mieliśmy je dzisiaj na obiad!” – zawołała Amélie). Zamek Lego wraz z wykładziną został całkowicie ubabrany. Koszmar.

Zjawiała się kierowniczką Kidtown. Spojrzała na mnie strofująco i przywołała trzy *ayi*, które wzięły się do czyszczenia, drapania i dezynfekowania. Jedna z nich popchnęła nas do łazienki, wcisnęła mi szmatkę do ręki, potem zatkała nos i zamknęła drzwi. Próbowałam zetrzeć największe kawałki wymiocin, ale ostatecznie musiałam rozebrać nas wszystkie do naga. Chanel była blada jak ściana. Ślaniała się w sposób budzący moje najgorsze obawy. Co robić? Amélie przyniosła butelkę wody, a ja wlałam w Chanel trochę płynu, żeby usunąć chociaż obrzydliwy smak. Kiedy wyglądała mniej więcej stabilnie, wezwałam Fanga, przyniosłam kurtki i zawlokłam dzieci do wyjścia. W windzie dwaj mali chłopcy, trzymając się za nosy, wołali: „Śmierdziejcie!”.

Fang czekał przy wyjściu. Przypięliśmy Chanel do fotelika i pojechaliśmy. Oczywiście utknęliśmy w korku. Jazda trwała pięćdziesiąt minut. Pięćdziesiąt długich minut i dwa kolejne ataki. Fotelik był całkowicie zarzygany, podobnie jak kocyk Amélie. Ślady wymiocin pokrywały oparcie fotela i moje ręce. Na zewnątrz lało jak z cebra, tak że nawet nie mogliśmy otworzyć okien.

Kiedy w końcu podjechaliśmy pod dom Chanel, mała spała spokojnie pośrodku tego kwaśnego smrodu. Jej mama czekała przy wejściu. Bez słowa wzięła córkę na ręce i skierowała

się do środka. Na moment odwróciła się, by zapytać:

– Dałaś jej może coś zimnego do picia?

– Hm, tak, kilka łyków wody.

Skinęła głową i powiedziała:

– Ach tak. To dlatego. Chanel toleruje tylko ciepłe napoje.

Zając i szczur przeciwko Francji

Orzeł lata sam, owce chodzą stadami.

Nie, żebym francuski supermarket Carrefour uznawała za szczególnie sympatyczny. Przyzwyczaiałam się jednak do powiązanych żółwi i żab w siatkach, które tam sprzedawano, ceniłam również znajdujący się w suterenie dział Non food, choć niektórzy Chińczycy traktowali go niczym własny salon – na przyrządach do fitnessu czytali gazety, grali w tenisa na stole do ping-ponga z wyprzedzący albo ucinali sobie drzemkę na elektrycznym fotelu do masażu.

Nie było wprawdzie szans na bliższy związek między Jia Le Fu a mną, ale kiedy niedawno go odwiedziłam, pojawiło się we mnie coś na kształt współczucia. Przed wejściem zebrała się grupka Chińczyków, którzy trzymali w rękach samodzielnie namalowane plakaty i pluli pod nogi obcokrajowcom chcącym zrobić zakupy. Na dwóch tabliczkach odczytałam hasła: „Bojkot Carrefoura!” i „Nie kupuj od złodziei!”, innych nie zrozumiałam, bo napisano je po chińsku. Przyczyną protestu była licytacja dwóch chińskich figurek z brązu pochodzących ze spadku po kreatorze mody Yvie Saint Laurentie.

Chiński rząd próbował uniemożliwić aukcję, ponieważ głowa zająca i szczura z dynastii Qing zostały niegdyś zrabowane przez francuskich i brytyjskich żołnierzy. Zażądano ich zwrotu, paryski sąd odrzucił jednak petycję pekińskiego urzędu do spraw kultury. Obie figurki zostały zlicytowane, za każdą anonimowy nabywca zapłacił piętnaście milionów siedemset tysięcy euro. Chińczycy uznali to za obrazę dla swojego narodu i narodowych interesów. Zarozumiałe grożono, że sprawa będzie miała konsekwencje dla domu aukcyjnego Christie's i jego interesów na chińskiej ziemi.

Z ankiety przeprowadzonej on-line wynikało, że niemal dziewięćdziesiąt procent Chińczyków było za zwrotem zagrabionych niegdyś skarbów narodowych. Osiem procent uważało, że rząd powinien po prostu wziąć udział w licytacji. Kilku patriotów pospiesznie wydobyło natomiast stare plakaty wzywające do bojkotu Carrefoura, które zrobili jeszcze przed igrzyskami olimpijskimi, i ustawiło się przed marketem. Patrzyli z wyrzutem, kiedy wchodziłam do sklepu. Najwidoczniej uznali mnie za żabojadkę.

Ubiegłej wiosny Carrefour po raz pierwszy znalazł się pod pręgierzem. Ponoć jego zarząd czynnie wspierał dalajlamę. Protesty przeciw chińskiej polityce w Tybecie, które odbyły się podczas przekazania pochodni w Paryżu, wystarczyły, by wprawić w ruch gigantyczną maszynę plotek i wywołać antyfrancuską falę. Fang pokazywał nam krótkie doniesienia, które rozsyłano wówczas po całym kraju esemesami, na przykład: „Jeżeli jesteś chińskim patriotą, przekaz dalej tę wiadomość rodzinie i przyjaciołom i nie kupuj w Carrefourze!”.

Zapytaliśmy, czy zastosował się do tej prośby.

– Tak, tak – odparł.

Nigdy nawet nie zastanowił się nad niedorzecznością całej historii. Szef Carrefoura José Luis Durán mógł setki razy dementować „kompletnie bezpodstawne oskarżenia”. Na nic się to nie zdało. Również Tobi próbował wyjaśnić Fangowi bezsens stawianych zarzutów.

– Zastanów się, żaden zdrowy na umyśle zarząd firmy nie miesza się do tak delikatnych kwestii politycznych, które w dodatku mogą zrujnować jego interesy.

– Tak, tak – usłyszał od Fanga, który zawsze tak odpowiadał, kiedy nie wiedział, co zrobić.

Biedak znalazł się w opałach. Czy miał się wdawać w polityczną dyskusję ze swoim

szefem? Oczywiście, że nie.

Zarząd Carrefoura znalazł wyjście z sytuacji. Protesty przyniosły sieci dwudziestoprocentowy spadek obrotów w Chinach, postanowiono więc obniżyć wszystkie ceny o pięćdziesiąt procent. Sklepy natychmiast znów się zapelniły. Pragmatyzm zawsze wygrywa z patriotyzmem.

W proteście wykupiłam całe importowane pasteryzowane mleko i opróżniłam regał z serami, wydając sto dwadzieścia euro. Tajemniczym nabywcą figurek okazał się natomiast Cao Mingchao, znany chiński handlarz sztuki. Postanowił wyświadczyć przysługę krajowi. Po zakończeniu licytacji wzbierał się przed zapłaceniem rachunku, który wysłał mu dom aukcyjny Christie's. Ponoć w patriotycznym geście. Groziły mu konsekwencje prawne, ale cel osiągnął – obie figurki z brązu pozostały w magazynie.

MARZEC

Uda się z pomocą drewnianego młotka

*Jedyną rewolucyjną siłą
jest siła ludzkiej kreatywności.*

Mieliśmy w domu pompę wodną, która włączała się po odkręceniu kurka w kranie. Pracowała tak głośno, że w salonie i w kuchni trzeba było wrzeszczeć, by się porozumieć. Od dawna już do tego przywykliśmy i automatycznie podnosiliśmy głos w tych pomieszczeniach. Pięćdziesiąt decybeli więcej i nie było problemu.

Wczoraj pompa odmówiła posłuszeństwa. Postanowiła się nie wyłączać, pracowała i pracowała, aż w szafie, w której się znajdowała, temperatura wzrosła tak bardzo, że zaczęły się topić miski. Xiao Cheng to nie przeszkadzało. Wśród smrodu palonego plastiku spokojniutko prasowała ubrania.

Mieliśmy jednak szczęście – przyszedłam do domu we właściwym momencie, inaczej całkiem możliwe, że spaliłby się cały dom. Wyjęłam rozgrzaną do czerwoności wtyczkę z gniazdka i chciałam schłodzić rękę pod zimną wodą. Kran wypuł małą żółtobrazową kropelkę cieczy.

Od dwóch dni nie mieliśmy więc wody. Nasi sąsiedzi okazali się gotowi do pomocy i pożyczyli nam różne wiadra. Mogliśmy nalewać do nich wodę z kranów znajdujących się na zewnątrz. Do spłukiwania toalet – jak znalazł. Amélie uznała to za tak zabawne, że co dziesięć minut chciała siusiu, tylko po to, żeby móc pójść po wodę i wrócić z lizakiem lub lepką cukrową laską. W podzięce posłałam sąsiadce paczuszkę niemieckich pralinek. Pokazywała je z dumą każdemu, kto akurat koło niej przechodził.

Dziwne, ale teraz, gdy postanowiliśmy się wyprowadzić, nasi sąsiedzi naprawdę stali mi się bliscy. Nawet szalony starzec, który zepsuł nam w lecie klimatyzację, od kilku tygodni przyjaźnie się uśmiecha. Nieco się wstydzę, że źle o nich myślałam. Sama nie wiem, jakbym zareagowała, gdyby w Hamburgu wprowadziła się do domu obok marsjańska rodzina.

Robotnicy, których przysłała właścicielka domu, szaleli z olbrzymim drewnianym młotem, rozwalając całą ulicę przed naszym domem. Wydawało się, że oglądamy animowany film dla dzieci, jakiś odcinek *Wickiego, syna wikingów*, w którym na scenie pojawili się silni mężczyźni z młotkiem zabawką. Metoda najwyraźniej nie należała do bardzo efektywnych. Choć wokół piętrzyły się metrowe wały asfaltu i ziemi, wody jak nie było, tak nie było. Nie rozumiałam, w czym leżał problem. Mój chiński wciąż był w powijakach. Stan wodociągu, który objawił się podczas prac wykopaliskowych, wiele jednak tłumaczył – rury były tak zardzewiałe, że właściwie nie nadawały się do użytku. Wiedziałam już, dlaczego nasza woda – a dzięki niej nasza biała bielizna – miały tak interesujący odcień wanilii.

Silni mężczyźni wydawali się bezradni. Stali wokół rowu, który wykopali, i w milczeniu do niego zaglądali. Kiedy wieczorem zegnali się z nami, Mr. Zhou, bardzo dumny, pokazał mi przepływ, który zbudowali dla nas z połączonych plastikowych węży obwiniętych taśmą klejącą. Byłam poruszona. Dobry Mr. Zhou. Nasza sąsiadka pozwoliła im podpiąć się do jej głównego dopływu wody. Chyba będę musiała wręczyć jej jeszcze większe pudełko pralinek.

Mogliśmy wziąć prysznic.

Uczcie się od towarzysza Lei Fenga!

Prawdziwa miłość jest bezinteresowna i bez żądy.

Nadszedł dzień Lei Fenga, chińskiego odpowiednika świętego Marcina. Od kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim Mao Zedong uczynił czerwonoarmistę wzorowym bohaterem bezinteresowności, żadne chińskie dziecko w wieku szkolnym nie przechodziło obok niego i jego uczynków obojętnie. Wiadomo, Chiny specjalizują się w kulcie jednostki, i nie zmienia tego nawet to, że uwielbienie dla Mao po rewolucji kulturalnej oraz innych „błędach”, które łącznie kosztowały życie siedemdziesiąt milionów ludzi, wyraźnie osłabło.

Do moich ulubionych dykteryjek o pomyłkach Mao należała ta o wróblach. W pięćdziesiątym szóstym ptaki oskarżono o wyjadanie zboża głodującemu ludowi i Mao nakazał z nimi bezwzględna walkę. Chińczycy godzinami mieli walić w garnki, uderzać pokrywkami i robić piekielny hałas, tak by szkodniki nie ważyły się nigdzie usiąść. Po pewnym czasie z wyczerpania spadały z nieba martwe. Według oficjalnych danych w samym Szanghaju w ciągu trzech dni wykończono osiemdziesiąt osiem tysięcy trzysta siedemdziesiąt jeden wróbli. Łącznie naród wytrzebił prawie dwa miliardy ptaków. Kilka lat później Chiny musiały sprowadzać wróble ze Związku Radzieckiego – owady i robactwo bez naturalnych wrogów błyskawicznie się rozmnożyły i stały plagą. Mao w końcu przyznał się do błędu i zakończył te polowania.

W przeciwieństwie do Pekinu, gdzie wizerunek Wielkiego Przywódcy w nadnaturalnej wielkości niezmiennie zdobi cesarski pałac, w Szanghaju chiński heros raczej się ukrywał. Spotkałam go tylko w restauracji – w karcie dań widniało Ulubione Danie Przewodniczącego Mao, czyli słonina ze świńskiego brzucha z fasolą. Z moją nauczycielką chińskiego tylko raz poruszyłam temat Przywódcy, a rozmowa nie należała do przyjemnych. Jeden z jej wujków, nauczyciel, stracił życie podczas rewolucji kulturalnej, kiedy trwała nagonka na intelektualistów. Chciałam dowiedzieć się o tym czegoś więcej, ale Qiuqin szybko ukróciła moją ciekawość.

– Unikaj polityki, troszcz się o karierę, nie zostawiaj nic zapisanego, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko tobie – oznajmiła.

Taką radę dali jej na życie rodzice.

Wróćmy jednak do towarzysza Lei Fenga. Urodził się w Hunanie na południu Chin w ubogiej chłopskiej rodzinie. Jego ojca zamordowali Japończycy, a matka popełniła samobójstwo – podobno z powodu molestowania przez syna obszarnika. Chłopak znenawidził burżujów, wkrótce też poświęcił się sprawie rewolucji. Został dowódcą oddziału, żył w skromnych warunkach i troszczył się o innych – oddał swoje oszczędności na ofiary powodzi, po długich marszach mył stopy towarzyszy, a w wolnym czasie cerował im skarpety... Wszystko dyskretnie, bez robienia wokół tego szumu. Mao zaczął go jednak zapraszać na wykłady, by opowiadał o swoich uczynkach i wyjaśniał powody altruistycznego zachowania („Życie człowieka jest skończone, ale służba ludziom – nieskończona”).

Feng zginął w nieszczęśliwym wypadku, przygnieciony przez drewniany maszt, który przewróciła wojskowa ciężarówka. Miał dwadzieścia jeden lat. Lepszego życia nie mógł sobie wymarzyć żaden komunista. Po śmierci jego dzienniki wydano w milionowym nakładzie. Nawet kiedy młodzi mieli już innych bohaterów – Billa Gatesa, Yao Minga czy Davida Beckhama – jego portret wisiał w prawie każdej szkole.

W latach osiemdziesiątych w dniu Lei Fenga pomagano starszym ludziom w pracach

domowych, naprawiano im za darmo rowery albo proponowano darmowe obcięcie włosów. Później chodziło już raczej o dobrowolne prace porządkowe – pozбиieranie śmieci w górach Moganshan albo sprzątanie parków i innych miejsc użyteczności publicznej. W dniu tym oddawano również krew. „Shanghai Daily”, którego regularnie czytałam, donosił na przykład o trzystuosobowej jednostce taksówkarskiej Lei Fenga w Harbin, która za cel stawiała sobie czynienie dobra. Jeden z taksówkarzy poświęcił tygodnie, aby odnaleźć klienta, który zostawił w jego wozie walizki, paszport i inne dokumenty.

Dobre uczynki stanowiły również temat mojej lekcji chińskiego. W dzień Lei Fenga Qiuqin zakomunikowała mi, że nie będzie mogła dłużej mnie uczyć. Była to niewesoła wiadomość, bo naprawdę ją lubiłam. Niemniej zniosłam ten cios ze spokojem – w Szanghaju ludzie ciągle mnie opuszczali. Najpierw *ayi*, potem pierwszy nauczyciel chińskiego, teraz Qiuqin. Tylko Fang pozostał nam wierny. Na razie.

Może to ja byłam winna, że Qiuqin rezygnowała z pracy?

– Jestem zbyt niegrzeczna? Zbyt uprzejma? A może zbyt impertynencka? – dopytywałam.

– Nie, nie. – Dziewczyna potrząsnęła głową. – Ale od maja zaczynam pracę jako asystentka marketingu, a teraz muszę oddać szpik kostny.

Rok wcześniej wpisała się na uniwersytecie na listę dawców Czerwonego Krzyża. Chętnych zawsze poszukiwano w dzień Lei Fenga. W ubiegłym tygodniu otrzymała wiadomość, że znaleziono chorą na białaczkę piętnastoletnią dziewczynę, której szpik pasował do jej szpiku. Za kilka dni miała się odbyć operacja. Nie była całkiem bezpieczna, jak wspomniała Qiuqin, no i wymagała spędzenia dziesięciu dni w szpitalu. Rodzice dziewczynki płacili za oba zabiegi, córki i dawczyni, razem czterysta tysięcy juanów (czterdzieści tysięcy euro).

Z takim samym przekonaniem, z jakim pozwoliła sobie wypchać nos koreańskim silikonem, Qiuqin postanowiła rozciąć własne plecy dla obcej dziewczynki. Nie wiem, czy byłabym do tego zdolna. Prawdę mówiąc, nigdy o tym nie myślałam. Musiałam wyglądać na zaskoczoną i zszokowaną, bo zapytała mnie, czy skontaktować ze mną Czerwony Krzyż. Nie potrafiłam się już skoncentrować.

Musiałam się zastanowić i tego właśnie się wstydziłam.

Babiwawa! Barbie zdobywa Chiny

Rynek jest polem walki.

Dorthe, Norbert i ich syn Elwin leżeli na wół żywi na naszym niewielkim, mającym tylko nieco ponad metr szerokości łóżku gościnnym. Przylecieli z Hamburga, nie spali w samolocie i walczyli ze zmianą czasu. Kiedy późnym popołudniem zaspani przywlekli się do salonu, miałam dla nich pierwszą chińską niespodziankę – zaproszenie na imprezę z okazji rozpoczęcia działalności centrum Barbie. Na Huai Hai, jednej z najbardziej znanych ulic zakupowych Szanghaju, otwierał swoje podwoje pierwszy flagowy sklep tej lalki w Chinach.

Choć Barbie była megagwiazdą w Europie, większość Chińczyków nigdy nie miała z nią kontaktu. Od kilku lat producent pięknotki – firma Mattel – próbował szczęścia na chińskim rynku, ale bez większych rezultatów. Wystarczyło spojrzeć na ofertę Children's Market (na którym sprzedaje się podróbki ciuchów i zabawek), by to sobie uzmysłwić. Jak okiem sięgnąć królowały plecaki, pluszaki, sweterki i szczoneczki zdobione podobiznami Hello Kitty, Kubusia Puchatka i Myszki Miki.

Qiuqin opowiadała mi, że jako mała dziewczynka wszystkie swoje *wawas*, lalki, nazywała Babi, obojętnie jaki miały kolor włosów, wielkość i od jakiego producenta pochodziły. Zastanawiała się, co powstanie na miejscu dotychczasowego kompleksu kinowego, który od miesięcy przykrywały różowe plany budowy. Już wiedziała – świątynia Barbie.

Miał to być wielki dzień jasnowłosej piękności w Chinach. I mały rewanż za nadszarpnięte relacje.

Kiedy w dwutysięcznym siódmym ponad dwadzieścia milionów zawierających ołów zabawek *made in China* zostało odesłanych z powrotem z powodu wymogów bezpieczeństwa, kielkująca właśnie miłość między amerykańskim koncernem Mattel a Chinami nagle się skończyła. Wprawdzie zarząd firmy starał się zrzucić winę na swój wewnętrzny oddział projektowania, a nie na chińską produkcję, ale było już za późno. Chińczycy poczuli się urażeni, uznając, że w całej tej sprawie stracili twarz.

Centrum Barbie miało osiem pięter. Nie tylko małym, ale przede wszystkim dużym dziewczynkom proponowano w nim przyjaźń z jasnowłosą lalką i jej chińską koleżanką Ling, prawdziwą szanghajską *babe* o delikatnie skośnych oczach i ciemnych włosach. By zachęcić kobiety do odwiedzin, proponowano im zarówno zakupy, jak i wizytę w Spa Barbie z zabiegami upiększającymi, miłe pogawędki w kawiarni podczas Pink Lunchu, a wieczorem imprezy w barze Barbie wraz z karaoke i DJ-em.

Szansę na to, że szanghajki polubią centrum i Barbie były spore, businesswoman paradowały przecież po mieście z torebkami zdobionymi podobizną Hello Kitty, nosiły plecaki w kształcie misiów i olbrzymie lizaki. Dlaczego miałyby nie polubić kolczyków i botek od Barbie?

Zaproszenie na przyjęcie z okazji otwarcia centrum dotarło do mnie, jak zwykle w Szanghaju, w dziwny sposób. Obowiązywał strój „elegancka czerń albo błyszczący róż”. Norbert był zbyt zmęczony, żeby protestować. Dorthe widziała tylko jeden problemem – buty. Nie miała właściwych. Elwin miał zostać wraz z Amélie pod czujnym okiem naszej opiekunki.

Wieczorem kazaliśmy Fangowi zawieźć się białym buickiem na Huai Hai Lu 550. Wejście do centrum oblegały hordy policjantów, a na chodniku wiła się półkilometrowa kolejka. Ponoć w budynku było tylu gości, że przestano wpuszczać do środka bez zaproszeń. Trzyletnia

dziewczynka, która stała blisko wejścia, tarła oczy ze zmęczenia i krzyczała:

– *Babiwawa!* Barbie lalka!

Była dziewiąta wieczór. Mocno umalowane kobiety z małymi dziewczynkami w strojach księżniczek na ręku przepychały się przez tłum. Zaciągnęły tu dzieci dla jednego gratisowego różowego lizaka.

Zamachałam zaproszeniem dla VIP-ów, a potem precyzyjnie się obok kordonu policjantów do środka. Znaleźliśmy się w Dreamlobby. Histeryczny dziewczęcy chichot, który unosił się nad naszymi głowami, zapowiadał wielkie atrakcje. Im wyżej jechało się ruchomymi schodami przez wąski, świecący na różowo tunel, tym chichot stawał się coraz głośniejszy. Był to kanał rodny, przez który należało przejść, by odrodzić się jako żywa lalka Barbie. W „urzędzie meldunkowym” dostaliśmy „paszport Barbie”, a potem precyzyjnie się przez działy ze strojami, biżuterią i akcesoriami. Minęliśmy Spa Barbie, fryzjera Barbie oraz kawiarnię Barbie i w końcu wylądowaliśmy przed wybiegiem. Chińskie modelki z ufarbowanymi na blond, spiętrzonymi efektownie włosami prezentowały modę dla nastolatek. Ochroniarz wcisnął nam do ręki jutową torbę z wizerunkiem laleczki.

Gdzie są napoje? Gdzie jest bufet?

Kiedy udało nam się stanąć przed różowym barem, od obsługującej kobiety usłyszeliśmy:

– *Only sprite and coke.* Tylko sprite i cola.

Żadnego drinka Barbietini ani Glamourpolitain – skończyły się kieliszki na koktajle.

Rozczarowani cofnęliśmy się do Spa Barbie. Przywitał nas wielki napis na ścianie: *I'm not designed to do house work.* „Nie jestem stworzona do prac domowych”. Wcześniej jakiś ochroniarz zabrał nam jutowe torby.

– *Only for shopping.* Tylko na zakupy – wyjaśnił.

Musiałam coś źle zrozumieć – mieliśmy przecież świętować, a nie kupować. Zaproszenia VIP-owskie otrzymało natomiast jakieś cztery tysiące osób.

Rozczarowani przedarliśmy się z powrotem do Dreamlobby, co trwało mniej więcej pół godziny, a później pojechaliśmy do Bundu. Trafiliśmy do jakiegoś kolejnego topowego baru – Lounge 18. Na razie było w nim pusto, najwidoczniej towarzystwo schodziło się tu później. Miła kobieta wskazała nam stolik w ciemnym korytarzu, za toaletami. Tobi się wściekł. Dlaczego akurat tu, kiedy inne stoły nie są zajęte?! Odpowiedź mogła być tylko jednak:

– *Cannot.* Nie mogę.

Kobieta opowiedziała nam kilka bezczelnych, bzdurnych historii, że inne stoły są dla sześciu osób, nie dla czterech, i tylko dla tych, którzy zamierzają tańczyć... Po piętnastominutowej dyskusji dowiedzieliśmy się, że dla lepszych miejscówek minimalna konsumpcja wynosi półtora tysiąca juanów (sto pięćdziesiąt euro). No tak, zapomnieliśmy. W barach dla bogatych Chińczyków i pijanych obcokrajowców chodzi przecież o to, by pokazać innym, że mamy szmal, że stać nas na siedzenie przy jednym z TYCH stolików.

Zdegustowany Tobi oznajmił:

– Może pani w tej pustej szopie sama chłać szampana za sto pięćdziesiąt euro. –

I odwrócił się, żeby wyjść.

Wtedy zaniepokojona kobieta powlokła się za nim i zaoferowała nam stół w sali tanecznej.

Dorthe i Norbert byli, jak sądzę, zszokowani naszym wystąpieniem w stylu władców kolonialnych. Też bym była, gdybym nie miała za sobą dziewięciu miesięcy w Szanghaju. To miasto zmieniało człowieka, czy tego chciał czy nie. Nie miało to nic wspólnego z arogancją lub brakiem szacunku, było wyrazem bezsilności i nabytego doświadczenia.

Z europejską uprzejmością w Szanghaju nie zachodziło się daleko. Kiedy grzecznie

poprosiłam naszą *ayi*, by nie parkowała roweru elektrycznego w salonie, ale na zewnątrz, przed drzwiami, uśmiechnęła się i powiedziała:

– *Cannot*. – I dodała: – Przecież ktoś może go ukraść.

Z europejską uprzejmością powtarzałam swoją prośbę przez trzy dni. A ona ignorowała mnie przez trzy dni z chińską uprzejmością i niewypowiedzianym „możesz mnie...”. Czwartego dnia spokojnie, ale kategorycznie zakomunikowałam, że wyrzucam ją z pracy, jeśli natychmiast ten pieprzony rower nie znajdzie się na zewnątrz.

– *No problem* – oznajmiła, wciąż z uśmiechem. I wypchała go za drzwi.

Była to codzienna walka o władzę. Najtrudniejsze okazywało się balansowanie na cienkiej linii zawieszanej między zdecydowaniem a pełnym szacunku wystąpieniem. Taki występ linoskoczka udawał się tylko w dobre dni, w złe, kiedy czułam się niesprawiedliwie potraktowana, sama stawałam się niesprawiedliwa. Nieraz zastanawiałam się, czy człowiek z Zachodu w ogóle jest w stanie znaleźć złoty środek w Państwie Środka.

Norbert odnalazł się na parkiecie, choć przez cały czas był spychany przez grupę tancerek go-go w pawiokolorowych kostiumach. Kiedy do niego dołączyliśmy, dziewczyny się ulotniły, by wkrótce w sukienkach w panterkę zatańczyć na barze. Brakowało tylko króla imprez Michaela Ammera albo Dietera Bohlena.

O trzeciej zadzwonił telefon. To była Christine, nasza niania. Elwin się obudził i płakał. Nie wiedział gdzie się znajdował, ani gdzie my jesteśmy, ani jakim się tu mówi językiem. Mieliśmy podobnie. Z nieczystym sumieniem popędziliśmy do domu. Znaleźliśmy go siedzącego na kolanach Christine, która nieprzerwanie głaskała go po głowie. Dzielny mały Elwin.

Księżyc dotrzymuje obietnic

*Sai Weng stracił swojego konia,
kto wie, czy nie było to szczęście.*

Amélie miała urodziny. Kończyła cztery lata. Czasami, kiedy jadąc z nią na rowerze, fotelik mocno się kołysał, ledwie mogłam uwierzyć, że wożę tak dużą dziewczynkę, czy raczej taką wielką mądralę, która mówi biegle po angielsku, a nawet poprawia moją chińską wymowę. Jeśli po dwóch latach spędzonych w Szanghaju miały nam wypaść wszystkie włosy, a płuca być czarne od pyłu – tylko dla niej jednej się to opłacało.

Od dawna łamałam sobie głowę, gdzie świętować jej urodziny. Po niemiecku – w naszym salonie, w którym kwitła pleśń, pompa wodna rdzewiała, a tynk odpadał ze ścian, czy na sposób cudzoziemców – organizując przyjęcie w jakimś dziecięcym rajku. Amélie chciała koniecznie bawić się w restauracji, tak jak jej wszyscy przyjaciele z przedszkola. Nie dało się ukryć – byliśmy długonosymi w Chinach, powinniśmy więc świętować jak oni.

O'Malley's był irlandzkim pubem, ciemną, zadymioną speluną, która kiepsko nadawała się na grę w bicie garnków, taniec z balonami i bieg z jajkami. Miała jednak bezcenną zaletę – ogród z łąką, zjeżdżalnią i dmuchanym zamkiem. A do tego frytki.

Program dziecięcych urodzin został profesjonalnie skomercjalizowany. Można było wybrać między różnymi dekoracjami (*Księżę i księżniczka*, *Wodny świat*, *Piraci*), zamówić pasujący tort, chińskich artystów estradowych i tych malujących twarze, torebki ze słodyczami dla gości oraz trzydaniowe dziecięce menu. Na życzenie wysyłano nawet zaproszenia do gości.

Próbowałam wyjaśnić skonsternowanej hinduskiej menadżerce, że tort, torebki ze słodyczami i zaproszenia przygotujemy sami. Chcieliśmy przyjść coś zjeść i pobawić się w ogrodzie. Potrząsała przez cały czas głową, a że było to hinduskie potrząsanie mogło znaczyć „tak”, „nie” albo „może”. W końcu zgodziłyśmy się na pakiet odchudzony – bez tortu, bez animatorów, w zamian z malującym twarze i dekoracjami *Księżę i księżniczka*.

Wraz z Amélie z wielkim trudem i z użyciem mnóstwa kleju zrobiłyśmy zaproszenia. Kiedy wręczałyśmy kartkę Chanel, jej mama spojrzała na nią i westchnęła:

– Och, dwudziestego pierwszego marca... – Zamilkła na chwilę i w końcu zapytała: – Czy Chanel mogłaby zaprosić kilkanaście osób i świętować wspólnie z Amélie? Ona dziesięć dni później też ma urodziny.

Tym razem to ja patrzyłam skonsternowana. Piętnastka dodatkowych dzieci. Lilly było obojętne, czy przyjęcie odbędzie się przed, czy po dacie urodzin Chanel. A dwudziesty pierwszy to – według kalendarza księżycowego – najszczęśliwszy dzień miesiąca. Chętnie zapytałabym ją, czy Księżyc przynosi wtedy również bogactwo, mogłybyśmy dobrze je spożytkować. Wciąż jednak byłam oniemiała.

Tymczasem lubiłam Lilly. Nie była żadnym diabłem od Prady, wbrew wyglądowi. Po bliższym poznaniu, kiedy człowiek nauczył się już interpretować różne rzeczy, okazywała się raczej otwartą, zabawną i mało skomplikowaną osobą. W dodatku Amélie i Chanel regularnie umawiały się na zabawę, a kiedy ostatnio moja córka przeplakała cały tydzień, bo jej mała przyjaciółka częściej bawiła się z małym Turkiem Kuzim, Lilly zaprosiła ją nawet do domu. Od tej wizyty młodszy brat Chanel – Daniel, stał się wielkim wielbicielem Amélie.

Jak w obliczu tej kielkującej wielkiej międzynarodowej przyjaźni dać dyplomatycznie do zrozumienia, że pomysł mi się nie podoba?

Musiałam mieć głupawą minę, bo Lilly oznajmiła:

– Nie martw się, zamówię dwóch animatorów więcej.

– Lilly, bardzo mi przykro, ale Tobi i ja... no, my przygotowujemy zabawy i tort sami... i nie wiem, czy dla tak wielu dzieci...

– Robicie co?

– Robimy przyjęcie sami. Bez animatorów.

– Dlaczego?

– Jesteśmy Niemcami...

– Oszaleliście?

– Wygląda na to, że tak.

Lilly trzymała się za brzuch, a lzy ciekły jej po policzkach. Ze śmiechu. Jeszcze nigdy nie widziałam jej śmiejącej się tak krzepiąco. Potem otarła policzki, poklepała mnie po ramieniu i uspokajająco powiedziała:

– Nie ma sprawy, kochana. Nie zaprosimy żadnych dodatkowych dzieci. Przyniosę tylko drugi tort urodzinowy dla Chanel, dobrze? – I poszła.

W dzień, w którym Księżyc miał nam przynieść szczęście, obudziła nas burza. Tak błyskało, że można było pomyśleć, że ktoś włącza i wyłącza światła w całym mieście. Grzmiało i lało jak z cebra. Popatrzyłam na Tobiego i wiedziałam, że w jego głowie kłębiły się te same myśli – czekały nas urodziny w zadymionym irlandzkim pubie bez dziennego światła.

Była to tylko część katastrofy. Ktoś zakręcił kurek gazu. Oznaczało to zimny prysznic, brak kawy z mlekiem i surowe jajka na bieg z jajkami. Od razu zaczęliśmy podejrzewać, że gaz to sprawka właścicielki domu, która od wypowiedzenia umowy najmu terroryzowała nas wściekłymi telefonami.

Rynek nieruchomości w Szanghaju, jak wszędzie na świecie, drastycznie się załamał, czynsze spadły o trzydzieści procent. W dodatku zagraniczne firmy masowo odsyłały swoich pracowników do domów i nie sprowadzały nowych. Część posad postanowiono obsadzić Chińczykami. Wysyłanie za granicę pracowników mających rodzinę stało się zbyt drogie. Chińczyk wykonujący pracę Tobiego, dostałby ułamek jego wynagrodzenia. Poza tym przedsiębiorstwo zaoszczędziłoby na kosztach przeprowadzki, czynszu, pieniądzu na przedszkole, ubezpieczeniu zdrowotnym, lotach do kraju i nieefektywnym kursie językowym żony.

Kiedy o tym myślałam, czułam się przybita. Nasze życie bez Szanghaju byłoby wprawdzie zdrowsze, ale o wiele uboższe. Mieliśmy szczęście. Olbrzymie szczęście.

Szczęścia nie miała natomiast właścicielka naszego domu. Szanse, że wynajmie ona ruderę innym obcokrajowcom były obecnie równe zeru. A żaden Chińczyk nie wprowadziłby się do starego szeregowca. Chyba że miałby poprzestawiane w głowie. Kto w Szanghaju czegoś się dorobił, mieszkał w Rich Gate, Hengshan No. 41 albo innej ośmiopiętrowej barokowej budowli z ochroną.

Moje współczucie dla właścicielki nie było jednak duże. Więcej, tej chciwej babie życzyłam wręcz takich kłopotów.

Obladowani radiomagnetofonem, balonami, jajkami, tortem, torebkami ze słodyczami, żelkami i słodkimi piankami ruszyliśmy przez ulewę do irlandzkiego pubu. Hinduska menadżerka zapadła się pod ziemię. Jej pracownicy w pustym, nieogrzewanym ogrodzie zimowym powiesili niedbale wykonany plakat, na którym napisali: „HAPPY BIRTHDAY AMILLY!”. Pod nim przyczepiono trzy balony i zużytą naklejkę z księżniczką całującą księcia.

Była dziesiąta czterdzieści, za dwadzieścia minut mieli zjawić się goście. Pomknęłam do baru i zapytałam, kiedy zamierzają udekorować salę. Kelner odparł: „Już gotowe” i wskazał na

plakat z naklejką. Dawno nie widziałam tak ponurego miejsca. Poza pustymi ławkami do picia piwa, tarczą do rzutek, beczką piwa i bufetem z dwiema płytami grzejnymi nic w nim nie było.

Oparłam się na barze i powiedziałam zdecydowanym głosem:

– *Cannot.*

A potem skorzystałam z jedynej skutecznej broni w takich sytuacjach – pełnego oburzenia wystąpienia w kolonialnie władczym stylu. „Nie akceptuję tego, chcę rozmawiać z menadżerką, to nie są dekoracje, to kupa gówna, za którą nie zapłacę ani centa. U nas w Europie...” – i tak dalej, i tym podobne. Dobrze poszło, byłam w formie. Od razu przybiegły trzy kelnerki, narzuciły białe obrusy na stoły, zawiesiły kolorowe girlandy, a Tobiemu, który od nadmuchiwania balonów zrobił się już niebieski, przyniosły pompkę.

Kiedy skończyłam występ, nie wiedziałam, czy mam się wstydzić, czy być z siebie dumna. Spojrzałam na Tobiego. Trzymał z aprobatą kciuk do góry. Wszystko jedno, nie mieliśmy czasu na dyplomację. Wsypaliśmy w pośpiechu żelki i cukierki do misek i postawiliśmy na stołach, zawiesiliśmy balony. Punktualnie o jedenastej, ciężko dysząc, siedzieliśmy na ławce i patrzyliśmy z wyczekiwaniem na drzwi. Przyszli niemieccy przyjaciele Amélie – Isabelle i Henri z rodzicami. I tyle. Czekaliśmy i czekaliśmy, Amélie i Isabelle kazały sobie pomalować paznokcie na żółto i namalować kwiaty na dłoniach, Henri zjadał tort czekoladowy, a ojciec Isabelle z rozpaczony sączył z Tobim guinnessa. Deszcz wciąż dudnił o szyby. Zgroza.

Za każdym razem, kiedy przechodziłam obok Tobiego, mruczał pod nosem:

– Ostatni raz organizujemy takie gówniane urodziny!

Tuż przed dwunastą pojawili się Duńczycy – Amanda i Magnus, potem David z Seattle, mały Włoch Tommaso, francuski adorator Amélie – Victor, a na koniec zapłakana Chanel wraz z Lilly. Bez tortu. Cukiernia tak szybko nie dała rady przygotować ciasta. Dzieci masakrowały więc czekoladowy wypiek Tobiego, rodzice zaś stali dookoła z kubkami kawy, marznąc i prowadząc rozmowy o niczym. Kiedy nie mogło być gorzej, zdarzył się cud, cud dwudziestego pierwszego marca – słońce przedarło się przez ciemne chmury.

Na twarzy Lilly pojawił się uśmiech.

– Widzisz? Księżyc dotrzymał obietnicy – powiedziała i radośnie mnie objęła.

– Dziękuję, Księżycu – szepnęłam cichutko.

W tej chwili zjawiała się hinduska menadżerka. Niosła frytki i pizzę. Dzieciaki były już jednak na dmuchanym zamku. Piszczwały, skakały i trajkotały.

Co mam powiedzieć?

Były to najpiękniejsze dziecięce urodziny, jakie kiedykolwiek zorganizowaliśmy.

KWIECIEŃ

Śmierć przychodzi pierwszego kwietnia

*Mędrzec traktuje życie i śmierć
jak ranek i wieczór.*

Miałam nową nauczycielkę chińskiego – An Ya (wymawia się to imię jak Anja). Pochodziła z Suzhou, przedmieść Szanghaju. Właśnie skończyła studia, nosiła staromodne okulary, miała złe zdanie o operacjach nosa, chętnie czytała „zakazane”, krytykujące reżim książki po angielsku (na przykład *Dziki labędzie: trzy córki Chin* Jung Chang, biograficzną sagę, której bohaterkami są przedstawicielki trzech pokoleń rodziny Chang), sączyła co wieczór kieliszek zagranicznego wina (ale tylko jeden i tylko kiedy była sama), nie zamawiała pizzy do domu, bo nie znosiła obcych w mieszkaniu, uwielbiała café latte i pierożki z warzywami, a nie znosiła grubych dzieci, mężczyzn z Szanghaju (zbyt miękcy) i Zachodu (żadnych włosów na głowie, w zamian na reszcie ciała) oraz szanghajskich kobiet (zbyt żądne pieniędzy). Grała w tenisa.

To wszystko opowiedziała mi na pierwszej lekcji. Na drugiej nieprzerwanie płakała. W drodze z uniwersytetu do naszego domu jeden z jej kolegów, który stał tuż obok niej na peronie, rzucił się pod pociąg metra. Zginął na miejscu, a ona widziała to z odległości dwóch metrów.

Postawiłam na stole pudełko w kształcie głowy smoka z chusteczkami higienicznymi. Trąbiła jak słoniątko i zużyła ich co najmniej pięćdziesiąt.

– Wszystko dlatego, że mamy pierwszego kwietnia – szlochała.

Początkowo uznałam te słowa za szczególnie i dziwaczny rodzaj primaaprilisowego żartu. Ona jednak machnęła ręką i wciąż płakała. Nie wiedziałam, co robić. Przyniosłam szklanek ciepłej wody i czekoladę, a potem pozwoliłam dziewczynie się wyszlochać. Po półgodzinie nieco się uspokoiła i wyjaśniła mi, o co chodzi z tym pierwszym kwietniem.

W dwutysięcznym trzecim roku pierwszego kwietnia Leslie Cheung, niezwykle popularny w Chinach piosenkarz i aktor, wyskoczył z okna Mandarin Oriental Hotels w Hongkongu. Miał czterdzieści sześć lat. Był gejem albo przynajmniej biseksualistą, z czego nigdy nie robił tajemnicy. Miliony Chińczyków czciło go do tej pory, niektórzy, jak widać, do grobowej deski. Aktor pozostawił list pożegnalny, w którym dziękował rodzinie, psychiatrze i Mr. Tongowi, swojemu przyjacielowi, za wsparcie. Jako powód samobójstwa podał depresję spowodowaną nieszczęśliwą miłością i załamaniem kariery.

Fani Cheunga, jeśli życie przyciśnie ich do muru, na datę swojej śmierci też wybierają pierwszego kwietnia.

W Chinach samobójstwa stały się problemem społecznym. Więcej młodych ludzi sama odbiera sobie życia niż traci je w wypadkach. Z danych wynikało, że co roku samobójstwo popełnia trzysta tysięcy Chińczyków. To ponad dwa razy więcej niż łącznie we wszystkich zachodnich krajach uprzemysłowionych. Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) kraj prowadził w smutnym zestawieniu największej liczby samobójstw – rocznie na sto tysięcy osób dziewięćdziesiąt dziewięć skutecznie targało się na życie.

Kiedy ostatnio pewien student rzucił się z okna na piątym piętrze szanghajskiego uniwersytetu, został bowiem przyłapany na ściąganiu, tutejszy komitet do spraw wychowania opublikował raport na temat zgonów studentów i ich przyczyn. W dwutysięcznym ósmym roku dziewiętnastu studentów popełniło samobójstwo, piętnastu zmarło z powodu chorób, dwunastu –

w wypadkach samochodowych.

Na harmonijnym społeczeństwie, które partia komunistyczna stawiała sobie za cel, pojawiła się rysa. Chińscy psychologowie i socjologowie od dawna alarmowali, że ludzie przestali sobie radzić z tempem zmian zachodzących w kraju, że byli pozostawiani sami sobie ze swoimi lękami przed bezrobociem, chorobami i samotnością. Pekin przez długie lata ignorował te problemy, w końcu jednak musiał się nimi zająć. Na razie nieśmiało. Chińskiemu Stowarzyszeniu na Rzecz Zdrowia Duchowego zlecono przeprowadzenie badań nad samobójstwami młodych osób. Wyniki wykazały, że głównymi powodami były nacisk na rezultaty i wyniki egzaminów oraz stawianie nadmiernych wymagań w szkole. Jako przykład podano wywieszanie list rankingowych obok tablic w klasach. Określały one status każdego ucznia. *Bang yi*, najlepszy w klasie, oraz *bang er*, drugi w klasie, często byli wywoływani przez nauczyciela nie po imieniu, a numerem z rankingu. Nacisk na uczniów rósł wraz z przechodzeniem do kolejnych klas, aż do decydującego dnia *gao kao*, egzaminu wstępnego. Decydował on o dalszej karierze ucznia, czy pójdzie na uniwersytet, czy nie, a tym samym przesądzał o jego przyszłości. Swoje dokładała też polityka jednego dziecka. W miastach ponad połowa jedynaków przyznawała, że żyła w samotności i z uczuciem opuszczenia.

– Był zawsze bardzo cichy – wspominała An Ya kolegę. – I był jednym z najlepszych. Uczył się dzień i noc, chciał zostać kimś szczególnym.

Przebąkiwano, że jego rodzice nie mogli już płacić za studia. Opłaty były za wysokie. Śmierć okazała się ostatnią drogą ocalenia twarzy.

Zostanie kimś szczególnym to główny cel każdego chińskiego studenta lub jego rodziców. W Państwie Środka przeciętność była zakazana. Z niej nie dało się godziwie wyżyć – konkurencja była zbyt wielka (czy też zbyt liczna). „Rodzice mają zbyt wielkie oczekiwania względem swojego jedyne dziecko, nawet jeśli go jednocześnie rozpieszczają” – zauważył pracownik Uniwersyteckiej Przychodni Psychologicznej w wywiadzie dla „Shanghai Daily”. I dodał: „Dzieci dorastają w zmiennym i kruchym środowisku emocjonalnym i nie potrafią poradzić sobie z frustracją oraz ze złymi wynikami egzaminów”.

Przypomniała mi się pewna rozmowa w przedszkolu. Ojciec jednego z dzieci z grupy Pszczółek uznał, że poziom nauki w placówce był za niski. Argumentował, że dzieci opuszczające przedszkole ledwie spełniają wymagania stawiane pierwszoklasistom w większości międzynarodowych szkół w Szanghaju. Moje odczucia były zupełnie inne, wciąż miałam w pamięci Hamburg – tam z trzylatkami nie wkuwa się alfabetu i nie liczy do stu, nie wspominając nawet o intensywnym nauczaniu nowego języka. Większość międzynarodowych szkół w Szanghaju przyjmowała jednak dzieci bogatych Chińczyków, dyrektorzy czuli się więc zobligowani do stawiania wymagań narzuconych właśnie przez nich. Wiedza, której wymagano w takich szkołach, jak i pensum nauczycieli były niewyobrażalnie wysokie w porównaniu z krajami zachodnimi.

Życie Chińczyka z dobrego domu było przesądzone od narodzin. Liczyło się jedno – nauka. Rodzice wydawali na kształcenie dzieci znaczną część zarobków. W niektórych przedszkolach już dwulatki musiały liczyć do dwustu, po angielsku i chińsku, a trzylatki – ćwiczyć pisanie, angielskie słówka i działania matematyczne. Sławny chiński pediatra, Cheng Yue, który w całym kraju prowadził sto pięćdziesiąt tak zwanych fabryk nauki, głosił pogląd, że „wczesna nauka umacnia komórki i połączenia nerwowe. To podwyższa efektywność mózgu na całe późniejsze życie”.

Sama często zadawałam retoryczne pytanie: Kiedy w Chinach dzieci mają być dziećmi? I cieszyłam się, że wybraliśmy najbardziej nieuporządkowane i wyluzowane przedszkole w mieście. Byłam przekonana, że Amélie dostanie się do szkoły nawet bez znajomości chińskich

liter. Tak jak jej mama wróci do Niemiec bez znajomości chińskiego języka. Z *hanyu*, chińskim, wciąż byłam na wojennej ścieżce. Kolejna lekcja nic w tym względzie nie zmieniła.

 Nie zapomnę jednak słowa *si*, śmierć. Krótkiego i tak bliskiego.

Pozdrowienia dla zaświatów

*Człowiek ma korzenie w swoich przodkach,
wszystkie rzeczy – w niebie.*

Od kilku dni nasz sklepik za rogiem o powierzchni czterech metrów kwadratowych miał w ofercie zabawne kartony do składania domów, bujanych foteli, samochodów i wszystkiego, co tylko możliwe. Amélie zakochała się w tych papierowych modelach, zrobiłyśmy już laptop, komórkę, porsche i bieżnię do fitnessu.

Kiedy w odwiedziny przyszły do nas Chanel, jej mama, zobaczywszy wielki zamek z papieru, zapytała zdziwiona:

– Och, też idziecie w niedzielę myć groby?

Byłam skonsternowana.

– Jakie groby?

– Przodków – odparła.

Zapadła cisza. Chcąc mi pomóc, Lily dodała znacząco:

– *Qingming*.

Znałam jedynie dworzec kolejowy, który tak się nazywał. Dla Lilly sprawa zrobiła się niezręczna, wyjąkała coś o darach ofiarnych i chciała zmienić temat.

Qingming. Qingming... W mojej głowie zapaliło się słabe światełko. *Qingming*.

No tak, oczywiście! Święto Czyste i Jasne. Niedziela zmarłych! Papierowe meble i domy, imitacje przedmiotów – telefonów komórkowych (dziewięćdziesiąt centów), stołów bilardowych (niecałe trzy euro), torebek Chanel (dwa euro) – nie były zabawkami, ale podarkami dla zmarłych, które należało spalić na cmentarzu.

– Dusze po śmierci mają te same potrzeby, co żywi ludzie. Dlatego pali się imitacje przedmiotów, które mogą im być potrzebne – wyjaśniła Lilly. – To sprawia, że są przyjaźnie nastawieni wobec żyjących potomków, na których losy wpływają.

W święto zmarłych sprząta się grobowce i płyty na urny oraz składa dary zmarłym – zostawia się owoce, kwiaty, ciastka i cukierki imbirowe, wszystko to, co za życia lubili dziadek czy brat dziadka i czego może im brakować w zaświatach. Po powitalnym pytaniu: „Jadłeś już?”, należy rzucić dwie monety. Jeżeli na jednej wypadnie awers, a na drugiej rewers, zmarły jest głodny. Lily powiedziała mi, że dla pracioci Chanel przygotowują kosteczki kurczaka na ostro z orzeszkami ziemnymi. Należy też spalić przy grobie mnóstwo złotego papieru i papierowych pieniędzy. Życie tam na górze (jak zresztą i na dole) trochę kosztuje.

Rodzina Lilly wynajęła wielki autokar, który miał zapewnić wszystkim krewnym dowóz z jednego cmentarza na drugi, od przodka do przodka. Kto nie pomaga sprzątać grobów, ryzykuje, że ściągnie na siebie gniew przebywających w zaświatach. Obrażony zmarły prawujek może sprowadzić na człowieka większe nieszczęście niż numer telefoniczny, w którym występuje mnóstwo czwórek.

W święto zmarłych Fang zawiózł nas na dworzec. Po niedzieli sprzątnięcia grobów poniedziałek był dniem wolnym. Postanowiliśmy wykorzystać przedłużony weekend i pojechać wraz z przyjaciółką Amélie – Isabelle, oraz jej rodzicami Ellen i Wolfgangiem do położonego nad Jeziorem Zachodnim, otoczonego plantacjami herbaty Hangzhou. Stare chińskie powiedzenie mówi: „W Niebie jest raj, a na Ziemi Suzhou i Hangzhou”. Chcieliśmy zobaczyć, czy nie było w tym przesady.

W gazetach pojawiły się ostrzeżenia przed utrudnieniami na drogach. Od dwóch do trzech milionów szanghajczyków, jak rodzina Lilly, miało ruszyć w drogę, by odwiedzić cmentarze w Suzhou, Ningbo albo Shaoxing. Wprawdzie tradycyjnie zmarły powinien zostać pochowany w swojej miejscowości, tylko tam bowiem ma zapewniony spokój duszy i szczęście, ale niewielu mieszkańców Szanghaju mogło sobie na to pozwolić. Z kilku powodów. Po pierwsze: brakowało miejsc. Z pięciu kilometrów kwadratowych powierzchni cmentarzy miejskich (co odpowiada mniej więcej obszarowi Expo 2010) do zagospodarowania pozostało pięć tysięcy metrów kwadratowych. Po drugie: to kosztowało. Ceny gruntu pod urny i groby były równie wygórowane, jak nieruchomości. Po trzecie: należało trzymać się zasad feng shui. Aby zmarli mogli odpoczywać w szczęściu, potrzebowali dobrze położonego grobu. Musiał być skierowany w odpowiednią stronę świata (zwykle na południe) i znajdować się na wzgórzu zacienionym piniami. Tylko wtedy przepływała przez grób największa kosmiczna energia.

Feng shui, starożytna azjatycka nauka o życiu w harmonii z otoczeniem, nie wywodziła się z cesarskiego pałacu. Początkowo chodziło o znalezienie idealnego miejsca na pochówek. Wybierano odpowiedni skrawek ziemi, określano datę i wznoszono grobowiec według skomplikowanych reguł (jin-jang z grą światła i cienia, wysokie i niskie elementy i tak dalej). Doskonałym przykładem idealnego grobowca wzniesionego zgodnie z zasadami feng shui było mauzoleum pierwszego cesarza z dynastii Qing w pobliżu miasta Xi'an. Mające ponad dwa tysiące dwieście lat, otoczone słynną Terakotową Armią, uznawane było za ósmy cud świata.

Ten kto chciałby zafundować przodkowi osiem tysięcy terakotowych strażników, musiałby być miliarderm. Za miejsce pod urnę na szanghajskim cmentarzu (groby są niemal nie do spłacenia) trzeba było zapłacić tysiąc euro. Do tego dochodziły koszty mycia zwłok (trzydzieści euro), manikiuru i pedikiuru zmarłego (piętnaście euro), wystawienia ciała (sześćdziesiąt euro) i kremacji. Roczny dochód przeciętnego chińskiego gospodarstwa domowego wynosił natomiast półtora tysiąca euro. Pogrzeb pochłaniał więc mały majątek.

Czy można się zatem dziwić, że przemysł pogrzebowy był jednym z najbardziej lukratywnych interesów w Chinach? W jednej z gazet nawet członek rządu – Lou Zhongli – skarżył się na metody stosowane przez tę branżę. „Groby potrafią być droższe niż domy, a inwestorzy z budowania cmentarzy mają wyraźnie wyższe zyski niż ze zwyczajnych nieruchomości” – mówił. W praktyce wyglądało to tak, że inwestor odkupywał od miejscowego komitetu tysiąc metrów kwadratowych ziemi za trzydzieści tysięcy euro i urządzał na niej cmentarz. Dzielił działkę na kwatery – wychodziło ich około pięciuset – i sprzedawał po tysiąc euro. Zarobek – pół miliona euro. Bez potraczeń, cmentarze w Chinach były wolne od podatków.

Zysk był tak wielki, że studenci szukający zatrudnienia marzyli o zaczepieniu się w tej branży. Kiedy Shanghai Funeral Service Center urządził targi pracy, pięć tysięcy młodych wrywało sobie czterysta miejsc jako architekci grobów, makijażyści zwłok, sprzedawcy grobowców i tak dalej. Jaka inna branża w czasie kryzysu finansowego gwarantowała zarobek między trzysta a półtora tysiąca euro miesięcznie?

Fang wysadził nas za pięćdziesięcioma taksówkami na South Railway Station. Miał czas, nie musiał czyścić grobów. W drodze na dworzec wyjaśnił nam, że od kilku lat oddaje część zmarłym przez Internet.

Aby zmniejszyć korki i utrudnienia na drodze, które zawsze pojawiały się podczas *Qingming*, rząd zaczął zachęcać obywateli do wirtualnego świętowania. Przygotował specjalną stronę internetową, na której można było okazać szacunek poległym bohaterom rewolucji, bez wychodzenia z domu. Wkrótce po uruchomieniu serwis zanotował ponad dwa miliony odwiedzin. Pojawiły się również internetowe portale oferujące zarejestrowanym użytkownikom możliwość złożenia na e-grobach e-kwiatów i odegranie pieśni żałobnej.

Dworzec był imponująco czysty i zaskakująco dobrze zorganizowany. Powietrze pachniało jednak dymem. Nic dziwnego, „Shanghai Daily” ostrzegał przed podwyższonym poziomem pyłów w powietrzu, ogniska palone na cmentarzach robiły swoje. Podczas podróży Tobi opowiadał nam, że jego pracownik – Andy, dla swojego dziadka ze strony matki zrobił z tektury sześciopiętrowy dom. Dziadek ze strony ojca musiał w tym roku zadowolić się mniejszymi prezentami, dostał podobną rezydencję już wcześniej. Konduktorka proponowała kolejne łyki tybetańskiej wody źródlanej, a my roztrząsaliśmy, czy w zaświatach da się dorobić kilka złotych papierków za podnajem.

Tobi zakumplował się z Andym już jakiś czas temu. Podczas przerw obiadowych i po pracy grywali regularnie w ping-ponga – przed kantyną znajdował się odpowiedni stół. W ostatnich tygodniach poważanie Tobiego wśród pracowników wyraźnie wzrosło, pokonał bowiem większość graczy.

– Samorodny talent – stwierdził Andy.

Chłopak miał dwadzieścia osiem lat i nosił postawione na żel włosy. Zaledwie rok wcześniej ukończył staż w firmie. Tobi uważał, że z każdym dniem stawał się bardziej otwarty i potrafił już nawet śmiać się z zachodniego sarkazmu i ironicznych uwag, co dla Chińczyków nie było takie oczywiste. Kiedy mój mąż któregoś dnia przyszedł do pracy w budrysówce od Diora, która nawet wyglądała jak oryginalna, Andy skwitował:

– *You know, Halloween is over.* Halloween już się skończył.

Po dziewięciu miesiącach wspólnej pracy chłopak znalazł w sobie tyle wiary, by poprosić Tobiego, swojego szefa, o przysługę.

– Tobias, czy nie przeszkadzałoby ci, gdybyś wymawiał moje nazwisko prawidłowo?

– Oczywiście, że nie. A co robię źle?

– Cao. Nazywam się Andy Cao. T-S-A-O, z zaśpiewem od dołu do góry – powiedział

Andy.

– T-S-A-O – powtórzył Tobi z zaśpiewem z góry do dołu.

– Znowu to powiedziałaś. *Fuck.*

– Dlaczego *fuck*? – nie zrozumiał Tobi.

– Tak, jak to wymawiasz, znaczy po chińsku *fuck*.

– Chcesz powiedzieć, że od dziewięciu miesięcy nazywam cię Andy Fuck?

– Od dziewięciu miesięcy. Właśnie tak, Andy Fuck – przytaknął Andy.

Od tego czasu Tobi ćwiczył wymawiać T-S-A-O z zaśpiewem od dołu do góry. A racząc się tybetańską wodą źródlaną, gdzieś między Szanghajem a Hangzhou, oświadczył uroczyście, że znowu zacznie brać lekcje chińskiego.

Hangzhou albo o sztuce robienia z turystów głupków

Bez oszustwa nie ma biznesu.

Przejazd pociągiem pospiesznym do oddalonego o sto siedemdziesiąt kilometrów Hangzhou kosztował nas trochę więcej niż dziesięć euro. Podróż trwała godzinę i piętnaście minut. Większość podróżnych zabrała z sobą prowiant na dwa dni. Zanim jeszcze pociąg ruszył, napelniali swoje kubki gorącą wodą z automatów i biegali z ciastem i nieokreślonymi przekąskami w plastikowych torebkach. Nastroje były świetne.

Według agencji informacyjnej Xinhua, chiński rząd przygotował już nowe plany rozbudowy kolei dużej prędkości do Hangzhou. Jazda miała trwać tylko pół godziny. Do tej pory *cixuanfu lieche*, kolej magnetyczna, prowadziła z lotniska w Pudongu trzydzieści kilometrów w głąb pustkowia. Przedsięwzięcie było w Szanghaju mocno krytykowane, odbywały się protesty, a nawet zorganizowano prawdziwą demonstrację. Trudno w to uwierzyć, ale ludzie, którzy wdychali codziennie mnóstwo pyłu i zanieczyszczeń, bali się przede wszystkim szkodliwego dla zdrowia promieniowania magnetycznego i nadmiernego hałasu.

Protesty opóźniły rozpoczęcie robót. Rząd po wewnętrznych sporach, wychodząc mieszkańcom naprzeciw, przystał na pewne zmiany w projekcie. Postanowiono zmienić przebieg linii. Spore fragmenty miały przebiegać pod ziemią, co podwoiło koszty projektu z uprzednio planowanych czterdziestu sześciu milionów euro za kilometr.

Na dworcu Hangzhou kłębiły się masy ludzi. Niewielki, ale ciągły ich strumień płynął schodami w dół, aby rozlać się w morze głów i zatrzymać. Zostaliśmy uwięzieni. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. W porównaniu z tym ulicę Nanjing w sobotnie popołudnie można było nazwać miłym deptakiem.

Cud. Masy jednak się poruszały, choć prawie niedostrzegalni, a my wraz z nimi. Wszyscy zachowywali spokój, jakby taka sytuacja była normą. Drobiliśmy do przodu, aż dworzec wypuł nas do podziemnego garażu. Tam czekał nas drugi cud – kolega z pracy Wolfganga, który zawiózł nas do hotelu.

Recepcjonistka ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy poprosiła o paszporty. Przystudiowała je po kolei od początku do końca i z powrotem, skopiowała i raz jeszcze przekartkowała, tym razem trzymając je do góry nogami. Na koniec poprosiła o opłacenie pobytu z góry, gotówką. Tysiąc juanów.

– Ile, proszę? – zapytałam.

– Tysiąc juanów. Gotówką.

– Dlaczego? – nie dawałam za wygraną. – Pokój kosztuje tylko siedemset.

– Depozyt. Za minibar.

W naszych wizach najwyraźniej umieszczono po chińsku adnotację: „Alkoholicy”.

Ellen dyskutowała z nią jeszcze chwilę, testując swoją znajomość mandaryńskiego, ale musieliśmy zapłacić.

Po zakwaterowaniu ruszyliśmy na poszukiwanie czegoś do jedzenia. Lało jak z cebra. Amélie wraz z Isabelle skakały przez kałuże.

Pomyślałam o Hamburgu i uśmiechnęłam się do siebie. W Niemczech w przeciwdeszczowej kurtce z Tchibo mogłabym łatwo zgubić Amélie w tłumie. Osiemdziesiąt procent niemieckich dzieci nosiło takie same. Za każdym razem obiecywałam sobie, że nigdy więcej nie zrobię takiego błędu i nie kupię tego, co noszą wszyscy.

Powietrze pachniało deszczem, świeżo skoszoną trawą i herbatą. Hangzhou było znane z plantacji herbacianych krzewów i herbaty Longjing. Był właśnie czas zbiorów. Na ulicach co krok spotykało się zbieraczki w gumowcach i z koszykami pełnymi jasnozielonych liści. Za tumanem kurzu, płaczącymi wierzbami i kwitnącymi wiśniami można było natomiast dostrzec zarys Jeziora Zachodniego. Widoki wspaniałe. Nawet masy ludzkie zdawały się znikać.

Ruszyliśmy w kierunku restauracji z zadaszonym tarasem. Jej stoły wyglądały jak pole bitwy, co wzięliśmy początkowo za dobry znak. Pomiędzy górami miseczek z wyłuskanymi pestkami słonecznika, resztkami jedzenia, tłumem dzbanków-termosów i napelnionych zielonym płynem szklanek do herbaty oraz walającymi się wszędzie papierosowymi petami grano w karty. Niesamowicie głośno.

Usiedliśmy.

Kelner zamiast obrusu położył na stół rozcięty worek na śmieci, a Tobiemu i Wolfgangowi ostentacyjnie podstawił pod nos menu. Po chińsku. Bez obrazków.

Nadeszło pięć minut Wolfganga. Nasz przyjaciel pogrzebał w plecaku i wyciągnął z niego zapisany drobnym maczkiem skrawek papieru. Przed wyjazdem otrzymał go od swojej nauczycielki języka. Podsunął kartkę kelnerowi, który popatrzył na nią ze zdziwieniem, a potem na zmianę potrząsał lub przytakiwał głową. Wolfgang natomiast mamrotał coś o lokalnych specjałach. Pozostały personel, któremu kelner przekazał kartkę, rozważał jej zawartość przy achach i ochach.

W końcu kelner zapytał:

– *Jirou?* Kurczak?

Wolfgang przytaknął i dodał po angielsku, bo nauczycielka zapomniała tego zapisać:

– *No bones, please.* Bez kości. – Postukał się przy tym palcami po przedramieniu i dla pewności namalował na kartce przekreśloną kość.

Kelner przytaknął, zachichotał, później głośno się zaśmiał się, a na koniec przyniósł całego kurczaka w glinianym garnku. W zupie pływała głowa, nogi i masa kości. Mimo to zjedliśmy potrawkę, a by przepłukać po niej gardło, zamówiliśmy cztery kubki herbaty. W Chinach liście parzone są w szklankach, tak że pijąc, zawsze połowę ich zjadałam albo nimi plułam.

Herbata smakowała gorzkawo, ale można się było przyzwyczaić. Najlepsze było jednak dopiero przed nami – rachunek. Czteryściec juańów za trzy kubki herbaty. Nasi sąsiedzi jednogłośnie uznali, że policzono nam pięciokrotną cenę dla długonosych. Głupio zrobiono, bo dwukrotnego czy trzykrotnego przebicia z pewnością byśmy nie zauważyli. Odjęliśmy doliczoną kwotę i wręczyliśmy kelnerowi jedną piątą sumy. Przyjął ją ze wzruszeniem ramion i słowami:

– *Wu jian bu shang.* Bez oszustwa nie ma biznesu.

Z dumnie wypiętą pierśią pognaliśmy nad brzeg Jeziora Zachodniego. Przywitał nas... tłum. Ludzie z dworca! Byli podzieleni na grupki, nosili kapelusiki – czerwone, niebieskie lub w kratkę, przypinki i chorągiewki. Przewodnicy człapali przed nimi po ścieżkach i za bardzo się nimi nie przejmowali.

Jezioro było naprawdę ładne, niezwykle romantyczne we mgle, która właśnie go otulała. Niestety, nie mieliśmy czasu, by dobrze się mu przyjrzeć, musieliśmy ratować z opresji Amélie i jej małą przyjaciółkę Isabelle – zostały otoczone przez piszczących Chińczyków z błyskającymi aparatami fotograficznymi.

Jakby tego było mało zgubiliśmy się w drodze powrotnej. Wszystkie próby złapania taksówki spaliły na panewce. Nie mieliśmy planu miasta i przez trzy godziny szamotaliśmy się w deszczu. Dzieciaki marudziły. W końcu udało nam się namierzyć hotel. Wyczerpani zamówiliśmy w barze sernik i alkohol. Byliśmy szczęśliwi – mieliśmy dach nad głową

i poradziliśmy sobie z wycieczką.

Spaliśmy od wpół do dziesiątej wieczorem do ósmej rano jak aniołki. Wolfgang i Ellen nie mieli tyle szczęścia. Wieczorem kazali dopisać swoje zamówienie w barze do rachunku za pokój. O północy zadzwoniła do nich recepcjonistka – pokój dwa tysiące sześćset osiem przekroczył wpłaconą zaliczkę, należało natychmiast dopłacić zalegającą sumę. Polecenie to polecenie. A Chiny to Chiny.

Następny dzień przywitał nas słońcem, co wszystkich wprowadziło w dobry humor. Postanowiliśmy wynająć rowery z publicznych wypożyczalni i zrobić sobie przyjemną przejażdżkę. Niestety, budynek, w którym sprzedawano potrzebne do tego karty chipowe, był zamknięty. Ellen i ja pojechałyśmy taksówką do następnego punktu sprzedaży kart. Po półtorej godzinie – wciąż stałyśmy w kolejce – zadzwoniła moja komórka. Tobi i Wolfgang informowali, że nie mogą dłużej blokować rowerów z fotelikami dla dzieci. Pobili się z dwoma Chińczykami, przyjechała policja i groziła im drewnianymi pałkami.

Cudem w następnym punkcie rowerowym udało się nam zdobyć odpowiednie wehikuły. Popedałowaliśmy przez prawie bezludne plantacje herbaciane i kunsztowne ogrody do przepelnionych ludźmi świątyń. Po drodze minęliśmy idylliczne herbaciane ogródki. Hangzhou z perspektywy siodelka wydawał się zadziwiająco bliski rajowi. Tak bliski, że postanowiliśmy wkrótce znowu do niego przyjechać.

Żmija i brudne qi

*Twarz człowieka poznajesz w świetle,
charakter w ciemności.*

Nasza przedstawicielka sąsiadów dowiedziała się skądś o naszej wyprawadźce. Chwytając swoją ostatnią szansę, wskoczyła rano, dokładnie kiedy Tobie wsiadał do samochodu, na tylne siedzenie. Zanim mój mąż pojął, co się dzieje, już paplała. Po chińsku oczywiście. Po kilku wlokących się w nieskończoność minutach Fang zlitował się nad nią i powiedział:

– *Ting bu dong*. On nie rozumie.

Nie powstrzymało to kobiety przed gadaniem. Kazała jedynie, by tłumaczył. Fang najpierw zrobił się blady, potem czerwony na twarzy i jękając się, powiedział do Tobiego:

– *This lady has a daughter. This lady thinks you are very handsome*. Ta kobieta ma córkę. Ta kobieta myśli, że jesteś bardzo przystojny.

Paplała dalej. Że szkoda, iż miał żonę, ale jej córka była bardzo ładna, dobrze do niego pasowała. Ciemne błyszczące włosy, a do tego wyższa i szczuplejsza od jego żony. Miała dobrze płatną pracę na lotnisku w Pudongu, długo mieszkała w Paryżu i płynnie mówiła po francusku i angielsku. Nie będzie miał problemów z komunikacją. Bardzo łagodna, kłótnie mu nie grożą. Kobiety z Zachodu, jak słyszała, były bardzo męczące. Czy chciałby się z nią spotkać? Zupełnie niezobowiązująco. Nie musi od razu się żenić. Jeśli nie zamierzał mnie zostawić, może przynajmniej przedstawiłby ją przyjacielowi. Miał przecież europejskich przyjaciół, prawda? Jej córka była zbyt błyskotliwa i odnosiła zbyt wielkie sukcesy, by chińscy mężczyźni nie mieli z tym problemów. Poza tym ma wyraźny pociąg do długonosych.

Dla Fanga cała ta sprawa była niezmiernie nieprzyjemna. Tobie świetnie się bawił. Wrócił do domu, trzymając się za brzuch ze śmiechu, i od razu opowiedział mi tę historię. Zaniemówiłam. Stara żmija. Guiling, nasza była *ayi*, miała więc rację, kiedy opowiadała mi o ukrywanej córce.

Ta zakłamana baba co rano witała mnie z uśmiechem od ucha do ucha, by przy nadarzącej się okazji pozbawić mnie męża! Córka wyższa i szczuplejsza od żony! Ha! Zemszczę się. Kiedy będę już wiedziała, jak.

Najpierw musiałam jednak zatroszczyć się o przeprowadzkę. Znaleźliśmy nowy dom. Jasny, ładny i – przynajmniej tak się wydawało – profesjonalnie odnowiony. Deska klozetowa, spłuczka w toalecie, ciśnienie wody i klimatyzacja zdały wszystkie nasze testy. Do tego na ścianach wisiały kaloryfery, prawdziwe ogrzewanie!

Spotkałam się też z nową *ayi* na rozmowę kwalifikacyjną. Postanowiłam razem z domem zmienić ciocię. Xiao Chen emanowała takim chłodem i tak wszystko kalkulowała, że za każdym razem mroziło mnie, gdy przechodziła przez drzwi. A kiedy ostatnio znowu potknęłam się na olbrzymim akumulatorze jej roweru elektrycznego, który ładowała w łazience, cała się zagotowałam. Do tego w cztery miesiące udało się jej przefarbować dwanaście białych koszul na szarobrązowo, a sportowe koszulki Tobiego dzięki nowoczesnej technice suszenia zamienić w ciuchy dla lalek Amélie.

Nowa kandydatka na *ayi*, którą poleciła mi jedna z matek z przedszkola, okazała się uroczą. Potrafiłam nawet, mimo szczątkowego chińskiego, zrozumieć połowę z tego, co mówiła. Po pięciu minutach pełnej uśmiechów konwersacji, usłyszałam, że niestety nie może pracować w naszym nowym domu.

- Dlaczego? – zapytałam.
- Z powodu toalety.
- Słucham?
- Toaleta jest naprzeciw drzwi wejściowych.
- I...?
- *Qi*.

Energia życiowa. Poznałam ją podczas akupunktury u doktora Ge Fu Pei. Co ona ma wspólnego z toaletą dla gości? Odpowiedziałam więc zgodnie z prawdą:

– *Ting bu dong*. Nie rozumiem.

– Dobra *qi* płynie w toalecie i jest splukiwana. Potem przez dom płynie zła *chi*. Brudna *qi*. Brudna *qi* sprawia, że wszyscy w domu są chorzy. To feng shui.

Cudownie. Umowa najmu podpisana, a my mieliśmy w domu brudną *qi*.

Na szczęście Lilly umiała rozwiązać nasz problem. Kiedy opowiedziałam jej po południu o naszej toalecie przynoszącej nieszczęście, powiedziała ze spokojem:

– Powieś po prostu lustro, zmieni bieg *qi*.

Kocham pragmatyzm Chińczyków.

Plan zawodowy dla niemowląt

Wywierć studnię,
zanim będziesz spragniony.

Zostałam zaproszona na przyjęcie urodzinowe. Venus, Chinka z kursu jogi (czasem udaje mi się dowlec na te zajęcia), w przebieralni wcisnęła mi do ręki kolorową kopertę. Była w niej karteczka ze zdjęciem niemowlaka.

– Moja córka Xiao Hui – powiedziała z dumną.

Z ust Xiao Hui wychodził dymek z napisem po angielsku: *Join my first grab!* „Przyłóż się do mojego pierwszego chwytu”. Jak to często bywa, nic nie rozumiałam. Venus musiała mi wytłumaczyć, o co chodziło z tym „pierwszym chwytym”.

W Chinach najważniejszymi urodzinami człowieka są te pierwsze, nie osiemnaste, trzydzieste czy pięćdziesiąte.

– Początki zawsze są trudne, a w Chinach od stuleci pierwsze urodziny uznawane są za pokonanie pierwszych życiowych przeszkód – powiedziała Venus. A potem dodała: – To z powodu wysokiej umieralności niemowlaków. Na wsi jest ona pięciokrotnie wyższa niż w miastach. Dlatego wierzymy, że dziecko, które przetrwa pierwszy rok, poradzi sobie z dalszym życiem.

Strach i troska o noworodka wydawały mi podobne zarówno w mieście, jak i na wsi. W Szanghaju na spacer wychodzono dopiero z niemowlakami, które skończyły cztery tygodnie. Wcześniej powietrze było dla nich za zimne, za ciepłe, za wilgotne lub za suche. Za brudne raczej nie – i tak będą musiały się do tego przyzwyczaić.

Troszczono się również o matki. Po porodzie czekał ich *zuoyuezi*, siedzący miesiąc. Rytualny czas spokoju służący rekonwalescencji. Przez cztery tygodnie młoda matka prawie nie opuszczała łóżka, jadła określone potrawy przygotowane specjalnie dla niej (między innymi tłuszcz i jajka) oraz piła zioła, którym przypisuje się zdrowotne działanie, nie dostawała nic zimnego (ani w postaci płynnej, ani stałej), nie myła włosów, nie kąpała się, a zęby czyściła od czasu do czasu. Oglądanie telewizji było zabronione, mogło to zaszkodzić oczom, tak samo jak jakakolwiek forma pracy domowej.

– To było nudne jak flaki z olejem – potwierdziła Lilly, której matka i teściowa wraz ze zwerbowaną *ayi* wprowadziły się do niej tuż po urodzeniu Chanel. – Mogłam tylko jeść i odpoczywać, nic więcej.

Wierzono, że kobietom, które nie trzymały się tych zaleceń, na starość groziły dolegliwości typu chroniczne bóle bioder lub głowy.

W dwudziestym pierwszym wieku siedzący miesiąc stał się wielkim biznesem. Specjalne agencje pośredniczyły w wynajmie *yuesao*, *ayi* specjalizujących się w pomocy podczas pierwszych dni po porodzie, inne przygotowywały i dostarczały „zdrowotne gotowe posiłki”. Były również horrendalnie drogie kliniki, czy raczej resorty, w których nadziane mamy spędzały w spokoju czas po rozwiązaniu. W „China Daily” można było przeczytać, że aktorka Bao Lei wydała czterdzieści tysięcy euro na siedzący miesiąc, który spędziła w Shanghai Xin Yue Hui Noble Yuezi Center.

Jeżeli młoda matka dobrze odpoczęła, w drugim i trzecim miesiącu mogła powoli zacząć wracać do normalnego życia, a w kolejnym – do pracy. Tylko tak długo pracodawca trzymał dla niej posadę przy pełnej pensji. Dalej o potomstwo z reguły troszczyli się dziadkowie.

Także Venus wróciła do agencji reklamowej, w której pracowała przed porodem. Na przygotowania do przyjęcia z okazji „pierwszego chwytu” wzięła dwa wolne dni. Wyjaśniła mi, że podczas imprezy nie tylko świętuje się zdrowie dziecka, maluch „chwytą” również swoje przeznaczenie, w pewien sposób określając przyszłą karierę. W Chinach życie bez planu było dozwolone tylko dla niemowląt.

Poczułam się zaintrygowana. Potwierdziłam przyjęście.

W piątkowe popołudnie z różowym błyszczącym prezentem, który robił dużo hałasu, oraz bukietem kwiatów zadzwoniłam do drzwi Venus. Mieszkała w zwyczajnym apartamentowcu dla lepiej zarabiających. Na całym pięttrze pachniało jedzeniem. Otworzyła mi radośnie. Przybyła cała jej rodzina z Pekinu, dziadkowie, ciotki, wujkowie, kilka przyjaciółek, koledzy z pracy i Hinduska z grupy jogi, która stała bezradnie w korytarzu. W kuchni rządziły dwie *ayi*, na podłodze przez tłum gości czołgał się różowy kłębuszek.

– Wzbrania się przed chodzeniem – powiedziała usprawiedliwiająco Venus.

Dałam małej szczekającego błyszczącego pudła (umiał też śpiewać), a ona, piszcząc, poradczkowała za nim.

W salonie wisiał nadnaturalnej wielkości plakat informujący o urodzeniu się Xiao Hui siódmego maja dwa tysiące ósmego roku. Było też stosowne zdjęcie – pomarszczona buzia noworodka. Mieliśmy wprawdzie dopiero połowę kwietnia, a nie maja, ale przestałam się już takim sprawom dziwić. Kogo interesował w Chinach *yangli*, kalendarz gregoriański? Większość obywateli tego kraju dostosowywała daty uroczystości do *yingli*, kalendarza księżycowego.

Po kieliszku *mautai*, chińskiej wódki ryżowej, przyszedł czas na jedzenie. Stół zastawiono mnóstwem jedzenia. Zanim jednak mogliśmy po nie sięgnąć, musiała zostać nakarmiona solenizantka. Jej wujek wybębnił na blacie fanfary, a babcia przyniosła miskę z papką jajeczno-ryżową. Na zmianę z Venus wlewały do ust Xiao Hui jedzenie. Gdy ukazało się dno, wszyscy zaczęli wiwatować.

Jedzenie na stole dymiło i wspaniale pachniało. Zauważyłam między potrawami swoje ulubione pieczone fasole i właśnie zamierzałam napełnić nimi swoją miseczkę, kiedy przyjaciółka Venus powstrzymała mnie, mówiąc:

– *First Xiao Hui*. Najpierw Xiao Hui.

Och, bardzo przepraszam! Myślałam, że pokaz karmienia już się skończył. Tymczasem mała miała jeszcze zjeść kacze jajo. Symbolizowało ono okrągłość, całość, czyli spełnione, pełne życie. Po misce jajecznej papki Xiao Hui wydawała się syta, odwróciła głowę, zaczęła płakać i solidnie odbiło się jej na babcie. Trwało z pół godziny, nim babcia z mamą wepchnęły biednej dziewczynce jajo do buzi. Tłum znowu wiwatował.

– Dobry znak – powiedziała Venus. – *She will have good life*. Będzie miała dobre życie.

Potem mąż Venus zawołał:

– *Man man chi!*

Czyli „jedzcie powoli!”, co oznacza tu „smacznego”. W Chinach jedzenie należało do ulubionych zajęć towarzyskich. Po pracy nie szło się podnosić ciężarków, ale do knajpy coś zjeść. Nie zwracano przy tym uwagi na coś takiego jak kalorie, posiłek miał „grać środek”. Na północy Chin, gdzie mieszkała rodzina Venus, witano się nawet zapytaniem: *Chi fan le ma?*, „Już jadłeś?”. Kto się spieszył, odpowiadał, że tak.

Były *jiaozzi*, pekińskie pierożki, krewetki, kurze udka i łapki oraz *mapo doufu*, w tłumaczeniu: „pani Tofu o dziobatej twarzy”, specjalność *ayi* z Syczuanu – potrawa z twarogu sojowego polana pikantnym sosem z chili i fasoli. Ukoronowanie posiłku stanowiło *chou doufu*, „śmierdzące tofu”, chiński specjał. Nazwa, choć prawdziwa, nie oddaje smrodu, który wydziela to danie. Kiedy pod koniec miesiąca gnojownik na naszej ulicy jest pełny, nie cuchnie choćby

w przybliżeniu tak mocno jak to tofu.

Mlaskano, wiwatowano, śpiewano, pluto i bekano. Wspaniale. Poza *chou doufu* wszystko smakowało wyśmienicie. Spróbowałam większości potraw, dostałam też przyspieszony kurs, jak jeść krewetki pałeczkami. Należało chwycić je za głowę, odgryzać tułów, rozdrabniać w ustach, językiem oddzielać mięso od skorupki i te ostatnie z impetem wypluwać na stół.

Kiedy wszyscy byliśmy już objedzeni jak bąki, na stole pojawił się gorący rosół z makaronem. Odmówiłam grzecznie, dumnie oznajmiając:

– *Chibao le*. Najadłam się.

Moja hinduska koleżanka z jogi, która siedziała naprzeciwko, kopnęła mnie w gołe i szepnęła z przerażeniem w oczach:

– *Eat it!* Jedz!

Sprawa wydawała się poważna – lewa połowa stołu, przy której siedziałam, przerwała śpiewanie i bekanie i patrzyła na mnie z oburzeniem. Pozwoliłam, by nalano mi rosółu do miski, a moja sąsiadka przy stole wyjaśniła mi:

– To *chang shou mian*, długi makaron. Symbolizuje długowieczność i jest podawany na każdym urodzinach, a przynajmniej na każdym urodzinach na północy Chin.

Było mi niedobrze. Schwyciłam jednak koniec makaronu pałeczkami i szybko odgryzłam, zanim z powrotem chlupnęła do parującej miski z zupą.

– Uuuuch! – zawyła na to ciotka i przysłoniła dłonią oczy.

Podbiegła do mnie Venus i szybko wyjaśniła mi, że absolutnie nie mogę odgryzać makaronu. W ten sposób narażam życie jej córki na skrócenie. Makaron musi zostać zjedzony w całości. Przytaknęłam. I zaczęłam siorbać.

Biedna Xiao Hui. Jej mama uznała za eleganckie zaprosić długonosą na pierwsze urodziny, nie zdając sobie sprawy z tego, czym to grozi.

Po jedzeniu zaczęła się właściwa część urodzin – *zhuazhou*, „chwyt przyszłości”. Tradycja ta pochodzi jeszcze z czasów cesarstwa. Na podłodze wokół dziecka rozkłada się różne przedmioty. Ten, po który sięgnie i poda rodzicom, określa jego przyszłość.

Koło Xiao Hui położono więc stetoskop, plastikowy samochodzik, kalkulator, pisak, pieczętkę, pomarańcze, cebulę i seler naciowy. Mała zostawiła samochód (kariera inżyniera wykluczona), wzgardziła stetoskopem (ku złości wujka, który pragnął, by została lekarzem), nie zainteresowała się pieczętką (wysokie urzędy polityczne i władza rozmyły się w niebycie) i chwyciła w rączki seler. Rodzina wstrzymała oddech.

– O nie – jęknęła Venus – to oznacza ciężką fizyczną pracę.

Na szczęście Hui porzuciła warzywo i podpełzła do kolejnego – cebuli. Ta oznaczała przynajmniej inteligencję. Potem złapała błyszczący pisak, zdjęła zatyczkę i oblizwała mazak. A na koniec uroczyście wręczyła ten przedmiot mamie.

Klaskano i nie kryto radości.

– Artystka! Mój skarb będzie artystką! – wołała babcia.

– Może słynną pisarką – dodał dziadek.

Tak, z pewnością.

Nadszedł czas urodzinowego ciasta czekoladowego. Od samego patrzenia na niego robiło mi się niedobrze. Jeśli go nie tknę, czy narażę Hui na jakieś niebezpieczeństwo? – zastanawiałam się gorączkowo. Zaśpiewaliśmy *Zhu ni shengri kuai le*, chińską wersję *Happy Birthday*, a ja, ryzykując niestrawność, poprosiłam o ukrojenie kawałka tortu. Zamierzałam ukryć go w doniczce na balkonie. Miałam nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Gromki śmiech Hinduski, uzmysłowił mi, że byłam w błędzie.

– Ciasto nie ma żadnego znaczenia – powiedziała i poklepała mnie po ramieniu.

Prawie nikt go nie tknął. Tylko Xiao Hui, przyszła artystka, wsuwała go łapczywie do ust rączkami.

Happy Birthday!

Chińskie opery mydlane

Człowiek codziennie doprowadza do porządku włosy, ale nie serce.

Był niedzielny wieczór, a ja nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Brakowało mi *Miejsca zbrodni* – komisarza Borowskiego i Charlotte Lindholm. Skakałam znudzona po szesnastu państwowych kanałach i czterdziestu lokalnych stacjach. Chińska telewizja była niczym tortury, trzydzieści stacji z pięćdziesięciu sześciu przez cały dzień wyświetlało opery mydlane. W sklepach z warzywami czy owocami sprzedawcy siedzieli jak zakłęci przed telewizorami, śledząc sercowe problemy swoich ulubionych bohaterów. W większości chodziło o tragiczne związki miłosne, w których bohaterowie wyli po amatorsku, a jeśli zdarzał się happy end, nie wychodzono poza trzymanie się za ręce. Mielśmy do czynienia z istotami aseksualnymi. Kochano też grę cieni – do pocałunków dochodziło tylko za zasłoną lub prześcieradłem. Sceny łóżkowe były tabu, nagość aktorów sygnalizowano, pokazując co najwyżej trzynaście centymetrów goliżny poniżej podbródka.

Przed dopuszczeniem do dystrybucji filmy cenzurowano. W *Ostrożnie, pożądanie* nakazano wyciąć tajwańskiemu reżyserowi Angowi Lee dwanaście minut nieprzyzwoitych scen. Inaczej obraz nie dostałby pozwolenia na wyświetlanie w kinach. Niektórzy z sarkazmem komentowali, że Lee wykonał cięcia tak dyletancko, iż każdy widz bez problemu zauważał ingerencję cenzury.

Ostrożnie, pożądanie zrobiło w kinach furorę. Wiele osób ściągało później nieocenzurowaną wersję z sieci, inni kupowali kopię piracką, a niektórzy jechali do Hongkongu, by zobaczyć go w całości na dużym ekranie. Biura podróży nieźle zarobiły na organizowaniu specjalnych wycieczek na film do chińskiego „specjalnego regionu administracyjnego”. W Internecie tygodniami dyskutowano o wyciętych scenach seksu, jedna szczególnie akrobatyczna pozycja pojawiła się na forach pod nazwą „spinacz biurowy”. *Ostrożnie, pożądanie* zrobił więcej dla seksualnego wychowania młodych Chińczyków niż jakiegokolwiek wydanie „Bravo” w Niemczech.

Ale wróćmy do telewizji. Stacje, które nie miały w programie niewinnych telenowel, stawiały na rozrywkę – krzykliwe show taneczne lub teleturniej albo zawody w śpiewaniu. Oczywiście było też mnóstwo walk kung-fu i pekińskiej opery. Moją uwagę przyciągnął na chwilę komiczny teleturniej. Nie, nie teleturniej. Była to chińska wersja niemieckiego programu rozrywkowego *Zalóż się*. Prezenter Zhu Jun pytał burzliwie klaszczącą publiczność: „*Xiang tiaozhan ma?*”, „Chcecie wyzwanie?” – w Chinach zakłady były oficjalnie zabronione.

Program nie miał wiele wspólnego ze swoim pierwowzorem, poza samą ideą zakładania się. W Niemczech jego oglądalność spadała, w Chinach jednak od kilku lat był to absolutny hit. W każdy niedzielny wieczór o dwudziestej pierwszej piętnaście od trzydziestu do pięćdziesięciu milionów Chińczyków zasiadało przed telewizorami, aby obejrzeć najnowsze zadania do wykonania stawiane przed uczestnikami. Wydanie specjalne, odbywające się na świeżym powietrzu i nadawane na żywo, miało nawet sto milionów widzów.

Chińczycy ponoć nie zapłacili za licencję niemieckiego programu ani grosza. Firma Dolce Media, którą kieruje Christoph Gottschalk, brat Thomasa Gottschalka, prowadzącego niemieckie *Zalóż się*, dostała natomiast wyłączność na sprzedawanie czasu reklamowego i pakietów sponsorskich europejskim firmom oraz pośredniczyła w zapraszaniu niemieckich,

austriackich i szwajcarskich kandydatów do zakładów. Pomysł na emitowanie w Chinach *Zalóż się* powstał zaś podczas kręcenia legendarnego spotu reklamowego DHL na Wielkim Murze Chińskim.

Z tego, co toczyło się na ekranie rozumiałam niewiele lub prawie nic. Tym razem w zakładach uczestniczyli jedynie chińscy kandydaci. Kiedy więc Tobi zjawił się w końcu po służbowej kolacji, z ulgą wyłączyłam telewizor. Byłby w domu już godzinę wcześniej, ale wdał się w rozmowę z Fangiem.

W ubiegłych tygodniach nasz szofer regularnie przyjeżdżał do nas zbyt późno, każąc na siebie czekać nawet godzinę. Zawsze miał tę samą wymówkę: *very much traffic*, korki. Kiedy z powodu jednego z takich spóźnień Tobi nie zdążył dotrzeć do biura na ważne spotkanie, czara się przelała. Fang, który nie widział jeszcze tak wściekłego Tobiego, uznał, że lepiej powiedzieć prawdę niż narażać się na utratę zatrudnienia.

Historia przypominała tutejsze opery mydlane. Dziewczyna, z którą Fang mieszkał u swoich rodziców, od miesięcy zamęczała go o psa. Fang nienawidził czworonogów, był jednak, jak większość mężczyzn w Szanghaju, wyjątkowym mięczakiem. Sześć tygodni temu dziewczyna kupiła mu na urodziny (!) ujadającego pekińczyka.

Sami podarowaliśmy Fangowi własnoręcznie upieczone ciasto, zdjęcie Amélie i czerwoną kopertę zawierającą pięćset juanów (pięćdziesiąt euro). Biedaczysko musiał zostawić wszystkie te pieniądze w sklepie zoologicznym, wykupując na żądanie dziewczyny kartę VIP-owską dla swojego nowego przyjaciela. Dawała ona prawo do dziesięciu kąpielii psiaka wraz z pakietem kuracyjnym i fryzurą układaną z użyciem suszarki.

Ledwie psiak znalazł się w domu zaczął linieć, dostał zatwardzenia, a jego uszu stały się zaczerwienione. Sklep zoologiczny miał na wszystko odpowiednie lekarstwo – dwadzieścia tabletek spiruliny za czterysta juanów. Nic nie pomogły. Pojawił się natomiast poważniejszy problem – suczka co noc sikała koło albo do łóżka. W Szanghaju (inaczej niż w pozostałej części Chin) prace domowe należą do obowiązków mężczyzn, Fang co noc wycierał więc psie siki lub zmieniał pościel. Nie wysypiał się i od sześciu tygodni nie był w stanie zwlec się rano z łóżka.

Smaczku sprawie dodawało to, że dziewczyna Fanga od czterech miesięcy nie pracowała. Zwolniła się z biura, bo, jak oznajmiła, przestało jej się tam podobać. Bynajmniej nie szukała nowego miejsca pracy. Uznała, że w czasie kryzysu i tak nie ma szans.

Tobiemu to wszystko nie mieściło się w głowie.

– To co ona robi przez cały czas? – zapytał.

– Nic – odparł Fang.

Nie gotowała ani nie sprzątała, bo to robiła mama Fanga. Zarządzała natomiast pieniędzmi. Fanga pieniędzmi. Zawsze kiedy chciał coś kupić, musiał prosić ją o kasę. Tymczasem powinien zacząć oszczędzać. Jeśli nie nabędzie mieszkania, ona na pewno za niego nie wyjdzie.

Tobi ze złości zrobił się wręcz agresywny. Najchętniej potrząsnąłby Fangiem i przywalił mu kilka razy, żeby się opamiętał. Ale byłaby to głupota.

Fang zaś oznajmił:

– *Very normal*. To normalne. Szanghajskie dziewczyny takie są. Moi przyjaciele też tak mają.

Niemniej zdecydował się na drastyczny krok. Nakazał dziewczynie, by wraz z psem wyjechała do swoich rodziców. On musiał się wysypiać.

W domu rozpętało się piekło. Dziewczyna ryczała, pies rzygał, a matka szalała. Jeśli z powodu kundla nie dojdzie do planowanego w przyszłym roku ślubu, jej syn zmarnuje sobie życie. A szanse na wnuki zmaleją do zera.

Ciąg dalszy nastąpi...

Hao du ju du Shanghai? Albo w dobrej kondycji na Expo

*Kiedy wieje wiatr przemian,
jedni budują mury obronne, a inni młyny.*

Nasi nowi sąsiedzi byli rozczulający. To głównie emeryci. W rześkie wiosenne poranki krzepkie starsze panie w szmacianych butach spędzały czas na kopaniu lotki, skakaniu na skakance albo na toczeniu po ulicach hula-hop drewnianą łyżką. Jeszcze zanim na dobre się wprowadziliśmy, pozdrawiali nas serdecznie. Przypadli nam do serca. Byli radośni, aktywni, rozmowni i troskliwi. Lubili też dzieci. Starsze panie zagadywały mnie czasem na ulicy – jedną ręką chwytały za ramię, a drugą głaskały po dłoni i z uśmiechem strofowały, że powinnam założyć skarpetki, bo się przeziębę. Starsi panowie natomiast z ciekawością przyglądali się mojemu staremu rowerowi i zadawali pytania o producenta lub przerzutkę. Wielu zasiadało przed domami na fotelach czy kanapach i grało w madżonga, pałac przy tym, jakby to nie był poranek.

Z powodu polityki jednego dziecka starzenie się społeczeństwa stanowiło w Chinach taki sam problem jak w Niemczech. Tylko liczby były inne. Sto czterdzieści cztery miliony Chińczyków, ponad dziesięć procent obywateli, miało powyżej sześćdziesięciu lat. Według obliczeń Organizacji Narodów Zjednoczonych w dwutysięcznym pięćdziesiątym roku tacy ludzie będą stanowili już ponad jedną trzecią tutejszego społeczeństwa. Podobne przewidywania dotyczyły Niemiec. Z jedną różnicą – w Państwie Środka nie było domów starców. Chińczykom pomysł oddawania rodziców do zakładów opieki wydawał się czymś nieludzkim. Tyle że młodzi, aby znaleźć pracę, przeprowadzali się do wielkich miast i z trudem mogli troszczyć się o starzejących rodziców. A ponieważ nie mieli rodzeństwa, prędzej czy później stawali przed problemem „jeden-dwa-cztery” – jedno dziecko musi zatroszczyć się o dwoje rodziców i czworo dziadków.

W jednym z komunikatów Akademii Nauk w Pekinie znalazło się frapujące zdanie: „Chiny są jedynym krajem na Ziemi, który zestarzeje się, zanim zdąży się wzbogacić”. Oceniano, że od dwa tysiące szesnastego roku liczba pracujących zacznie się zmniejszać. W dłuższej perspektywie oznaczało to zagrożenie tego, co stanowiło o uprzywilejowaniu i konkurencyjności kraju w stosunku do innych – taniej siły roboczej. Najpóźniej w następnym pokoleniu, sugerowano, pojawi się kolejny problem społeczny – zaburzenie struktury płciowej populacji. Wielu Chińczyków, ograniczonych polityką jednego dziecka, wolało mieć syna niż córkę. Płody żeńskie poddawano aborcji albo po urodzeniu dziewczynki oddawano ją do adopcji. W niektórych prowincjach już teraz na stu trzydziestu mężczyzn przypadało tylko sto kobiet.

Starsze kobiety, które plotkowały przed naszym nowym domem, siedząc na małych plastikowych stołeczkach, nie musiały się tym martwić. Wyglądały na jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat, ale chichotały jak dorastające uczennice. Kiedy któregoś dnia wpadłam do domu, żeby zmierzyć pomieszczenia, jedna z nich zawołała do mnie po angielsku:

– *Do you prefer tea or coffee?* Wolisz herbatę czy kawę?

Nie byłam pewna, czy było to zaproszenie do ich salonu na wolnym powietrzu, czy też rodzaj sąsiedzkich wygłupów. Kobieta nie wykonała żadnego zapraszającego gestu, w zamian nieustannie się śmiała i powtarzała:

– *Do you prefer tea or coffee?*

Sprawę wyjaśniła mi nasza nowa zarządczyni domu – Bella. Staruszka zgłosiła się jako wolontariuszka na Expo. Z okazji światowej wystawy Szanghaj postanowił przybliżyć

obcokrajowcom „prawdziwe tutejsze życie”. W wybranych okręgach chętni, głównie dysponujący czasem emeryci, mieli zapraszać długonosych do wspólnego spędzenia dnia. Projekt nazwano Pawilony Natury. Wypicie herbaty w salonie kosztowało, zgodnie z informacją biura sprzedającego bilety na Expo, trzydzieści juanów (trzy euro), wycieczka po *longtang*, wąskich alejkach z charakterystyczną zabudową, wraz z graniem w lotkę, skakaniem na skakance lub zonglowaniem diabolo – dwadzieścia juanów, spędzenie dnia na gotowaniu pierożków – sto juanów. Rezerwacja oferty i opłata odbywały się w oficjalnym biurze Expo. Nie udało mi się dowiedzieć, czy i jak dużo obcokrajowców z niej skorzystało.

Jing'an, nasza nowa dzielnica, należała do uprzywilejowanych. Emerytowany nauczyciel udzielał tu lekcji angielskiego za darmo. Oprócz *Do you prefer tea or coffee?* moja nowa znajoma uraczyła mnie pytaniem: *Hao du ju du Shanghai?*, „Jak się masz Szanghaj?”. Przyjaciółki parsknęły przy tym śmiechem i ja też mimowolnie się roześmiałam. Kobieta podrapała się po głowie, zastanowiła chwilę i oznajmiła:

– *Bu shi, bu shi*. Nie, nie.

Spróbowała jeszcze raz.

– *Hao du ju laik Shanghai?* Jak ci się podoba Szanghaj?

Pokazałam jej kciuk skierowany do góry. Dostała gromkie brawa, a potem pożegnałyśmy się wesołym machaniem.

Do akcji Pawilony Natury zgłosiło się wielu szanghajczyków. To warte podkreślenia, bo Chińczycy na ogół niechętnie wpuszczają obcych do domu. Bolesnie przekonał się o tym młody przedsiębiorca, który założył chińską agencję wymiany domów Haeoasy.com, mając nadzieję na lukratywne opłaty za pośrednictwo. Wzorował się na zachodnich agencjach, w których osoby kochające podróże wymieniają się domami czy mieszkaniami na całym świecie. W wywiadzie dla „Shanghai Daily” skarżył się: „Co roku wkładam dwieście tysięcy juanów w stronę internetową, a do tej pory nie zaksięgowane żadnej transakcji”. Jedynymi, którzy się zarejestrowali, byli ludzie z Zachodu. I nikogo z Chin. Deską ratunku miało być Expo.

Zbliżający się termin otwarcia światowej wystawy odczuwało się w całym mieście. W powietrzu unosiło się zaraźliwe radosne podniecenie. Możliwe, że stała za tym wiosna, której w Szanghaju jeszcze nie przeżywałam. Po raz pierwszy, od kiedy tu byliśmy, widziałam na drzewach zielone liście. Wystrzeliwały z platanów i przypominały te w hamburskim Alster. Za tydzień lub dwa miał je pokryć szary pył, na razie jednak cieszyły oko.

Na ulicach sadzono drzewa i zakładano kwiatowe wysepki. Metro, które niedługo miało się wydłużyć o czterysta kilometrów nowej linii, jak żarłoczny kret przedzierało się przez miasto, znacząc trasę ciągnącymi się kilometrami placami budowy, które blokowały główne arterie komunikacyjne. Na terenie Expo nad Huangpu nie było tygodnia, żeby zagraniczny delegat jakiejś prasy nie pozował z uśmiechem przy pawilonie swojego państwa, a Haibao, niebieska maskotka, rozmnażała się niczym nadaktywny królik. Przed świątynią Jing'an wielki pluszowy egzemplarz tego ludka prawie mnie przewrócił, chcąc zachęcić do tańca.

Także droga do naszego przedszkola była jednym wielkim placem budowy. Dopiero co położono rury kanalizacyjne, a chodniki zostały wyłożone nowymi płytkami. Platany otoczono kratkami, żeby nadać ulicy bardziej francuski wygląd. Zabrano się też ze renowacją fasad. Paskudne płytki oderwano, okna pomalowano, drzwi pociągnięto lakierem...

Zwykle zamiast renowacji stare domy po prostu wyburzano. Dzielnica francuska była jednak lubiana przez cudzoziemców. Jej fragment został nawet otoczony swego rodzaju ochroną zabytkową i pozostawiono tu zadziwiająco dużo kolonialnego budownictwa.

Większość Chińczyków mieszkających w tej części Szanghaju wolałaby oczywiście przeprowadzić się do nowych betonowych budynków. Stare domy przypominały niezbyt

chwalebą epokę wielkiego postępu Chin i, co ważniejsze, zazwyczaj nie zapewniały takich udogodnień jak toalety, wanny czy zabudowane kuchnie.

Wśród szanghajczyków krążyły zresztą przeróżne historie o mieszkańcach, których domy w śródmieściu musiały ustąpić kompleksom biurowym lub sklepowym albo apartamentowcom. Nasza *ayi* opowiadała, że jej mama za swoje małe stare mieszkanie w centrum dostała od rządu sto trzydzieści tysięcy juanów odszkodowania (trzydzieści tysięcy euro) i prawo do czynszowego lokalu w przystępnej cenie na obrzeżach miasta. Odszkodowanie było dla niej jak trafienie szóstki w lotto. O innych słyszało się albo czytało w niemieckich mediach, że zostali przeniesieni do brzydkich betonowych osiedli z dala od miasta – pieniądze, które dostali za wysiedlenie były zbyt małe, by mogli kupić mieszkanie na obszarze przeznaczonym do rewitalizacji.

Prawie od roku dość blisko naszego domu budowano nowy gmach. Codziennie, odwożąc Amélie do przedszkola, mijałam plac robót. Na bieżąco uczestniczyłam w burzeniu, wymierzaniu, wylewaniu betonu... Absurdalne było to, że wszystkie te roboty wykonywano równocześnie. Stosowano się chyba do głoszonej przez Mao teorii trzech równoczesności. Niecierpliwym przewodniczący wyznawał pogląd, że projekty będą szybciej realizowane, jeśli jednocześnie będzie się je planować, przeprowadzać i analizować. Sześć miesięcy trwało nim na parterze i w piwnicy zrobiono metrowej grubości fundament i wylewkę z betonu. Ledwie wszystko było gotowe, na budowę wjechały koparki i zaczęły wszystko zdzierać, jednocześnie wymierzano i robiono nowy fundament.

Pewnego dnia z czystej ciekawości poprosiłam Fanga, by spytał się strażnika przy wejściu, dlaczego wszystko nagle jest zmieniane.

– *Maybe new constructor. Or maybe same constructor, but now different idea. Może nowy konstruktor. A może ten sam konstruktor, ale nowy pomysł* – powiedział, kiedy wrócił.

Rozbórka tego, co zrobiono trwała cztery miesiące, potem zaczęto budować dalej. Podobno miał tam powstać dom towarowy.

Budowlany boom związany z Expo powodował straszliwy chaos i nieporządek. Tymczasem Szanghaj miał na wystawę błyszczeć. Władze miasta zarządziły więc, że każdy piętnasty dzień miesiąca zostanie przeznaczony na porządki. Akcję nazwano Expo Cleaning Day. Tego dnia każdy, kto nie chciał, by patrzono na niego krzywo, łapał za ścierkę, wychodził na ulicę i bezsensownie czyścił i polerował to, co stało mu na drodze. Skrzynki na listy, budki telefoniczne, przystanki autobusowe – nic nie było wolne od wycierania. Kilka osób z naszego sąsiedztwa z narażaniem życia wypucowało bramkę oddzielającą ścieżkę rowerową od pasa dla samochodów. Dzień później wszystko było znowu pokryte warstwą pyłu.

Przy niektórych światłach ustawiono tablice napominające pieszych po chińsku i angielsku: *You're polite people, please wait here! Don't go until the green light on!*, „Jesteście grzecznymi ludźmi, poczekajcie, proszę! Nie przechodźcie zanim nie zapali się zielone światło!”. Śliczna, bezcelowa próba nauczania szanghajczyków reprezentacyjnego zachowania się na ulicy. Na światłach stawały tylko samochody jadące po co najmniej sześciopasmowych arteriach komunikacyjnych. Na pozostałych drogach obowiązywała jedna zasada: widzisz lukę, pchaj się w nią! Obojętnie, czy było się na skrzyżowaniu, czy na chodniku, czy świeciło się światło czerwone, żółte czy zielone. W cudowny sposób powstawał z tego zadziwiająco płynny chaos.

Dla dwuśladów na wielkich skrzyżowaniach obowiązywało drugie niepisane prawo: nigdy nie przejeżdżać ulicy samemu! Kierowcy rowerów i motorowerów czekali na światłach, aż zbierze się ich silna grupa. Dopiero wówczas ruszali do przodu, nie troszcząc się o zbędną sygnalizację świetlną. Trzeba przyznać, że odnajdywałam się w tym wszystkim zadziwiająco dobrze. Kiedy pozwalałam się prowadzić tłumowi, nie stawiając mu oporu (choćby przez hamowanie na czerwonych światłach), bez trudu dojeżdżałam do celu.

Pozwalać się prowadzić i nie stawiać oporu...
Czyżby była to tajemnica tutejszego szczęścia?

Co dzisiaj jemy?

Każde zwierzę, które pokazuje grzbiet słońcu, jest jadalne.

Powiedzmy to od razu: nie jadłam psiego mięsa. Ale żeby być szczerą – nie widziałam nikogo, kto by to robił. Widać szanghajczycy woleli prowadzić czworonogi na spacer i wciskać je w absurdalne sweterki niż pakować do pieca. Można tu jednak skosztować najdziwniejszych potraw: świerszczy, wołowego penisa, kaczych głów, kurzych łapek, ropuch, żabich wnętrzności, węży i tak dalej.

Zawsze kupowałam mięso w City Shop – podobno było produkowane według zasad bio. Nasza *ayi*, gotując dla nas, zaopatrywała się jednak na typowym wet markecie. Właściwie mi to nie przeszkadzało. W końcu raz czy dwa razy w tygodniu mogliśmy zjeść mięso nie wiadomo skąd i pełne pestycydów warzywa.

Tak myślałam. Potem jednak dotarły do mnie wyniki badań przeprowadzonych przez China Meat Research Center. Pod lupę wzięto czterdzieści osiem zakładów mięsnych w Guangzhou. Od kiedy dwadzieścia cztery lata temu zniesiono monopol państwa na produkcję mięsa, prywatni wytwórcy próbowali wszystkiego, by maksymalnie zwiększyć swój zysk. We wszystkich czterdziestu ośmiu zakładach wołom i świniom przed zabiciem pompowano do żołądków wodę, żeby podwyższyć cenę żywca. Używano do tego brudnej wody z rzek, do których odprowadzano przemysłowe i trujące substancje. Ostrzegano, że takie „mięso może przenosić choroby”. Instytut przestrzegał też, że w pozostałych prowincjach wyniki zapewne byłyby podobne.

Z owocami i warzywami nie było lepiej. Na wet markecie zleżałe marchewki i melony polewano zabarwioną wodą. Wszystko po to, żeby wyglądały świeżo i apetycznie. Wielokrotnie po wyciskaniu pomarańczy moje dłonie były zafarbowane na pomarańczowo.

Ach, nagle zrobiło mi się niedobrze.

Nieco później natknęłam się podczas zakupów na napis: „Kontrolowana zawartość pestycydów w warzywach”. Trochę mnie to zaniepokoiło i postanowiłam poszukać w Internecie jakichś informacji na ten temat. Dowiedziałam się, że kilka miesięcy wcześniej Greenpeace przebadał świeże owoce i warzywa sprzedawane w warzywniakach i supermarketach Szanghaju, Pekinu i Guangzhou. Tylko pięć z czterdziestu pięciu próbek nie zawierało pestycydów, reszta była trującym koktajlem maksymalnie dziesięciu różnych środków! Chiński rząd nie widział jednak powodu do alarmu. Tylko dwa badania przekroczyły ustanowione przez państwo (o wiele za wysokie) wartości graniczne.

Wszystko było kwestią perspektywy.

Wbrew chińskiemu rządowi doszłam do wniosku, że oprócz oczyszczacza powietrza i uzdatniacza wody nasza rodzina potrzebuje również zaufanego dostawcy warzyw ekologicznych. Większość obywateli Państwa Środka nie wie, co to jedzenie *youji*, organiczne. Przyznaję, próba przetłumaczenia tego pojęcia na chiński, nie była udana, ale nie znaleziono innego słowa. Do tego warzywa bio są w Chinach od pięciu do dziesięciu razy droższe niż te pochodzące z wet marketu. Nic więc dziwnego, że kupują je tylko cudzoziemcy.

Na szczęście Suzi (dla przypomnienia: brytyjska gwiazda wieczoru panieńskiego) była jeszcze większą historyczką niż ja, jeśli chodzi o jakość pożywienia, zainicjowała więc przejście przedszkola na produkty organiczne. Kierowniczką zaproponowała, by zainteresowane mamy zwiedziły farmę ekologiczną w szanghajskiej dzielnicy Songjiang, skąd miały pochodzić

zamawiane do przedszkola warzywa i owoce. Pojechałyśmy wynajętym autobusem. Podróż trwała półtorej godziny, a ja czułam się jak na wycieczce klasowej.

Przy bramie farmy przywitała nas Eva z Niemiec, odpowiedzialna za marketing i zwiedzanie.

Shanghai Organic było niemiecko-chińskim przedsiębiorstwem joint venture. Taki też był program zwiedzania – poważny, niemiecki w wyrazie, ekologiczny i budzący zaufanie, ale też nudny. Mogłyśmy wyciągnąć prosto z ziemi korzeń chrzanu, ukręcić główkę sałaty i nauczyć się ścinać bazylię. Poczestowano nas również pomidorami, które smakowały jak pomidory, oraz ogórkami, zachęcając przy tym do zjedzenia ich wraz ze skórką.

Ja też postanowiłam zamawiać tu produkty. Co wtorek miano przywozić nam do domu skrzynkę warzyw. Do tego dodałam certyfikowanego kurczaka bio, zakreślając na zamówieniu opcję *no head, no feet*, bez głowy, bez łapek. Od dawna nie czułam się tak po niemiecku.

Wieczorem w domu podałam własnoręcznie ściętą sałatę z niewiarygodnymi pomidorami z farmy. Do tego dołożyłam pyszny pełnoziarnisty chleb z niemieckiej piekarni z dostawą do domu.

Oczyszczacz powietrza huczał na poziomie czwartym, z ipoda wydierał się Peter Fox, a na zewnątrz dzwonił dzwonkiem mężczyzna zajmujący się recyklingiem.

Juhu!

Prawa człowieka na korcie tenisowym

*Samotny Chińczyk jest smokiem,
wielu Chińczyków razem – robakiem.*

W przedszkolu odbyło się pożegnalne przyjęcie. Oskar, mały Holender z grupy Amélie, wracał do swojego kraju. Umowa jego taty z powodu kryzysu finansowego została rozwiązana, rodzina wracała do Rotterdamu. Na pożegnanie mama Oskara upiekła ciasto literkowe (B, Y oraz E) i przygotowała krótki pokaz przezroczy z Holandii.

W domu podekscytowana Amélie opowiedziała nam, że w Holandii domy pływają, wiatr jest łapany przez młyny i – co najważniejsze – mieszka tam królowa z prawdziwą koroną na głowie, a królowa ma długie jasne włosy.

Nasza córka przechodziła właśnie nieznośny etap fascynacji księżniczkami (czemu winna była oczywiście Chanel). Interesowało ją wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z różowymi tiulowymi ubraniami i koroną.

– Mamo, czy w Niemczech też jest królowa? – zapytała.

– Nie, skarbie – odpowiedziałam – nie mamy królowej, ale mamy panią kanclerz.

Wiedziałam, że tak łatwo się nie wywinę. Dlatego cofnęłam się nieco w przeszłość i wyjaśniłam, że kiedyś mieszkał w Niemczech cesarz, ale od dawna nie żyje i Niemcy – na szczęście – mogą teraz wybierać, kto ma rządzić krajem. Wygrzebałam ze sterty starych gazet egzemplarz „Spiegla” i wyszukałam w nim zdjęcie Angeli Merkel.

– Proszę – powiedziałam, trzymając jej przed nosem zdjęcie pani kanclerz, która właśnie żartowała z ministrem finansów – to nasza rządząca.

Amélie była rozczarowana. Pani kanclerz miała krótkie włosy i nie nosiła korony. Chciała wybrać inną rządzącą. Powiedziałam, że najpierw musi dorosnąć, ale tata i ja w wyborach możemy zdecydować, czy ta pani dalej ma rządzić w Niemczech czy nie.

Amélie słuchała jak zaczarowana. Potem spytała:

– Czy Chińczycy też wybierają rządzącego?

– Nie. Chińczycy nie.

– Dlaczego? To niesprawiedliwe.

– Tak... to niesprawiedliwe – zgodziłam się z pewnym wahaniem.

Bo czy była to prawda? Czy Chińczycy rzeczywiście uważali za niesprawiedliwe to, że nie mogli wybierać rządzącego? Obserwując szanghajczyków, nie miałam wrażenia, by byli niezadowoleni czy chcieli coś zmienić. Ale też żadnego z nich o to nie pytałam. W Chinach istniało ponad pięćdziesiąt różnych kultur, mówiących różnymi językami, spożywających różne rzeczy i mających odmienne zwyczaje. Jak przebiegałyby wybory, gdyby Norwegowie, Włosi i Niemcy musieli wybrać jeden rząd? Pół miliarda obywateli Unii Europejskiej nie mogło dojść do porozumienia w sprawie wizji zjednoczonej Europy, a chcieliśmy, by podobna rzecz udała się trzykrotnie większej liczbie Chińczyków.

Kiedy rok temu zjawiliśmy się w Szanghaju, miałam jednoznaczne zdanie na temat Chin. Bez wahania odpowiedziałabym wówczas Amélie: „Tak, to wołająca o pomstę niesprawiedliwość. Nie wszyscy ludzie na świecie mają takie szczęście jak my”. Im dłużej jednak tu byliśmy, tym bardziej nieaktualna wydawała mi się taka opinia. Naród ludzi uciśnionych i kopiujących wszystko złodziei, społeczeństwo zjadaczy psów, kraj marnych płac i zatrutych zabawek, komunistyczne, nieprzeniknione niebezpieczeństwo głodne władzy nad światem... Ten

jednoznaczny obraz Chin, który ułożyłam sobie niczym puzzle z poglądów prezentowanych w niemieckich mediach coraz bardziej mi się walił.

Nasi przyjaciele, nasi rodzice, moi starzy koledzy – wszyscy mieli podobne zdanie o Chinach. Chiny były złe, widzieliśmy to przecież codziennie w telewizji. A teraz wydało mi się to absurdalne. I... niesprawiedliwe. Jak mogliśmy oceniać, nie znając kraju i jego mieszkańców? Co właściwie wiedzieliśmy o Chinach? Nic. Po roku w Szanghaju miałam poczucie, że moja wiedza nadal jest niezwykle znikoma. Nie byłam sinologiem, ale z każdym dniem poznawałam ten świat nieco lepiej.

Wiedziałam jedno: ten kraj i jego mieszkańcy potrafili doprowadzić mnie do obłądu – zdarzało mi się to przynajmniej raz w tygodniu – ale było w nim o wiele więcej niż tylko represje, samowola polityczna i piractwo produkcyjne.

Tymczasem Amélie zajęła się już swoją lalką – Polly Pocket *made in China* – prawdopodobnie zatrutą ołowiem, niemniej kochaną. Robiła jej koronę z folii aluminiowej. Moje myśli nie dawały mi spokoju, postanowiłam więc zapytać An Yę, moją nauczycielkę chińskiego, o jej stanowisko w tej sprawie. Polityczne dyskusje były w Chinach drażliwą sprawą, żaden Chińczyk nie wypowiadał się chętnie na ten temat, tym bardziej przed obcokrajowcami. An Ya była jednak niekonwencjonalna. Wydała mi się wręcz idealna do tego typu pytań. Byłam umówiona z nią na tenisa. Pierwszy raz miałam złapać za raketę na chińskiej ziemi. Do tej pory było albo za gorąco, albo za mokro, albo zbyt duży smog zalegał w powietrzu.

An Ya biegła po korcie zwinnie jak łasica. Zjadliwie odbijała ścięte stop-woleje, których lot mogłam już tylko śledzić z linii końcowej. Na zmurszałym, pokrytym ebonitem korcie, który An Ya zarezerwowała dla nas, wylewałam z siebie wiadra potu, a mimo to buzowały we mnie hormony szczęścia. Było coś wyzwalającego, naturalnego, zwyczajnego w graniu w tenisa w dziewiętnastomilionowym molochu. W ostatnich tygodniach zaniedbałam swój sportowy trening, po dwudziestu minutach miałam więc na twarzy czerwone plamy z wysiłku. Poprosiłam o chwilę wytchnienia.

Postanowiłam przejść do sprawy po niemiecku, czyli bezpośrednio.

– An Yu, mogę cię o coś spytać? – zagałam.

– Oczywiście.

– Czy chętnie poszłabyś na wybory? To znaczy, czy wolałabyś żyć w demokracji?

Słyszając moje pytanie, An Ya prawie się zakrzuszyła bananem, który właśnie jadła.

Spojrzała na mnie, jakbym prezentowała się nago na korcie i wykonywała taniec deszczu.

– Słucham? – powiedziała.

– Zastanawiałam się ostatnio, czy Chińczycy są zadowoleni ze swojego systemu politycznego.

– I chcesz szczerej odpowiedzi?

– Tak, właśnie tak.

– Jest nam to zupełnie obojętne.

Teraz ja patrzyłam na nią ze zdumieniem. Na taką odpowiedź nie byłam przygotowana. An Ya kontynuowała:

– Nie interesujemy się polityką. Jak długo powodzi nam się dobrze, jest nam wszystko jedno. Jesteśmy egoistami. I pragmatykami. Dopóki mamy coś do jedzenia, lodówkę oraz telewizor, jest nam obojętne, kto siedzi na górze i co wyczynia.

Trzydzieści lat temu większość Chińczyków nie miała ani wystarczająco dużo jedzenia, ani lodówek czy telewizorów. Obecnie wszystkim powodziło się lepiej, czyli ci na górze dobrze wykonywali swoją pracę. Taki można było wysnuć wniosek. Chiny w zwalczaniu biedy odniosły wielki sukces – przez dwadzieścia sześć lat Światowy Program Żywnościowy, agenda

Organizacji Narodów Zjednoczonych, zapewniała produkty spożywcze ponad trzydziestu milionom Chińczyków. Od dwutysięcznego piątego roku Chińska Republika Ludowa nie potrzebowała już pomocy, a nawet z biorcy stała się dawcą. Także długość życia od czasu przejścia władzy przez Komunistyczną Partię Chin w roku czterdziestym dziewiątym wydłużyła się o trzydzieści siedem lat (!) – z trzydziestu pięciu do siedemdziesięciu dwóch.

Dla An Yi sprawa na tym się kończyła. Wstała i rozciągnęła ramiona.

– A co z prawami człowieka? – drażyla jednak dalej, przygotowana, że tym razem może się zrobić nieprzyjemnie.

Cisza. To nie było mądre posunięcie. Zbyt szybko, zbyt niedyplomatycznie.

An Ya patrzyła na mnie w skupieniu. Jej kąciki ust ściągnęły się w lekceważącym uśmiechu.

– Wy, obcokrajowcy, macie jakiś kłopot z prawami człowieka – powiedziała. – Czy pierwszym i najważniejszym prawem nie jest pozostanie przy życiu? Posiadanie wystarczającej ilości jedzenia oraz życie w pokoju i rośnięcie.

– Rośnięcie? – zdziwiłam się.

– Mam na myśli możliwość rozwijania się, pójścia do szkoły, na uniwersytet, zarabiania pieniędzy, bycia bogatym – wyjaśniła. – Jak myślicie, co w ostatnich dwudziestu, trzydziestu latach u nas zaszło? Moja mama ma teraz pięćdziesiątkę. Mając dwadzieścia kila lat, mogła tylko marzyć o życiu, jakie ja prowadzę. Pomijając jedynie, że uważa za okropne, iż nie jestem mężatką... – An Ya się zamyśliła.

Mówiła jasno i rozważnie, perfekcyjnym angielskim. Pomyślałam o jej mamie. Jeżeli ma teraz pięćdziesiąt lat, urodziła się, kiedy partia komunistyczna doszła do władzy. Wcześniej przez sto pięćdziesiąt lat rządził w kraju chaos. Partia komunistyczna okazała się pierwszą, która była w stanie rządzić Chinami, stworzyć instytucje polityczne i zatroszczyć się o porządek oraz jakiś wzrost gospodarczy. Ludzie byli jej za to wdzięczni. Czy też raczej uważali rząd, jak powiedział raz Fang, za *tai bucuo le*, nie taki zły. Czy można było mieć im to za złe?

– Studiowałam, mam samochód, oszczędzam na mieszkanie, mogę sobie pozwolić na pójście do lekarza, kiedy jestem chora, a nawet na wypicie co wieczór lampki zagranicznego wina – kontynuowała An Ya. – Czy to wszystko nie są prawa człowieka?

Musiałam przyznać, że nigdy dotąd nie patrzyłam na to w taki sposób. I nie doceniłam An Yi. Dlatego postanowiłam pójść na całość, okazja do tak otwartej rozmowy wydała mi się niepowtarzalna.

– Ale co z wolnością wypowiedzi, wolnością prasy, podziałem władzy, systemem wielopartyjnym?

– Byłyby miłe, ale nie są niezbędne do życia.

– Co z więźniami politycznymi, torturami i karą śmierci? – nalegałam.

– Ameryka też ma karę śmierci – zauważyła An Ya.

– Ale w Ameryce nie zostaje się zgładzonym za fałszowanie paragonów z podatkiem VAT. Procesy sądowe są tam sprawiedliwsze – odparłam.

– Skąd to wiesz? Byłaś na jakimś?

– Nie.

– No właśnie. A uczestniczyłaś w jakimś chińskim procesie sądowym?

– Nie.

– Ja też nie. Ameryka ma wszystkie twoje prawa człowieka, podział władzy, wolność wypowiedzi i prasy, do tego Statuę Wolności, a mimo to czarnoskórzy Amerykanie skarżą się, że ich procesy są niesprawiedliwe. Więźniowie na Guantanamo są natomiast torturowani. Dlaczego nie oburzacie się na to?

– Oburzamy się – zapewniłam.
– I co, pomaga? Nie. Ja też oburzam się z powodu wielu rzeczy, ale co sama mogę zrobić?

– Sama prawdopodobnie nic, ale wiele osób może już coś wskórać.

An Ya się roześmiała. Nie serdecznie, raczej gorzko.

– Mam takie przysłowie: „Samotny Chińczyk jest smokiem, wielu Chińczyków razem – robakiem”. Nie jesteśmy dobrzy w pracy zespołowej. – A potem dodała: – A teraz grajmy wreszcie dalej.

Zdenerwowałam ją. I źle oceniłam. Lubiała dywersję, ale miała swoją dumę narodową. Zapomniałam o tym niewypowiedzianym chińskim honorze. Obywatele tego kraju reagują z drażliwością na pouczenia ludzi Zachodu.

Kiedy Roman Herzog, będąc prezydentem Niemiec, złożył wizytę w Chińskiej Republice Ludowej, poszło mu w rozmowach na szczycie nie lepiej ode mnie, choć oczywiście działał o wiele bardziej dyplomatycznie. Rozmawiał z ówczesnym premierem Zhu Rongji o prawach człowieka. Poszanowaniu życia, zakazie tortur, ochronie przed samowolnym pozbawianiem wolności... Niemcy trzymały się tego celu niewzruszenie, także kiedy wymagało to „długiego oddechu”. Opierały swoją postawę na niemieckiej samoświadomości i chrześcijańsko-filozoficznych wartościach. Odpowiedź Zhu była krótka: „W Chinach Biblia nie obowiązuje”.

Chiny walczyły o równorzędne miejsce w polityce międzynarodowej, chciały być uznawane za poważne państwo, mogące współdecydować o sprawach światowych. W gruncie rzeczy także An Yi nie chodziło o nic innego, chciała grać, a nie wysłuchiwać pouczeń.

Byłam trochę zła na siebie i w odpowiedzi dostałam chińską lekcję: przegrałam trzy do sześciu.

Czwartego czerwca, w rocznicę naszego przyjazdu do Szanghaju, będzie mijała dwudziesta rocznica krwawego stłumienia demokratycznej demonstracji na pekińskim placu Tian'anmen, Niebiańskiego Spokoju. Oczywiście gazety nic nie napiszą o tej masakrze. Rząd wciąż uznawał, że czołgi, które przejechały po studentach, były tylko „zdecydowanym wkroczeniem, aby zapewnić stabilność krajowi”.

Wiem, że Chiny dokonywały egzekucji na większej liczbie ludzi niż wszystkie inne kraje stosujące karę śmierci razem wzięte. I że w więzieniach zamknięto trzydziestu dziennikarzy, bo wypowiadali się krytycznie o rządzie. Gdybym była Chinką, prawdopodobnie przyniesiono by mi tę książkę do więzienia. Nie próbuję tego upiększać ani negować. Ale to tylko jedna strona Chin, która tymczasem zawładnęła wszystkimi popularnymi niemieckimi gazetami. Trudno było uznać ją za sprawiedliwą ocenę.

MAJ II

Nowy start

*Kto nie chce nic zmieniać,
straci także to, co chce zachować.*

Nasz nowy dom znajdował się po drugiej stronie Yan'An, ośmiopasmowej estakady, która oddzielała wschodnią i zachodnią część miasta. Co rano, jadąc do przedszkola, musiałam ją przekraczać i stała się ona drogą mojej nienawiści. Przewornie zatroszczyłam się i dla siebie, i dla Amélie o ochronę na usta – za każdym razem, kiedy zatrzymywałam się na światłach, po trzech minutach czekania obie dostawałyśmy kaszlu. Czasem przypominałam sobie, jak w ubiegłym roku postanowiliśmy pojechać rowerami, dopiero co wydobytymi z kontenera, do sklepu meblowego znajdującego się po drugiej stronie Yan'An. Wpadłam wtedy w taką panikę, że zmusiłam Tobiego do przeniesienia obu rowerów wraz z Amélie przez most dla pieszych. W obie strony. Nie mogłam mu pomóc, moje plecy wciąż były zeszytywniałe od spania na pożyczonym materacu.

Niezależnie od wad lokalizacji nasz nowy dom okazał się tak ładny, że wciąż trudno mi było w niego uwierzyć. Wysoki i wąski, jak wszystkie chińskie szeregowce, miał mały, ale co ważne, prawdziwy ogródek.

Na dzień dobry naraziliśmy się sąsiadom. Właścicielka kazała zamontować system alarmowy, którego obsługę miało mi wyjaśnić pięciu mężczyzn w garniturach i krawatach, jeden inżynier w niebieskim kombinezonie i kobieta w kostiumie firmy Secom.

W dniu przeprowadzki zastałam ich w salonie, między pudłami, ustawionych od najmniejszego do największego, jakby składali wizytę głowie państwa. Kobieta rozdała niebieskie foliowe ochraniacze na buty, a potem wszyscy uroczyście podeszliśmy do wyświetlacza urządzenia alarmowego. Inżynier z dumą zademonstrował nam strefy bezpieczeństwa – świeciły na wyświetlaczu na czerwono, podczas gdy kobieta, podskakując na szpilkach i klaszcząc, przemierzała odpowiedni obszar domu. Pięciu panów w garniturach przytakiwało i wciąż coś notowało w notatnikach.

Potem inżynier poinstruował mnie, jak należy obsługiwać alarm pilotem: nastawić czerwony guzik, jednocześnie wyłączając zielony.

– *Nan bu nan?* Trudne, nietrudne?

Potrząsnęłam głową i uniosłam kciuk do góry.

– *Bu nan.* Nietrudne.

Mężczyzna musiał uważać długonosych za szczególnie głupich. Pięciu panów klaskało.

Ukradkiem szukałam ukrytej kamery – kto wie, w końcu istniała także chińska wersja programu *Mamy cię!*

– A teraz druga część – powiedział inżynier. – Kiedy idzie się spać, trzeba wcisnąć niebieski guzik. Żeby system działał tylko na pierwszym piętrze.

W Chinach pierwsze piętro było na parterze, nasze pierwsze było więc drugim... Dla pewności jeszcze trzy razy zapytałam, czy stosownie do tego możemy chodzić po wszystkich piętrach poza parterem. Delegacja do spraw bezpieczeństwa przytaknęła, wręczyła mi cztery piloty, sześć wizytówek i dwanaście woreczków po foliowych ochraniaczach na buty, a potem się pożegnała.

W nocy zdarzyło się to, co musiało – Tobi poszedł się wysikać. Powłókł się do toalety na drugim piętrze. Zawyla ogłuszająca syrena, zaraz potem wszyscy sąsiedzi oraz dwóch panów do

spraw bezpieczeństwa stało w naszym domu. Firma doszła do wniosku, że nocą rozsądniej byłoby włączać system bezpieczeństwa na wszystkich piętrach, i przestawiła go. Nic nie mówiąc.
– *Sorry, very sorry* – przeproszał nas zarządca domu następnego dnia.

Pojechałam do starego domu, aby zabrać nasze rzeczy do sprzątania i zwolnić Xiao Chen. Nie chciałam powiedzieć jej prawdy, dlaczego ją zwalniam, żeby nie straciła twarzy. A temu równałoby się moje wyznanie, że nie mogę już znieść jej humorzastej istoty i że teraz, kiedy zaczyna się mój drugi rok w Szanghaju, nie chcę już kompromisów. Wymyśliłam więc głupią wymówkę i dałam jej w prezencie tygodniówkę. Wzięła pieniądze bez mrugnięcia okiem, spakowała grzebień, szampon i akumulator do roweru elektrycznego, a potem z tym samym przymuszonym uśmiechem jak co dzień rzekła *bye bye* i sobie poszła.

Głęboko odetchnęłam. Tabula rasa, nowy start, znów wszystko przede mną.

Ogarnęło mnie wspaniałe uczucie. Dopóki nie znajdziemy nowej *ayi*, zamierzałam sama sprzątać i prasować. Zupełnie zapomniałam, jak dobrze mieć czasem żelazko w ręce. Bezszelestnie wygładzać materiał, od razu podziwiać efekty, wykonywać powtarzalne ruchy mające w sobie coś z medytacji. Dlaczego właściwie tak nienawidziłam w Niemczech prasowania?

Byliśmy na półmetku. Za rok mieliśmy znowu znaleźć się w Hamburgu, w naszej sielance w Alstertal. Żaden mężczyzna od recyklingu nie będzie już dzwonił i pobrzękiwał przed naszym ogrodem. Zaczniemy ponownie sortować śmieci do trzech różnych kontenerów, zamiast wyrzucać z zamachem worków przed drzwi. Fang nie będzie stał rano przed drzwiami, skończą się jego opowieści o zniechęconym psie, dziewczynie albo ostatniej grze on-line. Będziemy sami prowadzić samochód, w weekend grabić liście, rano uprawiać jogging, a Amélie będzie mogła pojechać na rowerze w wyścigu Alsterlauf i nie zostać rozjechaną przez jakiegoś szalonego taksówkarza. Nasi sąsiedzi nie będą grali na ulicy w madżonga, w zamian okażą nam złość, kiedy w niedzielę postanowimy skosić trawę. Będziemy spać przy otwartym oknie, zamiast włączać oczyszczacz powietrza, pić wodę z kranu, a nasza bielizna znów stanie się biała, a nie żółta. Będziemy mieć wokół siebie przyjaciół, sączyć wieczorami piwo, a nie siedzieć na Skype.

Oczy zrobiły mi się mokre. Mieszanka tęsknoty za domem, radości z tego, co będzie w Hamburgu i smutku, że opuścimy Szanghaj, spowodowała, że moje łyzy kapały razem z chińskim tuszem do rzęs na deskę do prasowania.

Kai Strittmatter, korespondent „Süddeutschen Zeitung” w Pekinie, w swojej książce *Chiny. Instrukcja obsługi*, napisał, że kiedy zaczyna się tęsknić za Chinami, najlepiej pójść do garażu, zapalić silnik i głęboko pooddychać.

Może my też będziemy tak robić? Obawiam się, że nie tylko bielizna zmieniła w Szanghaju swój kolor na żółty.

Jak bardzo Chiny „zabarwiły” nas samych?

Czy będziemy tacy sami, kiedy wrócimy?

Tego wszystkiego nie wiedziałam.

Tobi wrócił do domu, niosąc cztery puszki piwa suntory. Sprzedawca w małej budce przed naszą uliczką przestawił asortyment pod nas. W dzień przeprowadzki schłodził tylko jedną puszkę piwa, reszta lodówki była wypełniona colą i mrożoną herbatą. Drugiego dnia miał już w niej dwie puszki, a teraz – cztery.

– Wiesz... – zaczął Tobi.

Znam te zdania zaczynające się od „wiesz”, rzadko zapowiadają coś dobrego.

Usiedliśmy w ogrodzie, otworzyliśmy z sykiem puszki, a Tobi zaczął opowiadać o dniu w firmie.

Jego projekt, którego opracowanie było już na ukończeniu, został zarzucony. Nie

zdziwiło mnie to, przerabialiśmy to przecież po raz trzeci. Prawo trzech równoczesności (budować, jednocześnie zdzierać i budować na nowo) nie dotyczyło tylko placów budowy, ale każdego roboczego dnia w Chinach.

– Co to oznacza dla nas? – zapytałam.

– Że w następnym roku nie wracamy jednak do Niemiec. Zostajemy w Chinach rok dłużej.

Musiałam wziąć głęboki oddech.

A więc nie jesteśmy w połowie.

To dobrze czy źle?

Nie mogłam się zdecydować.

Zapewne wszędzie będę tęsknić za domem. W Hamburgu za Szanghajem, w Szanghaju za Hamburgiem.

Państwo Środka było chyba gdzieś pośrodku.

Podziękowania

Dziękuję Hanni i mojemu tacie za wsparcie, Stövesandom za zieloną kanapę i wiele innych rzeczy, Tanji i Dorthe za paczki z darami, Steffi i Moni za znoszenie moich lamentów, Jochenowi, bez którego nie byłoby ani bloga, ani książki, oraz paniom z salonu masażu stóp na Anfu Lu.